CZY ROSJA ZNÓW UDERZY NA UKRAINĘ?

BIELAN BARDZO SZCZERZE O KONFLIKCIE Z GOWINEM

MŁODA LEWICA GARDZI PRACĄ I JEST Z TEGO DUMNA

GIGANCI NAUKI PL

FASCYNUJĄCE HISTORIE

SIECI

TYLKO U NAS PRECYZYJNA ANALIZA SYTUACJI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 15 (437) 2021
12–18 kwietnia 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

MINISTER ZDROWIA ADAM NIEDZIELSKI:

PANDEMIA ZMIENIŁA NASZ ŚWIAT NA ZAWSZE

WAŻNA ROZMOWA: CZY WYGRYWAMY WOJNĘ Z ZARAZĄ? KIEDY ZACZNIEMY ŻYĆ NORMALNIEJ? SZCZEPIONKI DZIAŁAJĄ? LOCKDOWNY PRZESTAJĄ BYĆ SKUTECZNE? CZY AMANTADYNA POMAGA? KIEDY DZIECI WRÓCĄ DO SZKÓŁ? JAKA BĘDZIE CZWARTA FALA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269106 15

19 kwietnia w tygodniku **SIECI**

dodatek o polskich podróżnikach

Polacy *poza horyzontem* AFRYKA

STEFAN SZOLC-ROGOZIŃSKI – oficer marynarki, który miał romantyczną wizję podboju dla Polski… Kamerunu. Oczywiście nic z tego nie wyszło, ale wraz z towarzyszami jako pierwsi biali ludzie zbadali tamtejszą dżunglę, opisali zamieszkujące ją plemiona i gatunki zwierząt

STANISŁAW STEBLECKI – jako 25-latek wraz z trzema rówieśnikami próbował przejść Afrykę w poprzek. Z braku pieniędzy musieli zrezygnować, ale zatrudnili się w firmie handlowej, dla której zakładali faktorie. W ciągu trzynastu lat doskonale poznali okolice Mozambiku, Malawi i Zambii

ANTONI STANISŁAW WAGA – entomolog, który trzykrotnie podejmował wyprawy badawcze w głąb Afryki, w tym trzecią – jako człowiek po osiemdziesiątce. Miesiącami błąkał się po Egipcie, Sudanie i Algierii, przywożąc do Polski bogatą kolekcję owadów

Fot. Biblioteka Narodowa/Shutterstock

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 0e9cecca15

Nadchodzi nowa fala bluźnierstw

Tzw. Strajk Kobiet rusza z nową falą bezwzględnej walki z Kościołem. Antykatolicyzm ma zalać ulice polskich miast w postaci obrazoburczych plakatów, billboardów i wlepek. Pod hasłem „Rzuć na tacę!" organizacja Marty Lempart zbiera środki na „wsparcie lokalnych społeczności w ich oporze przed wszechobecną opresją religijną i przemocą symboliczną oraz dodawanie odwagi do odejścia z Kościoła". Do zrzutki ma zachęcić płomienna odezwa: „Głośmy razem dobrą nowinę, brońmy się przed ekspansją fanatyków!".

Nie jest to jednorazowa spontaniczna akcja. To element szerokiej i długofalowej operacji, której celem jest ateizacja Polski. Były już profanacje, fizyczne ataki, kłamliwe oskarżenia, wulgarne groźby, a nawet agresywne wtargnięcia do świątyń podczas nabożeństw. Teraz na ulicach mają zawisnąć treści uderzające w Kościół, wśród których nie brakuje bluźnierczych symboli, jak ukrzyżowana kobieta czy rozbity błyskawicą krzyż. W ten oto sposób tzw. Strajk Kobiet realizuje program „Narodowej apostazji", będący jednym z jego głównych postulatów.

Organizacja Marty Lempart nie jest osamotniona. Otrzymuje silne wsparcie polityków opozycji i innych „autorytetów" społecznych. Barbara Labuda uznała Strajk Kobiet za wyjątkowo atrakcyjną alternatywę dla Kościoła, a program „Świeckie państwo" za „wspaniały system wartości wolnościowych, przyjaznych światu, humanistyczny i laicki, który nikogo nie dyskryminuje i nie krzywdzi". Z kolei Kościół przedstawia jako skostniały, anachroniczny i przemocowy. Towarzyszy temu coraz silniej promowana alternatywna dla Kościoła rzeczywistość, uformowana w laickie propozycje oparte na katolickiej symbolice, mające zastąpić obrzędy i sakramenty. Rada Konsultacyjna Strajku Kobiet odpowiedzialna za „Świeckie państwo" proponuje, by zamiast chrztu świętego organizować „huczne pierwsze urodziny", zamiast Pierwszej Komunii Świętej – zmiany wystroju pokoju lub „ceremonię rozkwitu", na której dziecko dostawałoby prezenty. Jest też szeroka propozycja ślubów humanistycznych.

Celem tzw. Strajku Kobiet jest więc zohydzenie Kościoła, wywołanie lawiny buntu i apostazji, zniszczenie katolickiej tkanki społecznej, zlaicyzowanie państwa, wreszcie twarde zmiany prawne, jak zerwanie konkordatu, zmarginalizowanie Kościoła i praw ludzi wierzących, a w konsekwencji wyparcie chrześcijańskiej kultury i obrzędów religijnych z przestrzeni publicznej.

Uruchamiane są coraz to nowsze zasoby agresji, by wzbudzić zbiorową niechęć do Kościoła i dopiąć cywilizacyjne zmiany, które w większości krajów Europy zostały już dawno przeprowadzone. I choć za tak radykalnymi treściami z pewnością w Polsce nie pójdzie jeszcze większość, granice są sukcesywnie przesuwane. Za każdym razem pojawiają się w nas wewnętrzny opór i niezgoda, ale z czasem, wskutek oswajania z kłamstwem i wulgarnością, zaczynamy je przyjmować jako towarzyszący nam stan rzeczy. Przy takim natężeniu antyklerykalnych treści, które mają zawładnąć przestrzenią publiczną, staniemy się na bluźnierstwa coraz bardziej obojętni. Oby nie.

To ostatnia chwila na zatrzymanie destrukcji. Kluczem jest zrozumienie celu tych działań i uświadomienie ich tym, którzy tzw. Strajk Kobiet popierają. I choć z pewnością trudno będzie dotrzeć do walczących ateistów, wystarczyłoby uświadomić zmanipulowaną większość oraz postępowych „katolików", których „tęcza nie obraża", a aborcja jest prawem wyboru. Jak zdążyliśmy się przekonać, nawet niektórzy duchowni są w stanie usprawiedliwiać poczynania bojówek Marty Lempart. Obyśmy zdołali na to wszystko odpowiednio zareagować, skutecznie przeciwko temu zaprotestować i dać słuszny odpór. Bo każdy brak reakcji ośmiela agresywnych antyklerykałów do stawiania kolejnych, jeszcze bardziej radykalnych kroków. A na samym końcu tej drogi nie ma obiecanej wolności. Jest ideologiczny totalitaryzm i zniszczenie wszystkiego, co stanowi Polskę i jej dziedzictwo.

Marzena Nykiel

Autopromocja

eprasa.pl 0e9cecca1b

SIECI

spis treści

26 *Chłopcy chcą rządzić*
Stanisław Janecki

64 Wspominając Krzysztofa Krawczyka
Michał Korsun

53--60 Dodatek specjalny
Giganci nauki PL

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 PŁACZCIE NA KONTO
Krzysztof Feusette

9 ZAPRACOWANY JAK LEKARZ
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 POMASKA Z HEIMATU
Jan Pietrzak

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 ZLIKWIDOWAĆ TEN TEATR
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA MAŁGORZATY OPCZOWSKIEJ
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 URBANISTYCZNY CHAOS
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 Z ADAMEM NIEDZIELSKIM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

26 CHŁOPCY CHCĄ RZĄDZIĆ
Stanisław Janecki

29 ZRZUTKA NA LAPTOPA
Konrad Kołodziejski

32 Z ADAMEM BIELANEM
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

36 DEMIURG WZYWA DO ODWROTU
Jakub Augustyn Maciejewski

38 PiS Z WŁOSKIM KŁOPOTEM
Jan Rokita

41 PONADCZASOWOŚĆ ŚWIATA PODRÓŻY
Jacek Pałkiewicz

OPINIE

44 BIERZMOWANIE NARODU
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

47 UKRAINA: JEŚLI JUTRO WOJNA?
Marek Budzisz

50 EFEKT DOMINA
Aleksandra Rybińska

SIECI KULTURY

61 WYCHODZENIE Z CZERNI
Jolanta Gajda-Zadworna

63 JAZZOWY ZEW ZNAD BRDY
Adam Ciesielski

64 WSPOMINAJĄC KRZYSZTOFA KRAWCZYKA
Michał Korsun

66 CZY POLSKA ZOSTANIE ZLIKWIDOWANA
Robert Tekieli

67 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

68 POLECA
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

70 Z BEATĄ KOZŁOWSKĄ-CHYŁĄ
rozmawia Stanisław Koczot

KUCHNIA

74 MOJE SMAKI: ŁUKASZ NOWICKI
Jolanta Gajda-Zadworna

75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 WYBORY ZJEDNOCZONEJ PRAWICY
Wojciech Reszczyński

77 PATRIOTYCZNE SERCE KINGI RUSIN
Jerzy Jachowicz

78 ŚRODOWISKO
Aleksander Nalaskowski

79 BITWA O ANGLIĘ 2
Wiktor Świetlik

80 GWIAZDKI OPOZYCJI
Ryszard Makowski

81 Z PRACOWNI ANALITYCZNEJ
Leszek Długosz

82 BYĆ KIM SIĘ CHCE...
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 1/0321/F

eprasa.pl 0e9cecca1b

ORLEN
ORLEN
WRAP
ZA 5 ZŁ
GDY TANKUJESZ
ZA MIN. 100 ZŁ*
* Promocja trwa 1-30 kwietnia 2021 r. i dotyczy zarejestrowanych użytkowników karty VITAY i aplikacji ORLEN VITAY oraz osób płacących ORLEN PAY, kartą flotową lub e-kartą flotową. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji, na których można zrealizować kupon promocyjny dostępne są na stacjach oraz na www.stopcafe.pl.

Sygnalista nadaje

Zdaniem posłanki PO Agnieszki Pomaski winniśmy Niemcom wdzięczność: „To największe i najbogatsze państwa Unii Europejskiej podzieliły się z takimi krajami jak Polska dostępem do szczepionki. To dlatego w takich krajach jak w Niemczech szczepienie nie idzie tak dobrze, jak by mogło". To coś więcej niż opinia. To instynkt.

Z kolei senator PO Barbara Zdrojewska podzieliła się z narodem refleksją politologiczną: „Zamiast pytać tylko, czy opozycja jest gotowa do przejęcia władzy, zastanówmy się też, czy społeczeństwo jest gotowe na rząd, który obieca ciężką pracę i wyrzeczenia. Nie można pomijać tego, co PiS zrobił ludziom w głowach swoim nieodpowiedzialnym populizmem". Można się tylko zgodzić: społeczeństwo na rządy Platformy nie jest gotowe i długo jeszcze nie będzie.

Lewica ma nieco inne problemy. Aktywista Jaś Kapela: „Swoją drogą ten kult ciężkiej pracy to jest jakaś mentalność niewolnicza. Czym więcej pracujemy, tym więcej emitujemy CO_2, a niezależnie od tego jak ciężko byście nie pracowali, i tak nie zarobicie więcej od tych, co swoje pieniądze odziedziczyli". I jak tu żyć? I gdzie jakaś misja? Tak pojmowana lewicowość to ślepa uliczka. I koszmar.

A Sylwia Spurek konsekwentnie walczy z jedzeniem mięsa. Tuż przed Wielkanocą wezwała, by świętować po nowemu: „Pamiętajcie, że każde święta mogą być wegańskie, każda święconka, każdy świąteczny stół może być bez cierpienia, może być symbolem szacunku dla życia każdej myślącej, czującej istoty". Cóż, piękny ideał, ale czy nie warto zacząć od szacunku – i prawa do życia – dla każdego człowieka?

Fundacja Otwarty Dialog (Ludmiła Kozłowska i Bartosz Kramek) zajmie się dalszym prowadzeniem hejterskiej strony na FB SokzBuraka. „W wyniku porozumienia z całym, dotychczasowym zespołem redakcyjnym, odpowiedzialność za dalsze prowadzenie strony SokzBuraka i kierunek jej rozwoju przejmuje oficjalnie zespół Open Dialogue Foundation/ Fundacja Otwarty Dialog" – czytamy w komunikacie. Dobry wybór: stosunek do prawdy niemal identyczny.

Na facebookowym profilu Młodej Lewicy zamieszczono zaproszenie na „konfrontację" (formuła niejasna) rzecznika prasowego Młodej Lewicy Wojciecha Vincenta Sawoniewicza z prof. Leszkiem Balcerowiczem, którego nazwano „Mengelem polskiej gospodarki, odpowiedzialnym za hekatombę 1990 r.". Polityczne dzieci polskich liberałów z lat 90. zostały źle wychowane. Są nie tylko głupiutkie, lecz także po prostu okrutne.

Rzeczniczka Lewicy ***Anna Maria Żukowska*** wyraziła żal: „Profesorze Balcerowicz, przepraszam, że jedna z naszych młodzieżówek zrobiła coś takiego. Jest mi głęboko przykro. Nie można tak prowadzić polityki, zostały dramatycznie przekroczone granice. Jeszcze raz bardzo przepraszam. Wierzę, że młodzi zrozumieją swój błąd". Raczej nie zrozumieją – przecież już im wmówiono, że starsze pokolenia to dziadersi, godni jedynie pogardy.

Sam Balcerowicz ponownie skrytykował program 500+: „To, że dzięki 500+ będzie więcej dzieci i ograniczy się sfera ubóstwa, to jedna wielka propagandowa hucpa. To drugie dało się osiągnąć za dużo mniej pieniędzy. [...] Duża część z tych 40 mld zł trafia do bogatszych rodzin. Trzeba patrzeć na to, jakie efekty można by osiągnąć, rozdając te 40 mld zł w inny sposób". Ale to tylko teoria. W praktyce – gdyby nie PiS – te pieniądze trafiłyby poza kraj. Ale w dywidendach zachodnich firm albo w walizkach różnych „organizacji".

„Cały program opozycji polega na tym, żeby – przepraszam bardzo, bo muszę to powiedzieć – j...ć PiS... To hasło jest podnoszone na demonstracjach opo-

eprasa.pl 0e9ceccc1b

zycyjnych" – powiedział na antenie Polsat News Paweł Jabłoński, wiceszef MSZ. Powiedział bez kropek. Wypowiedź oburzyła obecnych w programie polityków opozycji. „Pan jest niegodny, aby reprezentować polski rząd. Powinien pan honorowo wstać, »odpiąć się« od programu i złożyć dymisję" – mówił Tomasz Trela z Lewicy. Paradne to oburzenie.

Po programie minister Jabłoński przeprosił i dodał: „Zacytowałem wulgarne hasło z programu opozycji. Bez cenzury, by wszyscy mogli odczuć, jak bardzo przepełnione nienawiścią są te słowa. Cieszę się, że przedstawiciele opozycji to krytykują. Mam nadzieję, że będą konsekwentni, a te nienawistne słowa znikną z życia publicznego". Oby. To, co opozycja zrobiła w ostatnich miesiącach z polszczyzną, to zbrodnia.

„To wszystko znak czasów" – tak ***Lech Wałęsa*** komentuje odchodzenie wiernych z Kościoła. „Teraz jest czas innego papieża, który czyści, robi z Kościołem porządek. To oczyszczenie powoduje takie zachowania. Z różnych powodów ludzie odchodzą" – mówi i wyjaśnia, dlaczego on sam pozostaje w Kościele: „Bo ja wierzę w Pana Boga, a nie jakimś klechom. Nie wierzę w księży, bo są grzeszni i gorsi jeszcze ode mnie może". Niektórzy tak. Ale jest i wielu takich, którzy z Bożej drogi nigdy nie zeszli.

Wałęsa powiedział też, jak ma wyglądać jego pogrzeb: „Króciutko ma być. Żadnych przemówień, jaki był i takich tam. Po co to? Godzinna msza. To, co jest religijnie potrzebne, ale bez żadnych tekstów, dodatkowych przemówień, kłamstwa. Nie chcę tego. Jeśli do ziemi, to proszę mnie spalić. Nie będą mnie robaki jeść. Jeśli nad ziemią, to mogę być w całości".

Szymon Hołownia (44 l.) znalazł się wśród osób, które skorzystały z błędu systemu i zostały zaszczepione. Rozpętała się burza. Głos zabrał prezydent Andrzej Duda: „Proponuję zostawić Szymona Hołownię w spokoju. Zaszczepił się, i dobrze. Chciał jak najszybciej? Nie On jeden. Więcej wyrozumiałości dla ludzkiej słabości". Celne. Bo choć przepisów nie złamał, to tego egzaminu z wyczucia i refleksu „Szymek" jednak nie zdał, choć dostał od lekarza dyplom.

Hołownia ocenił, że w wypowiedzi głowy państwa było coś „naprawdę porażającego": „To, że prezydent RP, kraju, który jest w samym środku III fali pandemii, w którym umierają setki ludzi, nazywa szczepienia słabością...". Prowadzący rozmowę dziennikarz słusznie zwrócił mu uwagę, by nie manipulować, bo słowo „słabość" odnosiło się do Hołowni, a nie do szczepień. Czyżby tych parę sztuczek retorycznych, którymi jesteśmy karmieni od ostatnich wyborów prezydenckich, przestało już wystarczać?

Wśród głosów żegnających wielkiego Krzysztofa Krawczyka uwagę zwróciła wypowiedź pieśniarki Kayah: „Jeszcze się nie przyzwyczaiłam do mówienia o nim w czasie przeszłym, ale bądźmy uczciwi... Czy Krzysztof funkcjonował ostatnio jako artysta? No nie. Bo Polska jest takim grajdołem, wiek się wypomina ludziom" – mówiła. I dodała: „To nie jest jedyny Krzysztof, tak samo myślę o Maryli Rodowicz czy innych – oni mają zbyt duży talent i kulturę na ten grajdołowy kraj, którym jest Polska". Cóż, w kraju wychowywanym przez „róbta, co chceta" chyba nie może być inaczej.

Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, i Charles Michel, szef Rady Europejskiej, spotkali się w Ankarze z prezydentem Turcji Recepem Erdoğanem. Nie byłoby w tym nic sensacyjnego, gdyby nie fakt, że panowie zasiedli na krzesłach naprzeciwko siebie, a panią posadzono ładnych parę metrów dalej na sofie. Niezadowolona i zaskoczona von der Leyen chwilę się zawahała, ale później usiadła na wyznaczone miejsce. Charles Michel też się nie zdobył na mocniejszy gest. Scenka w sumie symboliczna. W razie czego oni nas nie obronią.

Hertha Berlin poinformowała o zwolnieniu węgierskiego trenera bramkarzy, który w węgierskich mediach krytycznie wypowiedział się na temat LGBT i imigracji. „Praca Zsolta Petryego przez lata była bardzo ceniona. Zawsze był otwarty, tolerancyjny i gotowy do pomocy. Nigdy nie zachowywał się w sposób homofobiczny lub ksenofobiczny" – stwierdził prezes klubu w oficjalnym oświadczeniu, podkreślając, że „opinie Węgra rażąco różnią się od wartości wyznawanych przez Herthę Berlin". Są sprzeczne zwłaszcza z tak bliską klubowi tolerancją dla odmiennych poglądów.

Zsolt Petry mówił m.in.: „Całkowicie utożsamiam się z konserwatywnym podejściem. Nie rozumiem, dlaczego Europa tak nisko upadła moralnie. To kontynent chrześcijański. Powinniśmy żyć zgodnie z naszymi wartościami, których nauczyliśmy się przez te lata"; „Liberałowie wszystko rozdmuchują. Jeżeli jesteś przeciwko migrantom i zwracasz uwagę, że w Europie pojawiło się wraz z nimi wielu bandytów, to od razu nazywają cię rasistą". Niestety, siła złego na jednego. Trener ostatecznie się wycofał ze swoich wypowiedzi („głęboko żałuję moich komentarzy"), ale pracy nie odzyskał. Nie ma litości dla odmienności.

Fot. M. Czutko, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 0e9cecca1b

Płaczcie na konto

KRZYSZTOF FEUSETTE

Cześć wam. To znowu ja. Nie mogłem spać. Zastanawiałem się, co zrobię, jeśli utrzymają lockdown fryzjerów. Patrzę w lustro i wiecie, co widzę? Króla lwa. A to jest wróżba. To jest potwierdzenie tego, co powtarzam od dawna: zrobimy tę robotę. Będą nam mówić: nie dacie rady. A my damy radę każdemu. O, już mam pierwszą, dla Borysławka: przeczytaj sobie hasło z transparentów Lempartowej. Bo ja mam krótki lont, ona ma krótki lont, a ty nie masz wcale. Nigdy ci nie wybaczę uderzenia w szczepionkę. Ty mi będziesz coś wypominał? To ja chciałem kręcić lody na służbie zdrowia? U mnie Sawicka do dziś ma przyjaciółki? Płakać się chce.

Rany, jak ja nie lubię łez na ekranie. Ale wiecie co? Przykro mi jest, cholernie przykro, nie, nawet nie przykro, a smutno, bo przecież smutek to co innego niż przykrość, ale tak, znowu się poryczałem. Jak lew. Bo nie dość, że kłują cię w ramię, jak byle zwierzę, nie dość, że musisz 90 kilometrów zapylać na miejsce, gdzie fryzjer też jest zamknięty, to jeszcze przyjaciele, psia ich budka, leją na ciebie? I to pomyje? Przecież ja tym szczepieniem wpadłem do dziury w systemie! A dzięki niemu będę mógł powalczyć o głosy rozsianej po świecie Polonii! Tam też ludzie potrzebują lepszej nowiny. Tam też, w każdej chwili, każdego dnia i każdej nocy, PiS może zdobyć władzę. Albo ktoś podobny.

Więc gdybym teraz mógł jeszcze raz nawrzucać rządowi za awarię systemu, a potem dzięki tej awarii zaszczepić się przed seniorami jeszcze raz, zachowałbym się identycznie. I jeszcze raz, i kolejny, i następny – gdyby to tak nie bolało. Ja na widok Konstytucji płaczę, a na widok strzykawki jednak nie zemdlałem. Stąd zasłużony dyplom „Dzielnego pacjenta", a nie, że jakiemuś dziecku wyrwałem. Niestety, pogniótł się trochę, jak żeśmy wracali, więc już go w kampanii nie wykorzystam, a szkoda, bo coś o służbie zdrowia będzie na pewno. Ale wiecie co – po tej fali poszczepionkowego hejtu (chyba powinni wpisywać „ludzką zawiść" do skutków ubocznych?) pytam dziś sam siebie, słowami dawnego przeboju Lombardu: „Kto mi zapłaci za łzy? Gdy nie ma nic darmo – kto mi zapłaci za łzy?!". Tak mnie to wszystko zdołowało, że zacząłem nawet czytać, tak, tak, kawałki swojego programu. Jest zaj...bisty, serio. Nie mogę za dużo zdradzić, bo dopiero zacząłem, ale jestem przekonany, że to nas poniesie wysoko. Odsuniemy od władzy tych gamoni i zrobimy wszystko lepiej. A na pewno lepiej, niż żeśmy zorganizowali sobie stronę internetową. Z drugiej strony – cóż takiego się stało? Nie zdążyliśmy? Heloł, trzeba zmienić nazwę partii i po sprawie. Jak nie zdążymy ze szczepionkami, to się zmieni chorobę.

Bo w życiu można wszystko zmienić, nie tylko poglądy czy wartości. Pamiętajcie, że elastyczność to zaleta, nie wada. No, chyba że chodzi o Kościół czy katoli, tutaj nie ma przebacz. Wiadomo, kościół to budynek, krzyż to mebel, a gwoździe dostaniecie w metalowym. Spokojnie, zrobimy i tę robotę. Skończy się dojenie społeczeństwa, a zacznie normalne, prodemokratyczne wiano wnoszone przez społeczeństwo na nasze fantastyczne projekty. Mówiłem o tym niedawno w wywiadzie, ale mądrego to miło i sto razy posłuchać – my, ludzie, przez najbliższe kilka lat ustalimy kształt świata na kolejne sto lat. Wiecie, ile to jest? To jest 400 pór roku. Jaka piękna może być Polska przez te wszystkie pory. Jaka fajna. Zresztą, czy to się koniecznie musi nazywać Polska? Najważniejsze, żeby ludzie nareszcie mogli wybrać fajnego człowieka, któremu nie odbiła palma od tych wszystkich kamer, fleszy i czerwonych dywanów na prezentacji ramówki. Który, jak widać, może żyć bez tych kamer. Bo przecież wiecie, że nagrywam laptopem. Wiecie o mnie wszystko.

Właśnie, żebym nie zapomniał o najważniejszym, tak jak powiedziałem na wstępie, nie mogłem spać. Ale wstałem rano, normalnie. Kapcie są jeszcze dobre, choć duży palec w prawym zaczyna wypychać oko temu misiu. Na lewym jest świnka, pamiętacie? Wziąłem prysznic, zjadłem jajeczniczkę i bułeczkę. Trochę poczytałem program, ale nie za dużo, bo wczoraj też czytałem, a chcę sobie to wszystko poukładać, by jak najszybciej cieszyć się razem z wami tym kawałem dobrej roboty, którą wykonali nasi eksperci. Może i ze stroną nie zdążyli, może i nie ogarniają, jak sprzedawać kubeczki, długopisy czy parasolki rozkładane w dowolnej części ciała, ale są świetni.

Na koniec muszę wam przypomnieć, wiecie co. Że to wszystko kosztuje, a robota sama się nie zrobi. Przecież nie jesteśmy żadną finansową piramidą. Mamy określone cele i program, który, jak Bozię kocham, przysięgam, że zacząłem czytać. Jeśli chcecie zrobić to samo, namówcie na wpłatę jedną, dwie, góra 30 osób z waszej okolicy, bo przecież macie jakąś okolicę, prawda? Albo z rodziny, bo przecież macie rodziny? A jeśli nie, to tylko lepiej, bo wtedy my staniemy się waszą rodziną, na drobne i na złe. Cóż to jest symboliczna „stówka" raz w tygodniu? Komu chcecie ją oddać? Kijowskiemu, żeby natychmiast zniknęła? Owsiakowi, który nawet by jej nie poczuł? A my cieszymy się z każdej złotóweczki, każdy banknocik obracamy w palcach z wielkim wzruszeniem... Nie, wybaczcie, nie mogę... Przepraszam... Niestety, nie mamy już nawet chusteczek... Wszystko poszło na koszulki... dla was...

eprasa.pl 0e9cecca1b

Zapracowany jak lekarz

Przeciętnie jeden absolwent studiów lekarskich pracuje w prawie dwóch miejscach pracy. Są i tacy, którzy pracują nawet w pięciu placówkach

Dziś młodzi lekarze zostają w Polsce. Ucieczka na Zachód już się skończyła. Lekarzy brakuje, ale z innego powodu.

Często i chętnie w polskiej debacie publicznej pojawia się argument o młodych polskich lekarzach, którzy masowo wyjeżdżają za chlebem. Tak rzeczywiście było jeszcze kilka lat temu, jednak z twardych danych pochodzących z Ogólnopolskiego Systemu Monitorowania Ekonomicznych Losów Absolwentów szkół wyższych (ELA) wynika, że lekarze po ukończeniu studiów masowo pracują, i to w Polsce. Udział osób zatrudnionych (pięć lat po studiach) sięga w tej grupie aż 95 proc. Powszechnemu zatrudnieniu na etat towarzyszy rosnący, niemały (ok. 30-proc.) udział osób podejmujących pracę nieetatową – uzupełniającą zatrudnienie na umowę o pracę. „Młodzi lekarze pracują intensywnie, często łącząc pracę etatową z pracą nieetatową (np. kontrakt) lub samozatrudnieniem. W efekcie również osiągają wysokie zarobki w porównaniu do średniej lokalnej, prześcigając nawet informatyków" – czytamy w raporcie badaczy, którzy opracowują dane systemu ELA.

Jeśli ktoś z Polski wyjeżdża, to studenci obcokrajowcy, którzy podjęli studia w naszym kraju. „Wyróżniającą cechą studiów lekarskich jest wyjątkowo duża popularność wśród cudzoziemców decydujących się na studia w Polsce. W 2014 r. co szósty absolwent kierunków lekarskich i lekarsko-dentystycznych był cudzoziemcem (stanowiło to 80 proc. cudzoziemców podejmujących studia jednolite magisterskie). Prawie wszyscy (98 proc.) absolwenci cudzoziemcy po uzyskaniu dyplomu nie pojawiają się w grupie pracujących w Polsce (można się spodziewać, że na ogół wyjeżdżają za granicę i powracają do swoich krajów). Dlatego prezentowane analizy nie obejmują obcokrajowców, którzy nie pracowali w Polsce po ukończeniu studiów" – wynika z badań.

Nie ma wątpliwości co do tego, że polscy lekarze są bardzo zapracowani. Znów zerknijmy do bazy danych, z której wynika, że lekarze i stomatolodzy łączą pracę etatową i zatrudnienie nie na etat (np. na kontrakt lekarski) oraz pracę na własny rachunek. Przeciętnie jeden absolwent studiów lekarskich pracuje w prawie dwóch (1,8) miejscach pracy (uwzględniając samozatrudnienie), a stomatolog w ponad jednym (1,2) miejscu pracy. Ale to średnia. Są tacy lekarze, którzy pracują nawet w pięciu placówkach. Tej grupie zawodowej bezrobocie nie grozi.

Nie można jednak mieć wątpliwości co do tego, że lekarzy w Polsce brakuje. To dlatego, że po 1987 r. nastąpił dramatyczny spadek liczby miejsc na studiach medycznych. Znów warto spojrzeć na dane. Limit miejsc na pierwszym roku medycyny w 1987 r. wynosił ponad 6 tys., w 1990 r. już tylko ok. 3,3 tys., a w 2003 r. nieco ponad 2 tys. miejsc na studiach dziennych. W ostatnich latach te limity znacząco wzrosły. W roku akademickim 2019/2020 naukę na kierunku lekarskim rozpoczęło ponad 8 tys. studentów. Niestety wykształcenie lekarza ze specjalizacją trwa nawet kilkanaście lat. Nawet jeśli teraz liczba miejsc na studiach medycznych rośnie, to skutki tych zmian poczujemy realnie dopiero za 15–20 lat.

Zabawne jednak, że dziś polski rząd najbrutalniej za niską liczbę medyków atakują ci, którzy do tej sytuacji doprowadzili lub przynajmniej nie zrobili nic, by negatywne trendy odwrócić.

Dorota Łosiewicz

„W świątecznym numerze tygodnika »Sieci« w artykule pt. »Dziś też jesteśmy na wojnie« dotyczącym tajnych kompletów autorstwa pani Doroty Łosiewicz popełniłam w mojej wypowiedzi przykry lapsus. Fragment dotyczył wykładu prof. Stanisława Turskiego. Moja wypowiedź brzmiała, że Profesor bał się, a należało powiedzieć, że był zaniepokojony. Jest oczywiste, że Profesor nie mógł się bać, skoro podjął się wykładów na tajnych kompletach. Natomiast był zaniepokojony, ponieważ było słychać na zewnątrz strzały, a do tego był to dzień wzmożonych łapanek młodzieży przez Niemców z powodu toczącego się w Warszawie powstania. Jest mi przykro, że mój lapsus mógł naruszyć dobrą pamięć o prof. Stanisławie Turskim, tak bardzo zasłużonym dla nauki polskiej".

Antonina Kowalska

Autorem zdjęcia prof. Antoniny Kowalskiej, które opublikowaliśmy, jest Krzysztof Magda.

Milczący głos Floyda

Fot. CHOONGKY/Shutterstock.com

Wiele wskazuje na to, że oskarżyciele Dereka Chauvina, policjanta, który został oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci ikony ruchu Black Lives Matter George'a Floyda, mogą stracić swojego najważniejszego świadka.

Chodzi o Morriesa Lestera Halla, który 25 maja 2020 r. jechał z Floydem samochodem zatrzymanym przez policję w Minneapolis. Później Hall udzielił serii wywiadów, w których zapowiadał, że będzie głosem Floyda i opowie, co zdarzyło się feralnego dnia. Jednak – jak wynika z dokumentów ujawnionych właśnie przez media – Hall zmienił zdanie i powołując się na piątą poprawkę do konstytucji USA, odmówi zeznań. Dlaczego? Zapewne dlatego, iż obawia się samooskarżenia. Partnerka Floyda zeznała bowiem, że Hall sprzedawał im narkotyki. Warto tu dodać, że był on już wcześniej aresztowany za posiadanie narkotyków i nielegalnej broni oraz za napad.

Podczas zatrzymania Floyda Chauvin przyciskał go kolanem przez osiem minut. Szef policji w Minneapolis Medaria Arradondo zeznał, że jego podwładny pogwałcił w ten sposób zasady i wartości, jakimi kieruje się policja. Chauvinowi grozi teraz 40 lat więzienia. Jednak sekcja zwłok wykazała, że Floyd miał we krwi metamfetaminę oraz silny lek przeciwbólowy – fentanyl. Przedawkowanie fentanylu prowadzi do uduszenia, więc obrońcy policjanta przekonują ławę przysięgłych, że przyczyną śmierci Floyda nie było przyciśnięcie kolanem, lecz narkotyki.

W kwestii, co ostatecznie było przyczyną śmierci Floyda, kluczowe będą jednak zeznania lekarzy i ekspertów. Otwarte pozostaje również pytanie, na ile kryminalna przeszłość Floyda (odsiedział pięć lat więzienia za napad z bronią w ręku) wpłynie na decyzję ławy przysięgłych. Zwłaszcza że Floyd został już za wszystko rozgrzeszony przez liderów ruchu Black Lives Matter.

Łukasz Adamski

Albo krytyka, albo zyski

Fot. Tony3112/Shutterstock.com

Chiny prowadzą wojnę podjazdową z zachodnimi korporacjami, które ośmieliły się skrytykować komunistyczny reżim za łamanie praw człowieka w prowincji Sinciang. Zachodnie media podały niedawno, że czołowa chińska aplikacja Didi, służąca do zamawiania transportu samochodowego, usunęła ze swoich map wszystkie sklepy szwedzkiej firmy odzieżowej H&M. Na podobny krok zdecydowały się również firmy zajmujące się w Chinach handlem internetowym.

To odwet za decyzję szwedzkiej korporacji, która zapowiedziała, że z powodu prześladowań ludności ujgurskiej nie będzie już używać bawełny produkowanej w Sinciangu. Według doniesień zamieszkujący Sinciang muzułmańscy Ujgurzy są poddawani przez reżim w Pekinie przymusowej „reedukacji" w obozach pracy. Udokumentowano też liczne przypadki gwałtów na ujgurskich kobietach, powszechną inwigilację i niszczenie zabytków ujgurskiej kultury. Władze chińskie wszystkiemu zaprzeczają.

Firma H&M opublikowała swoje oświadczenie prawie pół roku temu, jednak wróciło ono do publicznego obiegu po tym, jak chińska Liga Młodzieży Komunistycznej ogłosiła, że H&M „rozpowszechnia kłamstwa o bawełnie z Sinciangu, a jednocześnie osiąga w Chinach duże zyski". Ogłoszenie to uruchomiło lawinę ostrej krytyki H&M oraz innych zachodnich korporacji, które również wydały podobne oświadczenia na temat sytuacji w Sinciangu. W ten sposób Nike, Adidas, Burberry i wiele innych firm zostało objętych bojkotem w Chinach.

Bojkot okazuje się najwyraźniej skuteczny, ponieważ firma H&M wydała już kolejne oświadczenie, w którym stwierdziła, że jest zdeterminowana „przywrócić zaufanie chińskich konsumentów" i już „podejmuje kroki w tym kierunku". I choć Chiny są dla szwedzkiej korporacji czwartym rynkiem po Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, to pojawia się pytanie, jak na to nowe oświadczenie H&M zareagują klienci na Zachodzie.

Goran Andrijanić

eprasa.pl 0e9cecca1b

Nierozstrzygnięte wybory

Bułgaria

W Bułgarii odbyły się wybory parlamentarne, w których zwyciężyła prawicowa partia GERB premiera Bojko Borisowa (na zdj.). Zdobyła ona 25,7 proc. głosów, co przekłada się na 75 miejsc w 240-osobowym parlamencie. Trudno jednak mówić w tym przypadku o sukcesie, ponieważ w porównaniu z poprzednią kadencją ugrupowanie straciło 20 mandatów. Nie będzie też w stanie stworzyć rządu ze swoim dotychczasowym koalicjantem, czyli Bułgarskim Ruchem Narodowym wicepremiera Krasimira Karakaczanowa, który uzyskał zaledwie 3,58 proc. głosów i nie znalazł się w Zgromadzeniu Narodowym.

Czarnym koniem wyborów okazała się formacja Jest Taki Naród (ITN), założona zaledwie rok temu przez słynnego showmana i muzyka rockowego Sławiego Trifonowa. Ten ostatni (podobnie jak niegdyś Paweł Kukiz w Polsce czy Wołodymyr Zełenski na Ukrainie) wykorzystuje swoją popularność jako kandydat antyestablishmentowy i krytykujący całą klasę polityczną. W złożoną przez niego obietnicę wniesienia nowej jakości do życia publicznego uwierzyło 17,36 proc. wyborców, co dało ITN drugą najliczniejszą reprezentację parlamentarną

Klęskę poniosła natomiast lewicowa Koalicja na rzecz Bułgarii (na czele z Bułgarską Partią Socjalistyczną), która zdobyła zaledwie 14,75 proc. głosów. W Zgromadzeniu Narodowym znajdzie się także Ruch na rzecz Praw i Swobód, reprezentujący mniejszość turecką (10,31 proc.), centroprawicowa Demokratyczna Bułgaria (9,29 proc.) oraz drugie ugrupowanie antysystemowe o nazwie Wstań.BG (4,64 proc.).

Nie wiadomo, czy mimo zwycięstwa Borisowowi uda się stworzyć rząd. GERB razem z Demokratyczną Bułgarią dysponują bowiem 102 głosami, do większości parlamentarnej potrzeba zaś 121 mandatów. Z partią dotychczasowego premiera nie chcą natomiast wchodzić w koalicję ani socjaliści, ani antysystemowcy, ani Turcy. Jeśli swego zdania nie zmienią ani ITN, ani mniejszość turecka, to Bułgarię czekają wkrótce przedterminowe wybory. Mogą się one odbyć pod koniec tego roku przy okazji wyborów prezydenckich.

Grzegorz Górny

Fot. Andrzej Skwarczyński

Turcja

Strach przed puczem

Fot. ymphotos/Shutterstock.com

Władze tureckie aresztowały na początku ubiegłego tygodnia dziesięciu emerytowanych admirałów, którzy w swoim liście do Recepa Erdoğana przestrzegają prezydenta przed zmianą polityki państwa w sprawie cieśnin tureckich.

Sygnatariusze listu, podpisanego łącznie przez 103 wysokich oficerów marynarki w stanie spoczynku, nawołują władze, aby „unikały wszelkiego rodzaju oświadczeń i działań, które mogą uczynić przedmiot debaty z konwencji Montreux, odgrywającej kluczową rolę w przetrwaniu Turcji". Chodzi o podpisaną w 1936 r. międzynarodową konwencję regulującą zasady wpływania na Morze Czarne okrętów z tych państw, które nie mają linii brzegowej w tym akwenie.

Dwa tygodnie temu, po wycofaniu się Turcji z konwencji o prawach kobiet, pojawiły się spekulacje, że może zostać wypowiedziana również umowa z Montreux, której poszanowanie traktowane było do tej pory w Turcji w kategoriach kamienia węgielnego polityki zagranicznej. Taki obrót spraw, w opinii krytyków władz, przyczyni się do zaostrzenia konfliktu z sojusznikami z NATO i zwiększenia politycznej izolacji Ankary. Obserwatorzy tureckiej polityki są też zdania, że planowana budowa kanału Istambuł, który ma kosztować 10 mld dol. i którego wielkim zwolennikiem jest Recep Erdoğan, również posłuży wzmocnieniu kontroli żeglugi przez cieśniny tureckie.

Erdoğan bardzo ostro zareagował na list emerytowanych oficerów marynarki. Prezydent uznał go bowiem za możliwy wstęp do zamachu stanu. Oficjalna agencja Anadalu poinformowała, że admirałowie zostali aresztowani w związku z „porozumieniem w celu popełnienia przestępstwa przeciwko bezpieczeństwu państwa i porządkowi konstytucyjnemu". Domniemani spiskowcy wydali swój apel w sobotę późnym wieczorem po tym, jak zgromadzili się, rzekomo potajemnie, w jednym z domów modlitewnych. Na dodatek, zdaniem prorządowych komentatorów, symbolika opublikowanego oświadczenia – podpisanego przez 103 oficerów na 103 dni przed kolejną rocznicą nieudanego zamachu stanu 15 lipca w 2016 r. – budzi podejrzenia, że mamy do czynienia z zaplanowaną akcją.

Ibrahim Kalin, rzecznik prasowy tureckiego prezydenta, napisał, że cała akcja „przypomina czasy puczów", kiedy cywilne władze w Turcji w latach 70. i 80. były trzykrotnie obalane w wyniku spisków oficerów. A prezydent Erdoğan na specjalnej konferencji prasowej dodał, że „wszystkie ataki na demokrację [w Turcji] odbywały się po podobnych deklaracjach" i tak też należy traktować ostatnie wystąpienie oficerów marynarki wojennej.

Marek Budzisz

eprasa.pl 0e9cecca1b

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Pomaska z Heimatu

Jan Pietrzak

Posłanka zwana Pomaską zwróciła uwagę, że Niemcy nie dają sobie rady ze szczepieniami, ponieważ zrobili łaskę Polsce, obdarowując nas szczepionkami. Zgadnijcie, z jakiej partii ona posłuje do Sejmu? Brawo! Z Platformy! Partia ta, międląc nierozwiązywalne problemy swej ideologii, pragmatyki, orientacji seksualnej, powinna się wreszcie zdefiniować na gruncie Heimatu, bo wszystko już się wydało i nie ma sensu udawać kogoś innego. Żaden sok z buraka tego nie przefarbuje, żaden ściek z Giertycha tego nie ukryje. Hołowniarz przytomny, kiedy zorientował się co i jak, wskoczył do covidowej kolejki. Dostał dyplom dzielnego pacjenta, dla kamuflażu napisany w języku polskim, choć ampułki z puli niemieckiej, co odkryła bystra Pomaska. Niewykluczone, że przy pierwszej medialnej okazji rozpłacze się widowiskowo, a nawet posmarka rozczulająco. To robi efekt w jego elektoracie.

Ze wschodniej perspektywy należy oczekiwać na wielki wrzask środowisk ukrytych pod kryptonimem Pancernej Brzozy po ogłoszeniu przez włoskie laboratorium wyniku badań trotylu we wraku Tu-154. Ogłosili Włosi, bez zgody komisji Laska i Anodiny, że trotyl tam był i już. Pamiętamy, że w 2012 r. za artykuł „Trotyl na wraku" Cezary Gmyz wylądował na bruku, a redakcję podmieniono na atrapę. Jak ta redakcja teraz się zachowa, kiedy kolejna placówka badawcza poda nieakceptowalne przez Kreml wyniki? Uprzednio laboratorium brytyjskie, teraz włoskie, szykują się następne... Prawda nierychliwa, w końcu wyjdzie na jaw. Będziemy świadkami wielkiego wycia, ujadania i odszczekiwania kłamstw smoleńskich. Kłamstwo jest rutynowym sposobem rządzenia wschodnich sąsiadów. Nie ma takiej sfery życia publicznego, w której by dopuścili do głosu prawdę. Ostatnio, po tzw. wyborach na Białorusi, niemal codziennie możemy obserwować, jak zachowuje się władza, która nie ma zamiaru akceptować prawdy. Terror, agresja, nienawiść... Przy okazji i nam się dostało. „Polska mocno dostanie po mordzie" subtelnie ostrzegł białoruski uzurpator.

I tak od stuleci, jak nie z zachodu, to ze wschodu. Kłamstwo, chamstwo i agentura. Musimy być silni – powiedział Naczelnik. Ma rację. Pracujmy nad tym.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Tramwaje rozwiozą paczki

Dominik Zdort

Ideologia ruchów miejskich to połączenie pomysłów z rzadka pożytecznych, częściej śmiesznych i strasznych. A niekiedy tylko śmiesznych i strasznych. Sposoby ich działania przypominają zaś metody skrajnych ideologicznie środowisk typu LGBT, które – nie będąc w stanie wywalczyć sobie reprezentacji w demokratycznych wyborach – za pomocą happeningów i akcji medialnych wymuszają na władzach dostosowanie się do ich żądań.

Część idei polskich ruchów miejskich jest importowana wprost z Zachodu, bez głębszej refleksji. A prezydenci i burmistrzowie miast, podlizując się miejskim radykałom, potrafią robić rzeczy głupie i szkodliwe. Ot choćby gwałt na warszawskich arteriach. Najpierw na Świętokrzyskiej, gdzie kosztem i tak nie dość wygodnej ulicy poszerzono chodniki, którymi nigdy tłumy spacerowiczów nie chodziły i nadal nie chodzą. To akurat śmieszne. Straszne jest to, że to jedyny rozsądny dojazd do szpitala dla dzieci, sam pędziłem tamtędy przed kilkunastoma laty z chorą córeczką... Dziś pewnie stałbym w korku, a skutki tego mogłyby być opłakane. Ale co tam, ważniejsze jest, że uszczęśliwiono paru oszalałych lewaków, których zdaniem im większe korki, tym lepiej, bo kierowcy powinni odczuwać niewygodę. Podobnego gwałtu dokonano teraz na alei Jana Pawła II w samym centrum.

Po samochodach radykałowie miejscy wzięli na cel paczkomaty. Pretekstów jest kilka, ten rozsądny to fakt, że czasem szpecą okolicę. Akurat te paczkomaty, które znam, raczej zasłaniają szpetotę swoich okolic, ale – generalnie – zgadzam się, paczkomat pod kolumną Zygmunta czy przy ścianie Sukiennic nie byłby bardzo dekoracyjny. Mam jednak wrażenie, że za argumentem estetycznym znów stoi antysamochodowa obsesja. Bo działacze miejscy zaraz dorzucają: furgonetki dowożące paczki są źródłem spalin, powodują hałas, niszczą zieleń. No i potrącają przechodniów. Jakie proponują rozwiązanie? Znacjonalizować paczkomaty, przekazać miastom. Paczki niech rozwożą tramwaje i rowery cargo. Wszystko to oczywiście potrwa dłużej, będzie bardziej kosztowne – dla każdego z nas, bo zapłacimy za tę ekstrawagancję dodatkowo w podatkach – i nieporównanie bardziej skomplikowane.

Ale co to obchodzi lewackich gogusiów, którzy – w czasach niepandemicznych rzecz jasna – popijają latte na Zbawiksie, a nowego iPhone'a zamawiają przez kuriera do domu?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 0e9cecca1b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zlikwidować ten teatr

Od miesiąca aktorzy nie zajmują się już walką o praworządność i demokrację w Polsce. Mniej nawet zabiegają o prawa człowieka, co w ich wydaniu oznacza pełną dopuszczalność aborcji. Nie analizują konstytucji ani nie piętnują jej niewłaściwej interpretacji, nie protestują przeciw sposobowi powołania Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Dyscyplinarnego, który jest jej elementem. Doszło do tego, że Krystyna Janda przestała się zajmować aktami defekacji ze strony polityków, których pada ofiarą. Aktorzy zajęli się sami sobą.

Zaczęło się od tekstu absolwentki Szkoły Filmowej Anny Paligi, która swoją byłą Alma Mater przedstawiła... no, w dość ciemnych barwach. Wystrzał uruchomił kanonadę. Wydaje się, jakby cała społeczność aktorska i okołoaktorska czekała na sygnał, aby na wyprzódki zacząć się licytować w przerażających relacjach o doświadczeniach, jakie miały być ich udziałem nie tylko na uczelniach, ale także w artystycznej praktyce. Okazało się, że teatr polski przemocą stoi.

Czy powinien być to obiekt żartów? Czy powinna być nim walka z przemocą? Sęk w tym, że w zglobalizowanym świecie wszystkie te kampanie przebiegają jakby pod jedną batutą. Kilka razy w tym miejscu krytycznie pisałem o kampanii #MeToo. Stała się ona okazją do ideologicznych i osobistych porachunków, których ofiarami padają osoby niszczone za błahe przewiny, a niekiedy i bez nich. Nieznaczące uchybienia rozdymane są do rangi zbrodni, których sprawcy prześladowani są z rewolucyjną gorliwością. Kobiety (bo zwykle o nie chodzi), które świetnie odnajdywały się w niezdrowych warunkach show-biznesu, po dekadach odgrywają role niewinnych ofiar. Kampanie te prezentowane są jako kolejne sekwencje postępu ludzkości, która wyrywa się z oków patriarchalnej przemocy. W rzeczywistości są przykładem prawidłowości, zgodnie z którą ideologia zaciekle zwalcza stwarzane przez siebie problemy.

Paliga pisze o profesorze, który miał zwyczaj wyzywać ją od ostatnich. Jeszcze nie tak dawno byłoby to niemożliwe, gdyż zwyczajni ludzie nie używali takich epitetów, a kierowanie ich publicznie przez mężczyznę do kobiety byłoby nie do pomyślenia i skończyłoby się dla niego fatalnie bez względu na pozycję społeczną. Rozmontowanie obyczajów i konwencji związanych z podziałem płci w imię ich absurdalnie rozumianej równości mści się najbardziej na kobietach. Nie chcę powiedzieć, że tradycyjny model uwalniał od konfliktów. Człowiek jest na nie skazany i nie istnieje ani nie może istnieć żaden system, który by je anihilował. Powinniśmy rozwiązywać je w miarę możliwości, ale ideologiczna utopia za pomocą norm prawnych usiłująca zapisać i uregulować wszelkie ludzkie sprawy, generuje problemy bez porównania większe niż te, które usiłuje wyplenić.

Kreuje także gigantyczne możliwości nadużyć. Opisywałem już sprawę wybitnego reżysera, Włodzimierza Staniewskiego, twórcy instytutu Gardzienice, którego oskarżenia ufundowane zostały na... właściwie niczym. Dawna aktorka przypomniała sobie, że ponad 20 lat temu reżyser ją... źle traktował, a raz nawet zamknął w swoim gabinecie na klucz. Była gwiazdą i nawet dziś jest z tego dumna, jeśli trzeba raz jeszcze przeszłaby to samo, ale... ciężko przeżyła to psychicznie. Dołączyło do niej ileś byłych aktorek, opowiadając mniej więcej to samo. Jedna przypomniała sobie, że Staniewski zapytał ją, „co myśli o seksie z nim", a ona to zbagatelizowała. Nic więcej na ten temat nie było, ale wystarczyło, aby pisać dziś, że Staniewski oskarżony jest o „przemoc seksualną".

Aktorstwo to specyficzny zawód. Wymaga swoistego ekshibicjonizmu, emocjonalnego zaangażowania w odtwarzane postacie, a więc poświęcenia się. Powoduje napięcie i wiąże się z psychicznymi kosztami. Jeśli ktoś decyduje się na aktorstwo i domaga się bezstresowych warunków pracy, znaczy to, że nie rozumie, czego chce.

Aktorstwo jak każda sztuka, choć ono w sposób szczególny, wymaga terminowania u mistrza. Relacja ta zawsze stwarza okazje do nadużycia. Tradycyjne konwencje i obyczaje do pewnego stopnia przed tym chroniły, a regulaminy ich nie zastąpią. Można zlikwidować relacje mistrz–uczeń, ale wtedy pozbywamy się istotnego elementu nauki rzemiosła. Demokracja w sztuce to nonsens.

Inna sprawa, że postępujemy już w tym kierunku. Można odnieść wrażenie, że im mniej aktorzy wiedzą o swoim kunszcie, tym namiętniej angażują się w politykę. Im mniej pracują nad rolą, tym gorliwiej naprawiają świat. A przecież ciągle nawet we własnym środowisku nie potrafią wytrzebić przemocy. Można domniemywać, że kiedy usuną ją ostatecznie, grać już zupełnie nie będą potrafili. Czy nie prościej zlikwidować ten teatr, który i tak coraz bardziej jest nim tylko z nazwy?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0e9cecca1b

Walizka Małgorzaty Opczowskiej

dziennikarki i prezenterki telewizyjnej

W domu mamy mapę marzeń, na której zaznaczamy miasta, państwa i kontynenty, które odwiedziliśmy. Plan jest taki, żeby zwiedzić cały świat, a jego najpiękniejsze strony chciałabym pokazać synkowi. Lubię zwiedzać nie tylko, by zobaczyć krajobrazy czy zabytki, lecz również dla walorów kulinarnych, by skosztować tego, co jedzą miejscowi. W ogóle poznawanie ludzi i ich zwyczajów wydaje mi się najciekawsze w podróżach.

TOREBKA

Malutka, ale mieści się w niej to, co potrzeba, bo nigdy nie wiadomo, czy jakieś wyjście się nie przydarzy. Idealna na paszport, dowód rejestracyjny, telefon, no i oczywiście puder.

PUDER

Wizażystka telewizyjna żartuje, że moja cera się wybłyszcza, bo „gwiazda" musi lśnić. A mówiąc całkiem serio, używam transparentnych pudrów. Jednym z nich jest tegoroczne odkrycie – puder polskiej marki Słońce Bałtyku. Głównym składnikiem jest... sproszkowany bursztyn, który nie tylko matuje, lecz i wygładza cerę.

WAŁEK

Wałek do oczyszczania odzieży z sierści. Podróżują z nami także psy, więc taki wynalazek bardzo się przydaje.

BUTY NA OBCASIE

Jestem ich fanką. Ponieważ może się zdarzyć wspomniane już wyjście, na wyjazdy staram się zabierać coś eleganckiego.

DINOZAUR

Ponieważ podróżuję z sześciolatkiem, zawsze mam coś do zabawy. Maksio jest zafascynowany dinozaurami i zaraził mnie swoją pasją, więc „dinki" często nam towarzyszą. Gdy mam wyjazd służbowy i jadę sama, dostaję od syna dinozaura na szczęście, który dodatkowo ma mnie chronić.

eprasa.pl 0e9cecca1b

SCYZORYK

Sprzęt do zadań specjalnych. Podręczny walizkowy komplet to nie tylko ostrze do cięcia z dobrej stali, lecz i zestaw do odkręcania śrubek. Jako podróżująca mama nieraz używałam go choćby podczas rozkręcania dinozaura, żeby wymienić baterię.

CZARNE PUMY

Muszą być sportowe buty, bo na piesze wędrówki są najpraktyczniejsze. Te są wyjątkowe, ponieważ mają bardzo kobiecy element, jakim są kokardki. Długo chodziły za mną takie buty, aż je znalazłam.

ZAPACHY

Bez względu na porę roku lubię ciężkie zapachy. Nie pogoda decyduje o wyborze nuty zapachowej, lecz to, co gra w mojej duszy. Zazwyczaj zabieram dwa pachnidła. Teraz pasują mi te konkretne.

SZAL

Duży kaszmirowy, który spełnia czasami funkcję koca. Jestem strasznym zmarzluchem, więc podczas np. wieczornego spaceru nad morzem fajnie jest się nim otulić.

SUKIENKA

Zamiast małej czarnej podróżuje ze mną mała czerwona. Kiedyś w mojej szafie przeważały szarości, popiele i czernie. Teraz królują czerwienie, które dodają mi energii.

MÓJ ANIOŁ STRÓŻ

Tata bardzo dbał o moje bezpieczeństwo. Kreślił mi mapy, gdzie zaznaczał najlepsze trasy, ale i niebezpieczne punkty, do których nie należało się zapuszczać. Po przyjeździe musiałam się telefonicznie meldować, że dojechałam do celu i jestem bezpieczna. Jestem przekonana, że wciąż czuwa nad nami i kreśli dla mnie mapy dalszego życia.

BŁYSZCZYK

W kulce. Zwłaszcza podczas lotów samolotem usta wysychają i dobrze mieć pod ręką coś, co je nawilży.

KSIĄŻKI

Koniecznie książka papierowa, bo na e-booki nie mogę się jakoś przestawić. Uwielbiam biografie i komiksy. Odkrywam z synem „Tytusa, Romka i A'Tomka". Jako dziewczynka nie wciągnęłam się w przygody kultowej trójki, ale mój przykład pokazuje, że na wszystko przychodzi czas. Być może i do Tytusa trzeba dojrzeć, a wannolotem chętnie bym się przeleciała.

APARAT FOTOGRAFICZNY

Coraz częściej używam aparatu w telefonie, ale ze względu na miejsca, do których się podróżuje – np. Azji czy Australii, wolę zdjęcia wykonane na sprzęcie bardziej wymagającym. Uczyłam się fotografii i lubię fotografować.

NOTES

Wiem, że dyktafon jest wygodny w obsłudze, ale lubię tradycyjnie notować informacje: najważniejsze wątki wywiadu, daty i numery telefonów.

KUFEREK

Jestem jak sroka i bardzo lubię, gdy coś się błyszczy. Pierwszy pierścionek dostałam od mamusi na okrągłe urodziny (nie zdradzę które). Drugi to pamiątka po babci. Góralskie kolczyki zaprojektowała Aneta Larysa Knap – przyjaciółka z Podhala. Bawię się modą i przełamuję trendy, więc zakładam je zarówno do eleganckich kreacji, jak i casualowych strojów.

IKONA

Oprócz mojego prywatnego Anioła Stróża podróżuje z nami ikonka. Pochodzi ze Lwowa i jest to prezent od bardzo bliskiej mi osoby. Lubię czuć jej obecność. Mojemu synkowi przydaje się do mówienia pacierza rano i wieczorem.

Wysłuchał i zapisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0e9cecca1b

OGNIEM NA WPROST

Gender i spis powszechny

Młoda Lewica zaprosiła Leszka Balcerowicza na debatę. Ten zaproszenie przyjął, od lat lubi bowiem odgrywać rolę autorytetu. Jednak tu trafiła kosa na kamień. W ramach reklamy rozmowy na facebookowym profilu organizacji pojawił się wpis rzecznika prasowego Młodej Lewicy Wojciecha Vincenta Sawoniewicza następującej treści: „Już dzisiaj (...) skonfrontuję Leszka B. – Mengelego polskiej gospodarki odpowiedzialnego za hekatombę 1990 roku! Nie może Was to ominąć". Do wpisu została dołączona grafika opisana jako „Wojciech Vincent Sawoniewicz vs. Leszek B.", na której widać fotografie debatujących, ale zdjęcie Leszka Balcerowicza zostało umieszczone za kratkami, a sam były minister finansów miał zasłonięte oczy, jak to się robi osobom skazanym lub przestępcom oskarżonym przez wymiar sprawiedliwości. „Autorytet! Autorytet!" – jak krzyczeli kodziarze lata temu, kiedy ten guru polskiej transformacji miał powiedzieć na ulicy parę słów do mikrofonu.

Zmarło się naszemu Krzysztofowi Krawczykowi. Wspominają go ciepło także księża z jego parafii w Grotnikach, gdzie piosenkarz został zapamiętany nie tylko jako gwiazda estrady, lecz również jako wierzący i praktykujący chrześcijanin zaangażowany w życie lokalnej wspólnoty kościelnej. Krawczyk miał dwa życzenia, które chciał, żeby zostały spełnione po jego śmierci. Pierwsze, by mu do trumny włożono mikrofon – ten, do którego przez 26 lat śpiewał w studiu muzycznym K&K, a także „ciemki", jak mawiał Marek Hłasko, czyli czarne okulary, w których występował na scenie. Drugim życzeniem było, aby na jego pogrzebie zagrała orkiestra dęta. Również i to życzenie artysty zostanie spełnione, jak potwierdza Andrzej Kosmala, wieloletni menedżer i przyjaciel piosenkarza. Należy się. Dobry i utalentowany chłop był. Spoczywaj w spokoju i niech Ci ziemia lekką będzie.

W związku z trwającym od 1 kwietnia Narodowym Spisem Powszechnym Ludności i Mieszkań parlamentarzystki Koalicji Obywatelskiej – Monika Rosa i Aleksandra Gajewska – wystosowały pismo z pretensjami do prezesa Głównego Urzędu Statystycznego. Interweniują w nim, że „spisowy formularz dyskryminuje osoby niebinarne i transseksualne, ponieważ w pytaniu o płeć do wyboru są jedynie dwie opcje: kobieta lub mężczyzna". „Prosimy o niezwłoczne poprawienie formularza spisowego" – apelują Rosa i Gajewska. Rzeczywiście jest problem, sposób przeprowadzania spisu bowiem „w sposób bezpośredni dyskryminuje to osoby niebinarne, które nie mogą podać płci zbliżonej do odczuwanej" – jak twierdzą pożal się Boże polityczki. Nie wiem, jak czytelnicy, ale ja jako podatnik nie mam zamiaru płacić ani złotówki na ideologiczne fanaberie pań z Koalicji Obywatelskiej. Wymagałoby to wprowadzenia do spisu dodatkowej ankiety zawierającej ponad 50 płci, a na to, cytując klasyka, „pieniędzy nie było i nie będzie".

„Ja już nic nie powiem, bo już jestem homofobem, jestem rasistą, więc jak jeszcze to powiem, to już w ogóle. Jeśli jeszcze powiem, że Kulczyk żyje, to też mi się już dostało" – żalił się w rozmowie z Rafałem Otoką-Frąckiewiczem Jarosław Jakimowicz. „A żyje Kulczyk? – na wszelki wypadek dopytał Otoka-Frąckiewicz. – No pewnie, że żyje" – odpowiedział z pełnym spokojem Jakimowicz. Gdybym to ja prowadził rozmowę, zapytałbym jeszcze o Elvisa Presleya. Znałem bowiem kilku ludzi, którzy twierdzili, że żyje. Ale tak czy inaczej panowie sobie porozmawiali.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0e9cecca1b

Urbanistyczny chaos

Marta Kaczyńska-Zielińska

W 2020 r. Komitet Przestrzennego Zagospodarowania Kraju przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk sporządził raport dotyczący stanu zagospodarowania przestrzennego w Polsce zatytułowany „Kryzys polskiej przestrzeni. Źródła, skutki i kierunki działań naprawczych". Opracowanie zawiera wiele ważnych i interesujących informacji oraz wniosków dotyczących projektowania zabudowań na terenie naszego kraju i wpływu kształtowania otaczającej nas przestrzeni na życie każdego z nas.

Koszty błędów w planowaniu przestrzennym w skali roku wynoszą ponad 80 mld zł. W przeliczeniu na jednego mieszkańca to ponad 2,2 tys. zł. Autorzy słusznie zwracają uwagę na historyczne uwarunkowania chaosu przestrzennego w Polsce – okres zaborów czy czasy wojenne, a także wieloletnie współczesne zaniedbania władz publicznych i samorządowych.

Przełom 1989 r. rozpoczął okres spontanicznych inwestycji, których apogeum nastąpiło po uchwaleniu w 2003 r. ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym oraz anulowaniu miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego uchwalonych przed 1 stycznia 1995 r. Wraz z wejściem w życie wspomnianych przepisów proces budowlany w połowie opierał się na tzw. wuzetkach, czyli decyzjach o warunkach zabudowy odnoszących się do pojedynczych działek zabudowywanych, nierzadko bez uwzględnienia uwarunkowań wynikających z otaczających je terenów i ich pierwotnego przeznaczenia. W konsekwencji doszło do prowadzonej na wielką skalę suburbanizacji i rozpraszania zabudowy mieszkalnej. Wiele miast i gmin pozbawionych jest miejscowych planów zagospodarowania, a istniejące często odnoszą się do stosunkowo niewielkich powierzchni, co nie przyczynia się do tworzenia spójnej i funkcjonalnej zabudowy w poszczególnych jednostkach administracyjnych.

Szczególnym przykładem chaotycznego zagospodarowywania terenu jest tzw. urbanistyka narolna polegająca na przeznaczaniu pod zabudowę mieszkalną działek rolnych, zlokalizowanych w znacznej odległości od tkanki miejskiej, skutkująca zmniejszaniem się strefy żywicielskiej. Zacytowane w raporcie PAN dane GUS wskazują, że w Polsce w końcu 2016 r. do sieci wodociągowej podłączonych było ponad 84 proc. mieszkańców, a do kanalizacji mniej niż połowa. Deficyt infrastruktury ściekowej sprzyja zaś powstawaniu zanieczyszczeń gleby i rozprzestrzenianiu się chorób. Zdaniem autorów publikacji dowolność w zagospodarowaniu przestrzennym generuje koszty w osadnictwie, infrastrukturze, na rynkach nieruchomości, w rolnictwie, w przede wszystkim w środowisku. Ekspansja zabudowy mieszkalnej na tereny rolnicze posiadające walory przyrodnicze powoduje blokowanie korytarzy ekologicznych. Rozproszenie zabudowy stwarza konieczność budowy nowej kosztownej infrastruktury. W miejscach, gdzie brakuje tej ostatniej, mieszkańcy są zmuszeni do korzystania z transportu indywidualnego, co powoduje zwiększenie natężenia ruchu, większą liczbę wypadków drogowych oraz wzrost zanieczyszczenia środowiska, a w szczególności postawanie smogu. Według danych zawartych w opracowaniu koszty transportu w Polsce wynoszą 21 mld zł rocznie i są czterokrotnie wyższe niż przeciętna w Unii Europejskiej.

W Ministerstwie Rozwoju, Pracy i Technologii trwają prace nad prawodawstwem regulującym planowanie i zagospodarowanie przestrzenne. „Wuzetki" mają służyć wyłącznie uzupełnianiu zabudowy na obszarach o już ukształtowanej strukturze funkcjonalno-przestrzennej. Nowością mają być m.in. standardy urbanistyczne (SU) dotyczące dostępu do podstawowych usług społecznych i infrastruktury, takich jak szkoła, przedszkole, przychodnia lekarska, sklep, transport miejski, tereny rekreacyjne. Plan ogólny ma być wiążący dla wszystkich gminnych dokumentów stanowiących podstawę do wydania pozwolenia na budowę. Nowe rozwiązania zostały poddane konsultacjom eksperckim i mają szansę sprzyjać bardziej zrównoważonej i przewidywalnej zabudowie niż praktykowana dotychczas. Mogą także odegrać kluczową rolę dla inwestycji, które będą powstawać w ramach planu odbudowy po pandemii.

"Tu była Warszawa"
Piotr Otrębski
poniedziałek, godz. 10.30

"Niedaleko od domu"
Dominik Wendołowski
czwartek, godz. 10.30

RADIO Warszawa 106,2 FM

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

Reklama | 36/0321/F

eprasa.pl 0e9cecca1b

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

Z którą opinią na temat Zjednoczonej Prawicy, czyli koalicji PiS, Solidarnej Polski i Porozumienia, zgadza się Pani/Pan bardziej?

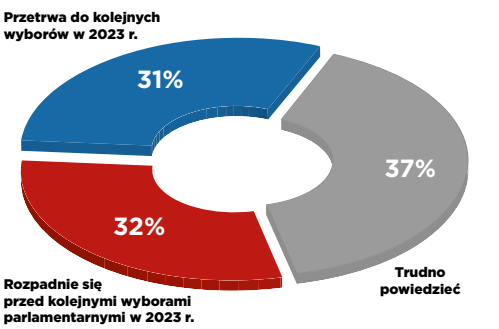

Czy zamierza Pani/Pan zapisać się lub już zapisała się Pani/zapisał się Pan na szczepienie przeciwko koronawirusowi?

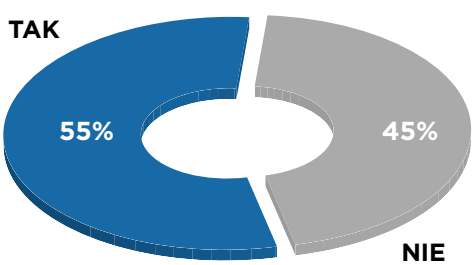

Czy popiera Pani/Pan wprowadzenie paszportów szczepionkowych, które miałyby poświadczać zaszczepienie przeciwko koronawirusowi i zapewniać np. większą swobodę podróżowania do innych krajów?

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1074.
Zakres czasowy badania 2–5 kwietnia 2021 r.

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaina

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x2, MIKEDOTTA, KAROLIS KAVOLELIS, FABOI, GUKZILLA, HOME FOR HEROES, BASILICO STUDIO STOCK, MONGKOLCHON AKESIN, PEOPLE IMAGE STUDIO /SHUTTERSTOCK,

eprasa.pl 0e9cecca1b

Zanurzeni w zieleni

Z Joanną Lewandowską, prowadzącą w TVP Kobieta program „Kwiaty na warsztat", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy każdy może mieć wokół siebie piękną zieleń? Nawet jeśli brak mu ręki do roślin?

Joanna Lewandowska: Jak wszystko, także wrażliwość na potrzeby roślin można wyćwiczyć. Wymaga to tylko czasu i uwagi – podobnie jak w sytuacji, gdy chcemy lepiej poznać drugą osobę; dowiedzieć się, co lubi, czego pragnie, z czego się śmieje... Przyda się też trochę cierpliwości, bo „goście", których zapraszamy do domu, mogą być kapryśni, np. fikus benjamina. Musimy sprawdzić, gdzie ustawiony, będzie czuł się najlepiej, ile wody potrzebuje. Zaopiekowany, odwdzięczy się.

W materiale promującym kanał TVP Kobieta i program „Kwiaty na warsztat" pojawiła się pani w pięknym wianku, ale w otoczeniu kaktusów. Jak to odczytać?

Nie planowałam konkretnego przekazu. Gdy powstawało nagranie, poczułam potrzebę przyozdobienia się kwiatami. Przy aprobacie kobiet uczestniczących w realizacji oraz reżysera wianek trafił na moją głowę, jakby od początku miał tam być.

W tym roku kwiecień plecie sporo zimnych nocy. Kiedy najlepiej wyjść z zielenią na balkon?

Jeżeli mamy posadzone w donicach rośliny wieloletnie, to już czas, by je poodkrywać, ale nie chować osłon, bo nawet do połowy maja i zimnych ogrodników oraz Zośki mogą się pojawić przymrozki. Możemy też zacząć wysadzać bardziej wytrzymałe na skoki temperatur, miododajne rośliny cebulowe, np. hiacynty czy szafirki. Nam sprawią radość, a owadom dadzą tak potrzebny im pożytek.

Fot. Materiały prasowe

Naszej Drogiej Koleżance

BEACIE RUSIECKIEJ-KOZŁOWSKIEJ

i całej Jej Rodzinie

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
oraz słowa wsparcia
z powodu śmierci Małżonka

Ś.P.
JANA KOZŁOWSKIEGO

przekazują

Członkowie Zarządów oraz koledzy i koleżanki z Fratrii i Apelli

Jesteśmy z Wami w tych trudnych chwilach
i zapewniamy o naszej pamięci.

Drogiej Koleżance

BEACIE RUSIECKIEJ-KOZŁOWSKIEJ

oraz Jej Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci Męża

Ś.P.
JANA KOZŁOWSKIEGO

przekazują

Zarząd oraz koledzy i koleżanki z Kasy Stefczyka

Łączymy się z Wami w bólu
i zapewniamy o naszej pamięci oraz wsparciu.

13/0121/F

eprasa.pl 0e9cecca1b

Pandemia zmieniła nasz świat na zawsze

Myślę, że w wakacje będziemy wracali do normalnego funkcjonowania. Nowy rok szkolny powinien się rozpocząć normalnie od września. Czwarta fala, jeżeli się pojawi, to ze względu na zbudowaną odporność oraz dzięki programowi szczepień nie będzie już miała takich rozmiarów jak fale poprzednie. Wojna trwa, ale jesteśmy już po lądowaniu w Normandii

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Adamem Niedzielskim, ministrem zdrowia

Czy naprawdę już nigdy nie wrócimy do czasów sprzed pandemii?

Adam Niedzielski: W pewnym sensie nie wrócimy. Dziś społeczeństwa, nie tylko polskie, mają dużo większą świadomość zagrożeń epidemicznych niż jeszcze rok temu. Tu chodzi o naszą odpowiedź na pewne zagrożenia, w tym szczególnie te epidemiczne. Ona będzie po prostu inna.

W jakim sensie?

Jeśli np. dowiemy się o jakimś nowym wirusie, który pojawił się gdzieś na świecie, to będziemy reagowali o wiele bardziej zdecydowanie. Szybciej będziemy wprowadzali różnego rodzaju środki bezpieczeństwa i ograniczenia. Także dlatego, że tych zagrożeń w kolejnych latach będzie coraz więcej.

Dlaczego sądzi pan, że zagrożeń będzie coraz więcej? Być może koronawirus był incydentem, minie i będzie, jak było?

Zmiana już się dokonała. Mówimy potocznie o kolejnych falach koronawirusa, ale w istocie są to już tak daleko zaawansowane mutacje, że mamy do czynienia ze zdecydowa-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0e9cecca1b

nie różniącymi się chorobami. Kolejne wersje wirusa mogą się wyrwać spod kontroli, niekoniecznie muszą poddawać się działaniu szczepionek, niekoniecznie muszą w ten sam sposób zakażać, mogą też mieć różną śmiertelność.

Czy nie są to jednak różnice dość szczegółowe, zauważalne głównie przez specjalistów?

Wystarczy porównać mutację brytyjską z koronawirusem, który przyszedł do nas wprost z Chin. Teoretycznie część społeczeństwa zyskała już odporność w czasie pierwszej i drugiej fali. Mieliśmy też już pewien poziom wyszczepienia. Można było więc oczekiwać, że trzecia fala natrafi na pewne bariery i nie będzie się tak szybko rozprzestrzeniała. Nic z tego: mamy wyższe poziomy zakażeń, hospitalizacji oraz śmiertelności.

Czyli dżin został już wypuszczony z tej butelki i nie da się go z powrotem zamknąć?

Nie chcę powiedzieć, że nigdy nie wrócimy do stylu życia sprzed pandemii. Na pewno jednak będziemy żyli w atmosferze większego zagrożenia. Ten dżin w postaci koronawirusa nie zniknie w najbliższym czasie. Będzie miał kolejne mutacje. Miejmy nadzieję, że uda nam się sprowadzić zagrożenie do poziomu, który prezentuje grypa.

Tak uważa prof. Chris Whitty, główny ekspert brytyjskiego rządu. Jego zdaniem koronawirus będzie tym, czym była grypa, a społeczeństwa zaakceptują pewien poziom śmiertelności.

Jest to bardzo prawdopodobne. Ale pamiętajmy, że nasz świat jest mniej bezpieczny również z tego powodu, że stale zwiększa się ingerencja człowieka w sferę przyrody. Nie tylko w sensie naruszania ekosystemów, lecz także poprzez badania naukowe czy inne zjawiska związane z globalizacją. Powstają nowe ryzyka. Dlatego pojawienie się nowych chorób i wirusów jest coraz bardziej prawdopodobne.

Gdy oglądaliśmy na ekranach telewizorów samoloty uderzające w World Trade Center, wiedzieliśmy, że nasz świat się zmieni. Że zmienią się zasady podróżowania, reguły bezpieczeństwa, zadania państw, sił zbrojnych, służb specjalnych. Może to jest taki moment w dziejach świata, jak 11 września 2001 r.?

Tak, to jest punkt krytyczny o podobnej skali. To jest moment, który zmienia filozofię naszego bezpieczeństwa. Tak jak już wiemy, że musimy się poddawać szczegółowym kontrolom na lotniskach, że nie możemy przewozić płynów, tak będziemy już wkrótce obserwowali, że w świecie po epidemii też trzeba będzie zachowywać się inaczej niż dotychczas.

Wspomniany prof. Whitty uważa, że społeczeństwa nie będą już akceptowały zamykania wszystkiego, czyli lockdownów. Że to narzędzie, które można było zastosować tylko raz czy dwa, ponieważ koszty społeczne i gospodarcze są straszliwe.

Są koszty, ale są i zyski, bo przecież celem jest ocalenie życia i zdrowia wielu ludzi. To, gdy obserwujemy efekty wprowadzanych obostrzeń, na razie się udaje. Ale widzimy jednocześnie, że o ile rok temu tzw. lockdown powodował gwałtowny spadek mobilności społecznej, o tyle dziś jest już z tym znacznie gorzej, co pokazują np. analizy danych telefonii komórkowych. Lockdown to ścieżka, której skuteczność – przynajmniej w Polsce – szybko się zmniejsza.

Dlaczego?

Wprowadzanie pewnych regulacji, obostrzeń czy zaleceń to jedno, a ich przestrzeganie i egzekwowanie to drugie. Lockdown jest najprostszą formą odpowiedzi na zagrożenie. Wraz z upływem czasu trzeba szukać bardziej zaawansowanych, subtelniejszych narzędzi. Trzeba również systematycznie rozbudowywać wydolność ochrony zdrowia. Nie chodzi tylko o liczbę łóżek, ale także o logistykę dostaw tlenu i leków czy transportu pacjentów. Musimy mieć też przemysł, który zdoła wytworzyć leki i szczepionki – na początku na licencjach zagranicznych, a potem na podstawie własnych badań.

Mamy problem z dyscypliną społeczną?

To jest czynnik, który w bardzo istotnym stopniu wpływa na to, jakie są skutki pandemii w różnych krajach. Oczywiście mówimy tu o pewnym zmęczeniu społecznym, ale jest też kwestia kultury społecznej, jeśli idzie o przestrzeganie regulacji. Nie zawsze chodzi o przepisy, czasem o zwykłe zalecenia czy wręcz prośby, apele. Z tą pandemią wygrywają państwa, które są bardziej zdyscyplinowane. Najlepiej wygląda to w krajach Azji, nie najgorzej na zachodzie i północy Europy.

Pytanie, jak na dyscyplinę społeczną wpłynęła postawa opozycji, która od pierwszego dnia podważała wszystkie rozwiązania. Gdy rząd zamykał, krzyczała, że to błąd. Gdy otwierał, także krzyczała. To szarpanie za nogawkę, brak lojalności wobec państwa w tak dramatycznym momencie musiały mieć społeczne echo.

Obejmując stanowisko ministra zdrowia, bardzo liczyłem, iż ta wyjątkowa sytuacja przyniesie ze sobą szczególne, konstruktywne podejście ze strony wszystkich sił politycznych. Niestety tego nie ma. Opozycja specjalizuje się we wkładaniu kija w szprychy, i to w każdym aspekcie. Atakowana jest polityka zakupowa z pierwszego okresu, a przecież wówczas cały świat desperacko walczył o cokolwiek, był to czas wielkiej niepewności. Cały czas obserwujemy też proces podważania autorytetu państwa w sferze przestrzegania regulacji. Mieliśmy również ostre ataki na szpitale tymczasowe. Podważana jest strategia szczepień. To nie jest działanie na rzecz dobra wspólnego. To jest polityka notorycznego dezawuowania wszystkiego.

Czy ta strategia przyniesie opozycji sukces?

Moim zdaniem nie. Żeby zyskiwać, trzeba mieć coś konstruktywnego do pokazania. Opozycja parlamentarna, ta najbardziej agresywna, nie ma w tej chwili niczego konstruktywnego do przekazania społeczeństwu.

eprasa.pl 0e9cecca1b

W czasie pandemii przez polskie miasta przetoczyło się też wiele demonstracji, w większości opozycyjnych. Czy rzeczywiście są dowody na to, że przyniosły one wzrost zakażeń?

Każdy protest, każde spotkanie większej liczby osób, ma swoje konsekwencje, ponieważ oznacza stworzenie możliwości transmisji wirusa. Nawet jeżeli spada liczba zakażeń, to protesty spowalniają te spadki. Wszystkie zgromadzenia, a już szczególnie takie, które związane są głośnym wyrażaniem emocji, a więc z emitowaniem – jak mówią fachowcy – „aerozolu", mają swoje konsekwencje pandemiczne. Także te najbardziej tragiczne, a więc hospitalizacje, zgony. Mój komentarz nie jest tu w żaden sposób ideologiczny. Takie są po prostu realia pandemiczne.

Krytycy lockdownów mówią tak: gdybyśmy te miliardy – i stracone, i wydane – skierowali na poprawę sytuacji w ochronie zdrowia, gdybyśmy skupili się na leczeniu, efekty byłyby lepsze.

Trzeba szukać rozwiązań optymalnych, trzeba wszystko wyważyć. Moglibyśmy postawić i wyposażyć nawet sto nowych szpitali, ale kto będzie w nich pracował? Brak lockdownu doprowadziłby do załamania się ochrony zdrowia, i to nie z powodu braku pieniędzy, lecz personelu. To byłyby tylko budynki z dobrą aparaturą. A wiemy, że wykształcenie lekarza zajmuje co najmniej 10–11 lat.

I ryzyko, że wyjedzie.

Oczywiście. Sprowadzanie lekarzy z zagranicy może nam trochę pomóc i już nam trochę pomaga. Jednak to wszystkich problemów nie rozwiąże. Dlatego podnosimy nakłady...

Na pewno w przyszłości na ochronę zdrowia trzeba będzie wydawać znacznie, znacznie więcej.

Jeśli chodzi o finansowanie, to decyzje o podniesieniu wydatków do poziomu 6 proc. PKB zapadły już przed pandemią. Teraz trzeba myśleć jeszcze odważniej, oczywiście w pewnej perspektywie. Ale wniosków jest więcej. System opieki zdrowotnej musi być poddany większej kontroli Ministerstwa Zdrowia. To jest konieczne i szczególnie uwidoczniło się w dobie zarządzania kryzysem epidemicznym.

Ochrona zdrowia jako infrastruktura krytyczna?

Tak. W Radomiu czy warszawskim Szpitalu Południowym powołałem pełnomocników w miejsce dotychczasowego kierownictwa. Zrobiłem to nie po to, by wchodzić w grę polityczną, lecz dlatego, że to był moment krytyczny, mieliśmy niedobór łóżek, zagrożone było życie pacjentów, a działania zarządcze znikome. W takiej chwili minister musi mieć w ręku niezbędne narzędzia zarządzania kryzysowego, które dadzą możliwość przyspieszenia pewnych procesów.

> Nie jestem zaszczepiony. Uważam, że muszę poczekać na swoją kolej. Mój rocznik ma być szczepiony pod koniec kwietnia

Czy zmieni się również podejście do pracowników ochrony zdrowia? Skoro to walka o życie, skoro to jest front, to jeszcze bardziej oczywiste staje się, że lekarz i pielęgniarka to zawody szczególne.

W tym wypadku instrumenty, które mamy, czyli delegowanie do pracy przez wojewodów do konkretnych zadań w walce z epidemią, wystarczają.

Były jednak i takie sytuacje, że wojewoda prosił, a samorząd delegował kilka osób.

Rozmowy z samorządami w tym aspekcie na pewno nie były satysfakcjonujące. Delegowano minimalną liczbę osób. Mamy tu problem z efektywnością, ale są też granice, które trzeba uwzględniać. Przymus nigdy nie jest najlepszą ani najbardziej skuteczną drogą.

Objął pan stanowisko ministra zdrowia w sierpniu zeszłego roku, więc nie odpowiada pan za pierwszy etap walki z zagrożeniem. Ale zapytamy: czy w pana ocenie coś należało zrobić inaczej?

Zawsze można zrobić coś lepiej. Dziś patrzymy na wszystko z innej perspektywy, mamy doświadczenia, których nie było na początku. Zapewne mogliśmy wcześniej zacząć budować szpitale tymczasowe, które dziś ratują system ochrony zdrowia. Bez tych szpitali niektóre województwa już dawno przekroczyłyby granicę wydolności.

Może nie należało zwijać szpitali jednoimiennych?

One nie były zwijane. Na pewnym etapie, gdy spadła liczba zakażeń, były udostępnione pacjentom z innymi schorzeniami. Pamiętajmy, że nie chodzi o to, by leczyć tylko COVID-19, ale by jednocześnie pomagać innym chorym. To jest cała sztuka, to jest istota wyzwania: by w odpowiednich momentach te relacje odpowiednio ułożyć. Raz przygotowana infrastruktura była i jest gotowa do działania, a jej uruchomienie jest szybsze.

Jaką ocenę można w sumie wystawić polskiej ochronie zdrowia?

To trudne pytanie, bo ta ocena obejmie także moją pracę, a tej sam nie powinienem oceniać. Wiem, że nie jest bardzo dobrze, że są problemy, martwi mnie liczba zgonów. Czy mogliśmy zrobić coś więcej? Odpowiedź nie jest oczywista. Z mojego punktu widzenia sprawność systemu i szybkość reakcji wzrosły, i to bardzo. Obecnie radzimy sobie z ogromną falą, która w pierwszym okresie całkowicie by nas złamała. Widzę duży przyrost zdolności reagowania infrastruktury – i szpitali, i administracji – na sytuację kryzysową. Oczywiście nie do przecenienia jest praca personelu medycznego, i tu nie ma żadnej dyskusji.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Fot. Andrzej Wiktor

Na ocenie tego, jak Polska przeszła przez pandemię, z pewnością zaważy bardzo wysoka liczba tzw. zgonów nadmiarowych, czyli tych wykraczających poza średnią z kilku lat. Dlaczego tylu ludzi umiera?

W czasie ostatniego roku testowana była wydolność ochrony zdrowia. Trzeba pamiętać, że wciąż dominującymi przyczynami zgonów są problemy kardiologiczne i onkologiczne. Nie chodzi o to, że przestaliśmy ludzi leczyć, ale o to, że leczyliśmy ich mniej efektywnie. Ale śmiertelność to także efekt nie najlepszego ogólnego poziomu zdrowia naszych obywateli. Pandemia, która uderza w zdrowsze społeczeństwo, przyniesie mniej ofiar niż w przypadku, gdy zagrożenie dotknie społeczeństwo schorowane. A średnia długość życia nie jest w Polsce szczególnie wysoka na tle Europy.

Społeczeństwa zachodnie są jednak wciąż sporo starsze. Teoretycznie powinny bardziej ucierpieć.

Nie są starsze, jeśli uwzględnimy średni przewidywany czas życia, w tym życia w zdrowiu.

Trwają szczepienia, jest nadzieja, że koszmar zbliża się do końca. Czy nie oznacza to jednocześnie, że cykliczne szczepienie stanie się stałym elementem naszego życia?

Tak, będziemy się musieli przyzwyczaić do pewnej regularności szczepień. A nawet jeśli koronawirus nie zdoła się wymknąć stosowanym obecnie szczepionkom i nie będzie mocno mutował, to musimy mieć jako państwo gotowy model szczepień na skalę masową. Zagrożenia epidemiczne nie muszą dotyczyć tylko koronawirusa – jak mówiliśmy. To już się dzieje, to jest wdrażane. To sprawność organizacyjna – punkty szczepień, dystrybucja szczepionek – przesądzi o skuteczności wychodzenia z tego kryzysu i z kolejnych.

Gdy w marcu prezydent Andrzej Duda na prośbę premiera Morawieckiego zadzwonił do prezydenta Chin i badał możliwość zakupu chińskiej szczepionki, pan dość stanowczo odrzucił taką możliwość. Dlaczego?

Proszę o precyzję. Powiedziałem, że nie możemy się zgodzić na to, by preparat, który nie został odpowiednio zweryfikowany i przebadany, został dopuszczony do użycia wśród polskiego społeczeństwa. Nie można szczepić obywateli bez gwarancji bezpieczeństwa. Wszystkie szczepionki dostarczone na polski rynek przeszły przez surowe sito Europejskiej Agencji Leków. Szczepionki chińskie jak dotąd nie przeszły tej drogi, nie zostały też zaakceptowane przez polskie instytucje nadzorcze. Nie przekreślam żadnej szczepionki, ale muszą być wiarygodne dowody, że to środki skuteczne, bezpieczne. Moją funkcją jest dbałość o zdrowie społeczne i staram się ją skutecznie pełnić.

Sytuacja jest jednak nadzwyczajna, trwa walka o życie. Czy nie należy czasem pójść nieco na skróty, nagiąć procedury, nawet wiedząc, że jest to związane z jakimś ryzykiem?

Kwestia, o jakich skrótach mówimy. Skróty w zakresie bezpieczeństwa nie wchodzą w grę. Szczepionki, które stosuje cała Europa, także i my, zostały dopuszczone po kilku miesiącach weryfikacji i analiz, na podstawie badań na dużych grupach. Proces rejestracji był często prowadzony równolegle z końcówką badań klinicznych. Pewne skróty więc są, ale trzeba pilnować bezpieczeństwa pacjentów.

Czy pan jest już zaszczepiony?

Nie. Uważam, że muszę poczekać na swoją kolej. Mój rocznik ma być szczepiony pod koniec kwietnia.

To jest w sumie coś niesamowitego: sztab kierujący walką z pandemią jest wciąż narażony na zarażenie, choć można tego uniknąć. To przecież pośrednie narażenie milionów ludzi na chaos i błędy.

Decyzje w tej sprawie już zapadły: rząd szczepi się tak jak wszyscy, w tej samej kolejności. Jedno w tym jest pocieszające: spotykam się z wieloma ludźmi, jeżdżę po Polsce, a jednak dzięki zachowywaniu dystansu, maseczce i dezynfekcji, jak dotąd uniknąłem zakażenia. Nie mam przeciwciał, co potwierdza, że zakażenia raczej nie przeszedłem. Niedawno zaszczepiliśmy Rządową Agencję Rezerw Strategicznych, a więc instytucję krytyczną w dystrybucji szczepionek. I proszę zobaczyć, od razu krytyka.

Czy uważa pan, że zastrzeżenia wobec szczepionki firmy AstraZeneca zostały ostatecznie wyjaśnione?

eprasa.pl 0e9cecca1b

Według Europejskiej Agencji Leków problemy zakrzepowe po tej szczepionce wystąpiły u bardzo ograniczonej liczby kobiet poniżej 55. roku życia. Teraz trwa dyskusja, gdzie dokładnie jest ta granica wieku i czy są to problemy rzeczywiście związane z samą szczepionką, czy też z większym stopniem zaszczepienia tej grupy. W Polsce nie mamy do czynienia z żadnym zgonem po szczepionce AstryZeneki. Wypada nadmienić, że po aplikacji blisko 7 mln szczepień mamy niecałe 0,1 proc. niepożądanych odczynów poszczepiennych.

Pan zaszczepiłby się AstrąZenecą?

Oczywiście, bez wahania.

Jak układa się panu współpraca z ministrem Michałem Dworczykiem? Czy dochodzi między wami do konfliktów?

Rozmawiamy często, kilka razy w ciągu dnia, i telefonicznie, i osobiście. Rozwiązujemy na bieżąco wszystkie problemy, nie ma żadnych konfliktów. Cenię pracę ministra Dworczyka.

Czy Szymon Hołownia, który skorzystał z błędu systemu i zaszczepił się na początku kwietnia, popełnił jakiś błąd?

Widzę pewną niespójność deklaracji z działaniami. Jeśli mówi się głośno o błędzie, o skandalu, to nie powinno się być skłonnym do wykorzystywania tej sytuacji w swoim interesie.

Czy popiera pan wprowadzenie paszportów covidowych, nad którymi pracuje teraz Komisja Europejska?

Wolałbym tu używać sformułowania „certyfikaty". Paszport to dość niefortunnie użyte słowo w tym przypadku, bo kojarzy się z ograniczeniami. Ja bym wolał, żeby skojarzenie było z zyskiem, a nie ze stratą. W Polsce mamy już dziś certyfikaty szczepionkowe. Ale mówienie o paszporcie, gdy dziś szczepienia nie są jeszcze powszechne, jest przedwczesne. Dyskusja o tym rozwiązaniu jeszcze przed nami. Mamy tu trochę argumentów w dyskusji.

Czy zgadza się pan z opinią ekspertów WHO, którzy sądzą, że koronawirus ma pochodzenie zwierzęce, że przeniósł się na człowieka? Ta sprawa budzi wiele emocji, bo COVID-19 to rzeczywiście „żmijowa" choroba, szybko niszcząca organizm, trudna do powstrzymania. Patrząc z zewnątrz, wydaje się, że ma pewne cechy broni biologicznej.

Trzeba pamiętać, że WHO nie była w sprawie koronawirusa nieomylna, zwłaszcza na początku pandemii, i to ma swoje skutki choćby w ocenie działań organizacji. Patrząc na pewien globalny kontekst całej sytuacji pandemicznej, na to, kto zyskuje w wyniku obecnego kryzysu, niektórzy formułują pewne hipotezy, ale ja nie mam wystarczającej wiedzy, by przesądzić o tym, jak było.

> W Polsce nie mamy do czynienia z żadnym zgonem po szczepionce firmy AstraZeneca. Wypada nadmienić, że po aplikacji blisko 7 mln szczepień mamy niecałe 0,1 proc. niepożądanych odczynów poszczepiennych

Jaki jest pana stosunek do amantadyny, która zdaniem niektórych lekarzy pomaga w leczeniu COVID-19? Wiele osób pyta: może ci lekarze się mylą, ale dlaczego tego szybko nie sprawdzić? Stawka jest wysoka.

Nie odrzucam możliwości, że ten lek pomaga. Mamy jednak określone zasady dopuszczania leków do leczenia konkretnych chorób. Ponieważ otrzymujemy sygnały, że amantadyna ma pewien potencjał leczenia – podkreślam, na razie to tylko potencjał – to konieczne są badania kliniczne. I te badania zostały przeze mnie zlecone, prowadzi się je w kilku ośrodkach, m.in. u prof. Konrada Rejdaka w Lublinie. Agencja Badań Medycznych zareagowała bardzo szybko. Za około 10 dni powinniśmy mieć wstępne wyniki i wówczas zobaczymy, jakie są efekty stosowania tego leku w walce z COVID-19. To, że poszczególni lekarze zalecają ten lek, prowadzą leczenie eksperymentalne, mieści się w granicach sztuki lekarskiej, ale to nie może być podstawą zaleceń systemowych.

Czy nie można było jednak działać szybciej? Zezwolić na stosowanie tego leku warunkowo?

Musimy zachować ostrożność. Część zgonów wynika z tego, że ludzie zbyt późno zgłaszają się po pomoc, ponieważ leczą się sami, np. koncentratorami tlenu, które należy stosować dopiero po wyjściu ze szpitala, a nie w okresie, gdy choroba się rozwija. Złe zastosowanie amantadyny również może być niebezpieczne. Mieliśmy już do tej pory kilka fałszywych sygnałów co do różnych cudownych leków, które rzekomo były bardzo skuteczne w walce z koronawirusem. Był nawet wątek chininy...

...tej, którą pamiętamy z „W pustyni i w puszczy"?

Tak. Skończyło się na niczym. Trzeba czekać. Bo mamy także wiele sygnałów ze szpitali, że trafiają tam bardzo często również osoby, które stosowały amantadynę. COVID-19 to choroba, w której kluczowe są pewne krytyczne momenty w stosowaniu leków. Jeśli medykamenty stosuje się w nieodpowiednim czasie, to one potrafią zaszkodzić, choćby dlatego, że odwlekają hospitalizację. Często jest więc tak, że trudno o jednoznaczną ocenę konkretnych medykamentów, nie tylko amantadyny. Jest dużo leków, które mają charakter antywirusowy, ograniczający postęp choroby, ale wówczas gdy tego wirusa jest mało. Później mogą szkodzić, bo zamazują obraz.

Dlaczego koronawirus jest tak zabójczy? Na czym polega wyjątkowość tej choroby?

eprasa.pl 0e9cecca1b

Koronawirus po prostu demoluje płuca. Całe obszary płuc zaczynają być martwe. To jest straszna choroba, i to nie tylko w odniesieniu do ciężkich przypadków. Każdy, kto zaprzecza istnieniu COVID-19, a niestety wciąż są tacy ludzie, bardzo, bardzo błądzi.

W jaki sposób zamierza pan rozwiązać problem niecovidowych problemów zdrowotnych Polaków? Jak rozładować tę niebezpieczną górkę, która narosła w czasie pandemii?

Trzy rozwiązania już ogłosiliśmy. Po pierwsze, przekształcamy pilotaż krajowej sieci onkologicznej w rozwiązanie systemowe. Pracujemy nad ustawą, powołamy krajowe ośrodki referencyjne, które będą konsultowały pacjentów z ośrodków mniejszych, tak by to leczenie było na odpowiednim poziomie. Po drugie, będzie budowana krajowa sieć kardiologiczna. Po trzecie, zapewniamy rehabilitację pocovidową w trybie szpitalno-uzdrowiskowym, ambulatoryjnym i domowym.

Opozycja proponuje powołanie stu szpitali bezlimitowych, które mogłyby leczyć bez oglądania się na koszty. Może to dobry pomysł?

Na razie czekamy, aż opadnie trzecia fala. Wówczas będziemy informowali o kolejnych planach, które tak naprawdę tylko na ogłoszenie czekają, bo są już gotowe. Mówię tu o zdjęciu limitów w leczeniu specjalistycznym oraz wprowadzeniu badań profilaktycznych 40+. Trwają też prace nad reformą szpitalnictwa. Dziś często szpitale się zadłużają, bo konkurują ze sobą o tego samego pacjenta i ten sam personel. Mamy szpitale w sąsiednich powiatach, które zamiast uzupełniać swoją działalność, walczą o pozyskanie pacjentów. To sytuacja chora. Wprowadzimy ustawę o jakości. Szpitale, które będą dawały gwarancję pewnego standardu usług, będą miały możliwość nielimitowanego ich świadczenia we wszystkich zakresach. Na ochronę zdrowia pójdzie też duża część pieniędzy z Krajowego Funduszu Odbudowy.

Pandemia oznacza dla społeczeństw wstrząs jakoś porównywalny z wojną. Pan ma poczucie, że to jest wojna?

Dla nas w ministerstwie czas pandemii to rzeczywiście czas wojny. Wojny z covidem. W sąsiedniej sali mamy sztab kryzysowy, stale analizujemy napływające informacje i dane, telefony dzwonią bez przerwy. Codziennie rozmawiamy z wojewodami o sytuacji w regionach. W sensie sztuki zarządzania to jest wyzwanie z najwyższej półki. W sensie technicznym wyzwanie pokroju wojennego. Notabene wojsko przecież też angażuje się w walkę z COVID-19.

Nadchodzi nowa epoka. Epoka, w której ochrona zdrowia stanie w centrum sporów politycznych. Z pewnością ma pan świadomość, że ten temat będzie decydował o wyniku wyborów?

Już kampania prezydencka pokazała, że to będzie temat numer jeden. Musimy zbudować system, który jest przejrzysty dla pacjenta, gwarantuje sensowne wydatkowanie pieniędzy i daje poczucie bezpieczeństwa, także finansowego i także dla personelu medycznego.

> Za około 10 dni powinniśmy mieć wstępne wyniki badań amantadyny i wówczas zobaczymy, jakie są efekty stosowania jej w walce z COVID-19

Jak wygląda pana zwyczajny dzień w czasie pandemii? Czy to jest ciągłe oczekiwanie na najnowsze dane?

Przez bardzo długi okres kluczowa była godz. 10.00, gdy sumowaliśmy spływające dane i ogłaszaliśmy komunikaty. Jednak przez ostatnie miesiące bardzo rozbudowaliśmy nasz system zarządzania informacją. Zakażenia i zgony oraz skierowania na testy monitorujemy teraz z godziny na godzinę, sprawdzamy te dane na bieżąco w systemie informatycznym, którego końcówkę mamy w naszych telefonach służbowych. Mamy też algorytmy, na podstawie których możemy obliczyć prognozę zakażeń w danym dniu. Więcej wiemy. Oczywiście oznacza to też więcej stresu, więcej nerwów.

Nie lepiej denerwować się raz na dobę niż co godzinę?

To jest ważna nauka płynąca z zarządzania pandemią: państwo musi mieć bardzo rozbudowane możliwości analityczne. Muszą być zespoły specjalistów, którzy zbierają dobrej jakości dane, rozumieją je i umieją przetworzyć te informacje, a więc zbudować prognozy, stworzyć wskaźniki, które na zasadzie barometru pokazują, co będzie się działo w najbliższym czasie. Zarządzanie pandemią to w bardzo dużym stopniu działalność analityczna.

Czy coś pana zaskoczyło w czasie tych ostatnich miesięcy? Na kimś się pan zawiódł?

Mam świetnych współpracowników, mam pełne wsparcie polityczne, mamy mimo wszystko stabilność polityczną. Zaskoczyła mnie natomiast skala hejtu płynącego z różnych stron. Ze strony tzw. koronasceptyków, antymaseczkowców, antyszczepieniowców, przeciwników różnych ograniczeń, czy w końcu opozycji. Poziom nieracjonalności, brak możliwości prowadzenia dyskusji, niedopuszczanie do siebie argumentów – to wszystko naprawdę zrobiło na mnie wielkie wrażenie.

Kiedy to się skończy? Kiedy zaczniemy żyć normalniej?

Myślę, że w wakacje będziemy wracali do normalnego funkcjonowania. Nowy rok szkolny od września powinien rozpocząć się normalnie, na co liczą nie tylko dzieci i rodzice, ale także minister zdrowia. Czwarta fala, jeżeli się pojawi, to ze względu na zbudowaną odporność oraz dzięki programowi szczepień nie będzie już miała takich rozmiarów jak fale druga czy trzecia. Wojna trwa, ale jesteśmy już po lądowaniu w Normandii.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Władza chłopców, niezależnie od politycznych barw, to najgorszy scenariusz, jaki można sobie wyobrazić dla Polski

Chłopcy chcą rządzić

Fot. Andrzej Wiktor

STANISŁAW JANECKI

Przypadek Szymona Hołowni, który wykorzystał błąd systemu i zaszczepił się przed seniorami, mimo że ma dopiero 44 lata, nie jest żadną niespodzianką. Hołownia należy bowiem do politycznej i mentalnej kategorii „chłopców", którzy weszli do polskiej polityki. Prekursorami władzy chłopców byli Donald Tusk i Kazimierz Marcinkiewicz, mający w 2005 r. tworzyć PO-PiS, czyli koalicyjne rządy Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości. Jednym z powodów, dla których takiej koalicji nie zawarto, była właśnie chłopięcość, czyli bardzo małe (o ile jakiekolwiek) poczucie odpowiedzialności, przekonanie o tym, że jest się bardzo sprytnym, beztroska, niedojrzałość, brak powagi, a więc postrzeganie polityki czy spraw państwowych w kategoriach zabawy, a co najwyżej przygody.

Co charakterystyczne, o ile Donald Tusk swoją chłopięcość próbował przezwyciężać lub co najmniej ukrywać (z marnymi skutkami), o tyle Kazimierz Marcinkiewicz, jako premier, dopiero w niej zasmakował. Wynikało to z różnicy doświadczenia i politycznej rangi. Tusk działał w poważnej polityce

eprasa.pl 0e9cecca1b

co najmniej dekadę dłużej niż Marcinkiewicz i przegrywał różne konfrontacje w partiach, do których należał, głównie z powodu chłopięcości. Choć ta cecha pomagała mu także wygrywać – w roli chłopaka z sąsiedztwa, swojaka i kumpla. Tusk taki był, od kiedy stał się formalnie dorosły, o czym w autobiograficznej książce „Między nami" dość obszernie pisała jego żona Małgorzata.

Marcinkiewicz uroki chłopięcości odkrywał dopiero po czterdziestce. Ponieważ Tusk nad wadami swojej chłopięcości pracował, nie padł jej ofiarą, chociaż ofiarą była tu w jakimś sensie Polska. Marcinkiewicz nie pracował, a wręcz po utracie władzy poszedł „na całość", więc skończyło się to osobistą katastrofą, z której skutkami zmaga się do dziś.

Do katastrofy w kategoriach prawnych chłopięcość doprowadziła zaufanego człowieka Donalda Tuska – Sławomira Nowaka. Zresztą w rządzie Tuska Nowak rywalizował z nim o pierwszeństwo właśnie w chłopięcości, która najlepiej sprzedaje się w mediach.

Obecnie w polskiej polityce mamy prawdziwą inwazję chłopców, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Chłopcy po prostu uznali, że nadszedł ich czas w drodze do władzy.

WŁADZA LEKKA, ŁATWA I PRZYJEMNA

Chłopcy w polskiej współczesnej polityce to obok Szymona Hołowni m.in. politycy PO (KO) Borys Budka, Rafał Trzaskowski, Cezary Tomczyk, Sławomir Nitras, Michał Szczerba, Dariusz Joński. To lewicowi posłowie Krzysztof Gawkowski, Robert Biedroń, Krzysztof Śmiszek czy Maciej Gdula. To Krzysztof Bosak, Sławomir Mentzen czy Jakub Kulesza z Konfederacji. To Michał Wypij z Porozumienia i Janusz Kowalski z Solidarnej Polski. To lewicowy eurodeputowany Łukasz Kohut. To Łukasz Rzepecki w Kancelarii Prezydenta. To w pewnym sensie także prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, który z chłopięcością walczy, a jednocześnie nie chce się z niej wyzwolić.

O chłopięcości, mimo ewidentnych problemów semantycznych, można też mówić w wypadku sporej grupy kobiet we współczesnej polskiej polityce, i w żadnym razie nie chodzi tu o kwestie tożsamości. Po prostu termin „dziewczęcość" nie oddaje tego, co kryje się za „chłopięcością". Chłopców cechuje pewien brak umiaru w tym, co mówią, i całkowita nonszalancja, gdy chodzi o skutki tego, co robią. Generalnie chłopcy bawią się polityką jako lekką, łatwą i przyjemną formą kariery. Realizują siebie, natomiast polityka wymaga przede wszystkim zajmowania się innymi i służenia innym. Ważną cechą chłopców w polityce jest krótkoterminowość, nastawienie na to, co tu i teraz, życie chwilą.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

Modelowymi przykładami chłopców są Szymon Hołownia i Rafał Trzaskowski. Każde wystąpienie Hołowni to materiał do studiów nad chłopięcością. Jej cechą charakterystyczną jest „zagadywanie" wszystkiego zamiast rozwiązywania problemów. Dużo w tej narracji wątków osobistych, swego rodzaju autoprezentacji (mieszającej się z lansem i narcyzmem), dużo chaosu typowego dla potocznej komunikacji i ogromna dawka emocji (odgrywanych): od histerycznego śmiechu po płacz i zgrzytanie zębów.

Kiedy Szymon Hołownia tłumaczył to, dlaczego błyskawicznie się zaszczepił, gdy błąd systemu otworzył mu furtkę, nie było w tym cienia zmierzenia się z problemem etycznym, uznania jakiegokolwiek błędu. Było typowe dla chłopców przerzucenie odpowiedzialności na innych, wręcz pochwała własnego czynu – jako formy zwrócenia uwagi na potrzebę masowych szczepień, niezależnie od grup wiekowych czy społecznych. Hołownia zaprezentował się jako ambasador dobrej sprawy, którą rządzący wypaczyli, a on tylko pomógł te błędy i wypaczenia wskazać oraz zrozumieć.

Podobnie zachowywał się Rafał Trzaskowski po awariach systemu odprowadzania ścieków w Warszawie. I podobnie zachowuje się przy kolejnych podwyżkach opłat, ostatnio za wywóz śmieci. Typowa dla chłopców beztroska nie uwzględnia rzeczywistych związków przyczynowo-skutkowych. Spójna ma być wyłącznie narracja. Chłopcy nigdy nie biorą pełnej odpowiedzialności za swoje czyny i słowa, licząc na to, że nierozwiązywalne czy trudne sprawy same się rozwiążą lub

epresa.pl 0e9cecca1b

ktoś to za nich zrobi. Jak Trzaskowski, za którego rząd rozwiązał problem lejących się do Wisły ścieków, gdy doszło do pierwszej awarii.

BYĆ JAK MACRON

Władza chłopców, niezależnie od politycznych barw, to najgorszy scenariusz, jaki można sobie wyobrazić. Przede wszystkim dlatego, że chłopcy nie czują związku między decyzjami a ich skutkami. I nie chcą ponosić odpowiedzialności za swoje czyny bądź słowa. Chłopcom się wydaje, że rzeczywistość jest czymś w rodzaju gry komputerowej, w której wszystko jest możliwe, nie ma się jednego życia, więc można przećwiczyć różne warianty, nawet podróżując w czasie. Z tego powodu chłopcy nie potrafią realistycznie ocenić wagi różnych spraw, w tym niebezpieczeństw i zagrożeń. Istnieje duże ryzyko, że w razie poważnego zagrożenia chłopcy po prostu się poddadzą. Albo oddadzą się komuś w opiekę.

Jako opiekun, który za nich wszystko załatwi, jest przez wielu chłopców postrzegana Unia Europejska. Nawet jeśli nie mieliby pojęcia, co robić, zdobywając władzę, wystarczy poczekać na instrukcje i procedury z Brukseli. A potem instytucje europejskie wszystko za nich zrobią. W przypadku eurosceptyków podobną rolę ma odgrywać niewidzialna ręka wolnego rynku. Albo Chiny czy Rosja jako alternatywa dla Unii Europejskiej. Chłopcy nie są samodzielni i być nie muszą, skoro nie liczy się cel rządzenia, ale samo to, że się sprawuje władzę.

I trudno liczyć na to, że mając władzę, chłopcy wyrosną ze swojej chłopięcości, znane przypadki dowodzą bowiem, iż już sprawując władzę, bardzo często z chłopięctwa się nie wyrasta, tylko się je pogłębia. Takim przypadkiem może być na przykład były minister zdrowia Bartosz Arłukowicz. Ale przede wszystkim były minister sprawiedliwości Borys Budka. Budkę od innych chłopców różni tylko bardziej koturnowy sposób bycia, co jest też zresztą cechą chłopców z Konfederacji. Zapewne wynika to z kompleksu prymusa i towarzyszącego mu poczucia wyjątkowości.

> Chłopców w polityce cechuje pewien brak umiaru w tym, co mówią, i całkowita nonszalancja, gdy chodzi o skutki tego, co robią. Generalnie bawią się polityką jako lekką, łatwą i przyjemną formą kariery

Rządy chłopców byłyby najgorszym, co mogłoby spotkać Polskę po 1989 r. Dotychczas chłopcy byli równoważeni przez „dorosłych" polityków, obecna fala zaś chce mieć władzę na wyłączność. To ma być ta zmiana jakościowa w polskiej polityce. I władza chłopców ma być dużo lepsza od powagi władzy dziadersów, czyli tradycyjnych polityków. Dlaczego? Bo władza chłopców ma być lekka i przyjemna, podczas gdy władza dziadersów jest siermiężna i opresyjna. Ponadto chłopcy wyobrażają sobie, że rządzić można niejako z doskoku, poza nią prowadząc przyjemne życie. Taki sposób rządzenia lansuje przecież Rafał Trzaskowski. O tym, co można zrobić z doskoku, przekonuje los jego ruchu Wspólna Polska. A najgorsze konsekwencje sprawowania władzy (kierowania czymś) w stylu beztroskiego chłopca uzmysławia marny los Sławomira Nowaka. I w jakimś sensie Kazimierza Marcinkiewicza, który nie chce wyrosnąć z chłopięcości nawet po sześćdziesiątce, stąd jego pomysł walki na pięści (w czerwcu 2021 r.).

Wzorcem z Sèvres chłopca u władzy ma być prezydent Francji Emmanuel Macron. Tyle tylko, że Macron jest mimo wszystko dość typowym absolwentem francuskiej kuźni kadr dla polityki, mającym za sobą klasyczną drogę kariery. Jego chłopięcość jest raczej stylem sprawowania władzy niż metodą, choć nie pozostaje bez znaczenia, o czym przekonuje choćby jego sposób traktowania praw pracowniczych czy związków zawodowych. Urokowi chłopięcości Macrona, wychwalając ją pod niebiosa, uległy podczas jego wizyty w Polsce takie osoby jak Agnieszka Holland, Adam Michnik, Krystyna Zachwatowicz-Wajda, Krzysztof Warlikowski, Wojciech Pszoniak czy Andrzej Seweryn. U nas jednak nie widać wśród chłopców nikogo, kto miałby podobne do Macrona kwalifikacje do sprawowania najwyższych stanowisk w państwie. A duża grupa chłopców, która chce się dobrać do władzy, budzi raczej przerażenie niż podziw.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl 0e9cecca1b

Zrzutka na laptopa

30-letnia aktywistka Hanna Zagulska nie czuje żadnego zażenowania, prosząc obcych ludzi o sfinansowanie jej zakupu komputera i „przestrzeni do grania w gierki". Jej partner, również lewicowy aktywista Jaś Kapela, nie widzi w tym problemu. Jego zdaniem kult ciężkiej pracy to „mentalność niewolnicza". Człowiek postępowy jest od pracy „wyzwolony", więc nie będzie się zniżać do poziomu niewolnika

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Co zrobić, gdy brakuje pieniędzy na zakup komputera? Są różne możliwości: można zarobić i zaoszczędzić, można wziąć kredyt lub kupić sprzęt na raty, można też – ostatecznie – pożyczyć od rodziny lub od znajomych. Takie – wydawałoby się – oczywiste opcje przedstawił na Twitterze 32-letni dziennikarz Łukasz Rogojsz. Jego niemalże rówieśnica, 30-letnia aktywistka lewicowa Hanna Zagulska, wybrała jednak zupełnie inny sposób pozyskania funduszy i zorganizowała publiczną zbiórkę. „Dzięki tej zrzutce kupię komputer, powstanie moja wymarzona przestrzeń do nauki, pisania, pracy, robienia rzeczy, grania w gierki i spotykania z terapeutką" – napisała.

Trochę to zadziwiające, że 30-letnia kobieta nie czuje żadnego zażenowania, prosząc obcych ludzi o sfinansowanie jej zakupu komputera i „przestrzeni do grania w gierki". Co więcej, taka prośba jest arogancka, zwłaszcza wobec tych, którzy znajdując się w podobnej, a nierzadko gorszej sytuacji życiowej, muszą ciężko pracować, niekiedy poniżej swoich kwalifikacji i za marne wynagrodzenie. Jeszcze trudniej zrozumieć podobne zrzutki organizowane przez ludzi, przynajmniej werbalnie utożsamiających się z lewicą. Jak wytłumaczyć bowiem kogoś, kto z jednej strony deklaruje się jako osoba walcząca z nierównościami, a z drugiej strony uważa się najwyraźniej za przedstawicielkę „lepszej" części społeczeństwa, która nie będzie się zniżać do wykonywania kiepskiej pracy, bo określone dochody i warunki życia po prostu jej się należą?

Tę pozorną dla dzisiejszej lewicy sprzeczność dobrze wyjaśnił współpracownik „Krytyki Politycznej", lewicowy aktywista i przy okazji partner Hanny Zagulskiej Jaś Kapela. „Precz z etosem pracy, niech żyje etos zabawy!" – napisał on dwa lata temu. „Tak zaprojektowała nas ewolucja – do zabawy, a nie do pracy." Ostatnio dodał jeszcze, że kult ciężkiej pracy to „mentalność niewolnicza".

Zatem człowiek postępowy jest od pracy „wyzwolony" i nie będzie się zniżać do poziomu niewolnika. Gdy mu czegoś brakuje, to oczekuje, że pensję wypłacą mu inni. Dziś jeszcze w formie dobrowolnej zrzutki, a jutro – może z ciężko zarobionych pieniędzy dzisiejszych niewolników? Kto wie?

NA CUDZY KOSZT

Zrzutka na komputer ogłoszona przez „walczącą o równe prawa" aktywistkę oburzyła wielu, często przypadkowych

eprasa.pl 0e9cecca1b

ludzi, którzy odpowiadali jej wprost, że mając 30 lat, powinna „wziąć się za jakąś robotę". Zagulska, która przedstawia się jako „aktywistka społeczna, doradczyni PRowa, poetka i kampanierka", uznała takie odpowiedzi za przejaw hejtu, a Jaś Kapela dodał, że jego partnerka oprócz komputera poszukuje również „pracki", bo jest – jak stwierdził – „utalentowaną fundraiserką i organizatorką". Co do talentu w kwestii zbierania funduszów miał zapewne rację, bo Zagulska w ciągu paru dni zebrała ponad 7 tys. zł. Zdaniem Kapeli pozwoli jej to kupić MacBooka „bez konieczności jechania na zmywak, podlizywania się faszystom czy pisania gównoartykułów: ola boga aktywistka zbiera na prezent, a chore dzieci cierpią" (pisownia oryg.).

Wiele wskazuje na to, że ferment wzbudzony wokół zrzutki był celowym zabiegiem mającym ułatwić Zagulskiej znalezienie pieniędzy. Zwłaszcza że wśród jej darczyńców pojawili się inni aktywiści lewicy, w tym żyjący – wedle własnych słów – z podobnych zrzutek Bart Staszewski, znany głównie ze zorganizowania propagandowej akcji „stref wolnych od LGBT". Wszyscy, zarówno darczyńcy, jak i obdarowana, sprawiali wrażenie bardzo uradowanych faktem, że swoją zrzutką zirytowali wielu ludzi. Pieniądze na coraz bardziej wypasiony komputer znalazły się bowiem w ciągu kilku dni, podczas gdy frajerzy muszą na podobny sprzęt harować miesiącami. Nie mówiąc o wyśmiewanych chorych dzieciach.

Ciułanie, zarabianie, harówka – to rzeczy, którymi coraz większa część współczesnej lewicy gardzi. Praca wiąże się zresztą z koniecznością utrzymania rodziny, a tę lewica również zwalcza. To dla niej forma patriarchalnego i ekonomicznego wyzysku, od którego prawdziwie nowoczesny człowiek powinien się wyzwolić. Podobnie jak od innych ogólnie przyjętych norm kulturowych i społecznych. Jeśli więc ktoś w nich tkwi, to sam jest sobie winien i nie powinien liczyć na pomoc ani na współczucie.

Ciułanie, zarabianie, harówka – to rzeczy, którymi coraz większa część współczesnej lewicy gardzi. Praca wiąże się zresztą z koniecznością utrzymania rodziny, a tę lewica również zwalcza

Odrzucenie „kultu ciężkiej pracy" jako formy niewolnictwa jest więc w rzeczywistości dążeniem współczesnej wielkomiejskiej lewicy do jej społecznego i finansowego uprzywilejowania, kosztem ciężko zarabiającej większości.

SPOSÓB NA ŻYCIE

Hanna Zagulska nie jest pierwszą osobą, która zarabia na zrzutkach. Wcześniej był „Margot", a jeszcze przed nim Mateusz Kijowski. Przy czym Kijowski, który zbierał na KOD, kupił sobie iPhone'a i wyjechał do Ameryki, co ostatecznie zakończyło jego krótkotrwałą karierę w roli lidera „oddolnego protestu". „Margot" Szutowicz wraz ze swoją partnerką „Łanią" zebrali na fali niedawnych protestów antypisowskich aż 200 tys. zł i byli na tyle uczciwi wobec swoich darczyńców, że wprost przyznawali, iż potrzebują pieniędzy m.in. na „wegepickę i wakajki". Oficjalnie dodawali jednak, że rozdysponują sporą część funduszy na inicjatywy „bliskie ich kolektywowi" w rodzaju wsparcia „młodzieży transpłciowej" oraz regeneracji „aktywistów zmagających się z wypaleniem". Co to dokładnie oznacza, tego nikt nie wie. Różnie można się przecież regenerować, choć najlepiej znane metody regeneracji to wakacje, relaks lub zabawa.

Ze zrzutek żyje również aktywista LGBT Bart Staszewski. To z zebranych pieniędzy miał sfinansować sporą część swojego „projektu" polegającego na fotografowaniu tablic z fikcyjnym napisem informującym o „strefach wolnych od LGBT". Staszewski założył również profil w serwisie Patronite, gdzie każdy może go sponsorować.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Z wpłat zamierza również korzystać Marta Lempart stojąca na czele tzw. Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Ostatnio zorganizowała ona „zrzutkę na tacę", która ma zbierać fundusze na propagandę antykatolicką w rodzaju plakatów, wlepek i obraźliwych billboardów. Niektóre z nich zawisły już w dużych miastach Polski.

Określenie „zrzutka na tacę" jest tu świadomym nawiązaniem do kościelnej zbiórki pieniędzy w trakcie mszy. Siląc się na drwinę, radykalna lewica przyznaje się tym samym do parareligijnego charakteru swojej działalności, która w dużym stopniu jest finansowana z datków gorliwych, nawiedzonych wyznawców. Zrzutki tworzą zresztą lojalną i scementowaną wspólnotę skupioną wokół jednego, ideologicznego celu.

SKŁADKA NA FUNKA

Lewicowcy drwią sobie z liberałów, którzy zżymają się na absurdalne zrzutki, tłumacząc im, że tak ubóstwiany przez nich wolny rynek polega również na swobodzie wydawania prywatnych pieniędzy. To prawda, żyjemy w wolnym kraju i każdy może wydawać własne pieniądze, na co tylko chce, w tym również na finansowanie cudzych komputerów, wakacji oraz różnych głupich lub szkodliwych inicjatyw. Z drugiej jednak strony popularność omawianych zrzutek świadczy o tym, że możliwości finansowe środowisk wspierających lewicę są w Polsce całkiem spore. Nie mamy więc chyba do czynienia z ludźmi jakoś szczególnie wykluczonymi lub ciężko doświadczonymi życiowo.

Zdobywanie funduszy poprzez zbiórki ma również tę zaletę, że można łatwo ukryć rzeczywiste źródła gotówki. Wyobraźmy sobie bowiem, że jakaś duża instytucja chce anonimowo przekazać komuś większą sumę pieniędzy. Może zrobić to oficjalnie, np. przelewem, ale może też podzielić kwotę dotacji na małe sumy i poprzez sieć zaufanych osób, skorzystać właśnie ze zrzutki. Nie oznacza to, że wszystkie inicjatywy lewicy są w ten sposób finansowane, bo z pewnością ma ona sporo rzeczywistych wyznawców gotowych oddać dla „sprawy" swoje pieniądze, ale przecież takiego scenariusza wykluczyć całkiem nie można.

W tym wszystkim można się też doszukać skojarzeń z dziewiczym okresem komunizmu, gdy działacze wielu nielegalnych w okresie międzywojennym europejskich partii komunistycznych żyli z pieniędzy przesyłanych im po kryjomu przez centralę Międzynarodówki Komunistycznej w Moskwie. Byli to zawodowi pracownicy aparatu nazywani potocznie funkami (skrót od słowa funkcjonariusz). Dziś Kominternu, który przesyłałby pieniądze aktywistom, już nie ma, ale zawodowi działacze istnieją – jak widać – do dziś i nadal potrzebują środków do życia.

POKOLENIE „GNIAZDOWNIKÓW"

Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Lewica ze swoją krytyką etosu ciężkiej pracy znajduje zrozumienie wśród coraz większej grupy młodych ludzi rozczarowanej własnymi perspektywami zawodowymi i finansowymi. Dawno już minęły czasy, w których powszechnie wierzono, że ciężką pracą można osiągnąć sukces (zresztą nigdy nie było to do końca prawdą). Dziś wielu młodych obserwuje karierę swoich rodziców, którzy pomimo wieloletniej harówki nie zdołali znacząco podwyższyć standardu swojego życia. Dlatego młodzi nie zamierzają iść w ich ślady.

> Sukces lewicowych zrzutek świadczy o tym, że możliwości finansowe środowisk wspierających lewicę są całkiem spore. Nie mamy więc chyba do czynienia z ludźmi szczególnie wykluczonymi

Przez wiele lat młodzież tumaniona była również wizją wielkiej kariery, której warunkiem miał być dyplom wyższej uczelni. Taką politykę wspierał gorąco rząd Donalda Tuska, który uważał, że im więcej osób z wykształceniem wyższym, tym silniejsze wsparcie wyborcze dla jego formacji. Tymczasem się okazało, że rynek pracy nie jest w stanie wchłonąć rosnącej z roku na rok liczby absolwentów wyższych uczelni. Praca, owszem, była, ale w mniej prestiżowych profesjach: głównie w handlu czy usługach. Wywołało to dość powszechne i zrozumiałe rozczarowanie młodych ludzi. Wielu z nich stanęło przed wyborem: bezrobocie lub praca poniżej kwalifikacji. Ci, którzy mogli sobie pozwolić na rezygnację z pracy i utrzymanie przez rodziców, często wybierali bezrobocie.

Opublikowany w lutym raport GUS na temat „gniazdowników" (czyli osób, które nie założyły rodziny i mieszkają z rodzicami) wskazuje, że w 2018 r. stanowili oni aż 45 proc. populacji w wieku 25–34 lat, przy średniej unijnej wynoszącej 28,6 proc. Oczywiście wielu z nich pracuje i dokłada się do utrzymania domu, ale część żyje na koszt rodziców. Obie grupy nie mają jednak szans na zarobki wystarczające do usamodzielnienia się i zaciągnięcia kredytu na zakup własnego mieszkania.

Argumentacja, że praca nie popłaca, bo większość ścieżek kariery jest już zablokowana, z pewnością trafia więc do przekonania wielu młodym ludziom i nakręca popularność lewicy. Do podobnej sytuacji doszło ćwierć wieku temu w Hiszpanii, która również postanowiła gonić resztę Europy pod względem liczby osób z wyższym wykształceniem. I podobnie jak dziś w Polsce skończyło się to powszechną frustracją i masowym bezrobociem wśród absolwentów wyższych uczelni. A także wzrostem popularności radykalnej lewicy. Nie oznacza to oczywiście, że wyższe wykształcenie jest szkodliwe, chodzi jednak o to, aby absolwentom uczelni zapewnić zawczasu odpowiednie do ich kwalifikacji perspektywy zawodowe.

Życie na cudzy rachunek jest dla niektórych kwestią wyboru, dla innych koniecznością. Jednak w obu przypadkach wiąże się to z brakiem swobody i uzależnieniem od źródła finansowania. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że takie zjawisko na dużą skalę zaczyna być groźne.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Mamy jeszcze dużo zapału do rządzenia

Decyzja o pójściu do wyborów w 2023 r. osobno byłaby samobójcza dla każdej z trzech partii tworzących koalicję, ale przede wszystkim dla niezwykle udanego projektu politycznego, jakim jest Zjednoczona Prawica

Z Adamem Bielanem, europosłem Porozumienia, rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Kto jest dzisiaj prezesem Porozumienia?

Adam Bielan: Porozumienie nie ma prezesa. Krajowy Sąd Koleżeński (KSK) wygasił kadencję Jarosławowi Gowinowi po trzech latach od momentu, gdy ta kadencja mu minęła. W tej chwili, zgodnie ze statutem, obowiązki prezesa pełni przewodniczący konwencji krajowej, czyli ja.

Jak to wytłumaczyć ludziom, którzy nie za bardzo orientują się w wewnętrznych przepisach partyjnych?

To analogiczna – choć oczywiście w innej skali – sytuacja do tej, którą mieliśmy w ubiegłym roku. Gdybyśmy nie zorganizowali wyborów prezydenckich, Sąd Najwyższy stwierdziłby wygaszenie kadencji głowy państwa, a jej obowiązki przejęłaby marszałek Sejmu. Jej rolą byłoby doprowadzić do nowych wyborów. To dziś moje zadanie, przejąłem obowiązki prezesa i muszę doprowadzić do demokratycznych wyborów, które odbędą się, gdy tylko ustąpi pandemia.

Kto w Porozumieniu jeszcze poza panem zgadza się z taką interpretacją, bo raczej nie wszyscy?

eprasa.pl 0e9cecca1b

Przede wszystkim tak uważa KSK. Pamiętajmy, że partie polityczne, które są podstawą silnej demokracji, muszą być demokratyczne także wewnętrznie. Mówi tak zarówno konstytucja, jak i artykuł 8 Ustawy o partiach politycznych. Na tej podstawie KSK 4 lutego podjął na rozprawie decyzję o zakończeniu kadencji prezesa. Można się z tą decyzją nie zgadzać, ale Jarosław Gowin poszedł dalej, postanowił sędziów nielegalnie usunąć z partii, a dodatkowo ich obrażał. To nie jest dobra metoda na budowanie wspólnoty.

Jak sytuację w Porozumieniu postrzega lider całej koalicji, czyli Jarosław Kaczyński? Mówi teraz do pana „panie prezesie"?

Jesteśmy z prezesem Jarosławem Kaczyńskim po imieniu. Ostatnio nic się nie zmieniło i tak właśnie do siebie się zwracamy, przynajmniej w rozmowach prywatnych. Nie ubiegałem się o funkcję prezesa na ostatnim kongresie, jednak w przeciwieństwie do Jarosława Gowina zostałem przytłaczającą większością głosów wybrany wówczas na przewodniczącego konwencji krajowej i tę funkcję wypełniam najlepiej, jak potrafię. KSK zdecydował z kolei o powierzeniu mi obowiązków prezesa Porozumienia i nieodpowiedzialne byłoby uchylanie się od tej decyzji.

Ale nie odpowiedział pan na pytanie, jak tę sytuację ocenia prezes Kaczyński.

Nie jestem upoważniony do ujawniania treści prywatnych rozmów. Ale Jarosław Kaczyński poza tym, że jest politykiem, jest też bardzo dobrym prawnikiem. Wolałbym, by on sam o tym opowiedział, choć wydaje mi się, że jako wieloletni prezes partii politycznej był mocno zdziwiony tym, jak przywódca jakiegoś ugrupowania może „zapomnieć" o tym, że trzy lata wcześniej minęła mu kadencja.

Na dzisiaj jesteśmy jednak w takim momencie, że Sąd Okręgowy w Warszawie zwrócił pana wniosek o wygaszenie kadencji Jarosława Gowina jako prezesa Porozumienia.

Sąd nie zajął się sprawą merytorycznie. Stwierdził, że kadencja Gowina upłynęła, ale uznał jednocześnie, że jedyną osobą, która może zwrócić się do sądu z zapytaniem, czy tak się stało, jest sam Gowin. To absurdalne twierdzenie. Gdyby przyjąć taką logikę, to Łukaszenka na Białorusi czy Putin w Rosji nie musieliby się bawić w żadne fałszowanie wyborów, tylko rządziliby dożywotnio. Teraz Gowin wchodzi w siódmy rok swojej – podkreślmy – trzyletniej kadencji. Dlaczego nie miałby być prezesem 10, 15 czy 20 lat? I przez ten czas z tytułu zajmowanej pozycji w partii pełnić bardzo ważne funkcje rządowe? Jestem przekonany, że sąd apelacyjny przyzna nam rację.

> Realizujemy wizję Ronalda Reagana z lat 80., partii republikańskiej jako wielkiego namiotu z miejscem dla ludzi o różnych poglądach prawicowych. Pęknięcia są naturalne, ale tym bardziej powinniśmy uważać, by ich nie pogłębiać i nie dopuścić, by indywidualne ambicje polityczne wzięły górę, bo to natychmiast zostanie wykorzystane przez naszych konkurentów

Czyli nie jest to koniec – jak mówi wicerzecznik Porozumienia Jan Strzeżek – tego „groteskowego puczu" i „cyrk Bielana" (to także jego słowa) będzie trwał w najlepsze?

Nie chcę zniżać się do knajackiego języka Strzeżka. O dramatycznym stanie Porozumienia lepiej świadczy to, że Gowin usuwa ze swojego otoczenia osoby, które zdobywały najlepsze wyniki wyborcze: Jacka Żalka, Kamila Bortniczuka, Michała Cieślaka, i zastępuje ich takimi kombinatorami jak opisywany przez tygodnik „Sieci" Robert Anacki czy właśnie Jan Strzeżek, który wsławił się w okręgu wyborczym w Radomiu najbogatszą kampanią i najsłabszym wynikiem. To pokazuje, w jakim kierunku Gowin zmierza – wydaje się, że chce stworzyć partię już zupełnie pozbawioną wyborców. Po kilku latach jego przywództwa nie tylko jego osobiste wyniki dramatycznie spadły, bo jako wicepremier w ciągu czterech lat stracił 2/3 głosów, lecz cała partia znalazła się poniżej błędu statystycznego. To jest efekt tego, że wyborcy centroprawicy w Polsce kompletnie nie rozumieją działania Jarosława Gowina.

Jakie niekonsekwencje zarzuca pan Gowinowi?

To polityk, który z jednej strony gorąco zaprzecza informacjom, że spotyka się z Donaldem Tuskiem, by kilka dni później oficjalnie ogłosić, że rozpoczyna rozmowy nt. wstąpienia do Europejskiej Partii Ludowej kierowanej przez Tuska. Gowin przez całą poprzednią kadencję głosił postulat eliminacji przesłanki eugenicznej z ustawy antyaborcyjnej, żeby nagle stwierdzić, że jest za referendum w tej sprawie, a później przyjąć do partii współorganizatorkę tzw. strajków kobiet, zwolenniczkę aborcji na życzenie. Kto to rozumie? To jest polityka samobójcza, jeśli chce ją prowadzić, to niech robi to na własny rachunek, bez niszczenia naszego ugrupowania.

Kiedy przestał pan rozmawiać z Jarosławem Gowinem?

Nasze relacje dramatycznie się pogorszyły już w marcu ubiegłego roku. Byliśmy wówczas w ciągłym kontakcie ws. wyborów prezydenckich. Poprosiłem Gowina o spotkanie, a on mi napisał, że „nasze drogi polityczne się rozchodzą". Wówczas nie miałem pełnej wiedzy na temat tego, co planuje ze swoimi najbliższymi współpracownikami. Dziś już wiem, że od końca 2019 r. zapowiadał, że trzeba opuścić Zjednoczoną Prawicę (ZP). Znał moje

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0e9cecca1b

poglądy, więc ze mną się tymi planami nie dzielił. Wtedy byłem tą wiadomością zszokowany, dziś znacznie lepiej to rozumiem. Do ostatniej naszej bezpośredniej rozmowy doszło w grudniu, po wstrząsającym dla mnie wywiadzie, w którym opowiedział się za referendum w sprawie aborcji. Zaproponował spotkanie, długo rozmawialiśmy, po raz ostatni w cztery oczy. Potem spotykaliśmy się już tylko na posiedzeniach władz Porozumienia.

Czego ta rozmowa dotyczyła?

O prywatnej części nie powiem. Nie chcę też uderzać w osobiste tony. Ale miałem przeświadczenie, że zaczyna wówczas odsuwać na bok osoby, które nie mają osobistych konfliktów z PiS. A promował tych, którzy są z największym koalicjantem w sporze, czy to w regionie, czy na innym szczeblu. Docierały do mnie też informacje o jego rozmowach z opozycją, bo światek polityczny jest jednak mały. Zrozumiałem także, jak wielką traumą był dla niego kompromitujący, jak na czynnego wicepremiera, wynik wyborczy w Krakowie.

W ostatnim sondażu Indicator dla rp.pl Solidarna Polska zdobywa 5,2 proc. poparcia, a Porozumienie 1,6 proc. Czy te cyfry dobrze opisują potencjał koalicjantów PiS?

Decyzja o pójściu do wyborów w 2023 r. osobno byłaby samobójcza dla każdej z trzech partii tworzących koalicję, ale przede wszystkim dla niezwykle udanego projektu politycznego, jakim jest ZP. Stworzyliśmy bardzo szeroki obóz, w którym jest miejsce zarówno dla osób o poglądach narodowych, jak i konserwatywno-liberalnych. Zarządzanie takim organizmem jest niezwykle trudne. Realizujemy wizję Ronalda Reagana z lat 80., partii republikańskiej jako wielkiego namiotu z miejscem dla ludzi o różnych poglądach prawicowych. Pęknięcia są naturalne, ale tym bardziej powinniśmy uważać, by ich nie pogłębiać i nie dopuścić, by indywidualne ambicje polityczne wzięły górę, bo to zostanie natychmiast wykorzystane przez naszych konkurentów.

Wcale nie potrzeba konkurentów, by wasze podziały uwypuklać. Ryszard Terlecki mówi wprost, że „chętnie pozbyłby się koalicjantów".

Koalicja w parlamencie funkcjonuje nie poprzez jakieś wypowiedzi publiczne czy prywatne, ale przez głosowania. Niedawno ZP przegrała głosowanie właśnie dlatego, że Jarosław Gowin z grupą posłów postanowił zagłosować przeciwko własnemu rządowi. Często mówi o honorze, ale tym razem, mimo że w tym rządzie zasiada, nie podał się do dymisji, postanowił za to pogrozić palcem liderom PiS. Trudno więc się dziwić, że ci politycy też czasem tracą cierpliwość. Tym bardziej gdy w międzyczasie słuchają wypowiedzi liderów opozycji mówiących o szczegółach negocjacji z Gowinem, dotyczących puczu w Sejmie, wymiany marszałka, a później premiera. Nawiązuję do wypowiedzi Władysława Kosiniaka-Kamysza czy Włodzimierza Czarzastego, którzy nie ukrywają, że w ubiegłym roku w zasadzie mieli wraz z Jarosławem Gowinem rozpisany plan zmiany większości parlamentarnej. W tej nowej konfiguracji Gowin miał zostać marszałkiem Sejmu. Takie są jego prawdziwe ambicje polityczne.

> Wierzę, że za parę miesięcy te najbardziej dolegliwe skutki pandemii zostawimy za sobą i będziemy w stanie odzyskać poparcie, które straciliśmy w ostatnich miesiącach

Możliwe jest sklejenie koalicji na nowo?

Wszelkie nieporozumienia należy wyjaśniać w zaciszu gabinetów. Mam nadzieję, że po jakimś przesileniu, do którego ewidentnie zmierzamy, uda się spory załagodzić. Mamy większość w Sejmie, przychylnego prezydenta i dwa i pół roku do kolejnych wyborów. A przede wszystkim mamy szczegółowy plan, myślę o Nowym Ładzie. Gdy wyborcy prawicy w końcu go poznają, wierzę, że przyznają mi rację, że warto się o niego bić.

Koalicjanci PiS mówią, że Nowy Ład to program największej partii koalicyjnej i że go z nimi nie konsultowano.

Porozumienie było konsultowane, mieliśmy liczne spotkania zarówno z prezesem Jarosławem Kaczyńskim, jak i z premierem Mateuszem Morawieckim oraz jego ekspertami. W rozmowach z Solidarną Polską nie uczestniczyłem, ale wiem, że są pewne różnice, szczególnie jeśli chodzi o kwestie energetyczne. Ugrupowanie Zbigniewa Ziobry nie chce także poprzeć ratyfikacji umowy o tzw. zasobach własnych, co wiąże się z przyjęciem europejskiego funduszu odbudowy. Mimo tych podziałów pamiętamy, że łączy nas znacznie więcej.

O wiele bardziej jaskrawe wydają się jednak podziały. Po tym, jak w rządzie pozostali ministrowie, których Jarosław Gowin wykluczył z partii, mówi on, że „umowa koalicyjna została jednostronnie wypowiedziana przez PiS". Coś tu bardzo zgrzyta.

Jarosław Gowin nie pełni funkcji prezesa Porozumienia, nie ma żadnej możliwości egzekwowania umowy. Dla zachowania jedności ZP dotąd nie kwestionowaliśmy jego obecności w rządzie, jednak Jarosław Gowin tego nie szanuje, cały czas eskalując swoje żądania i dąży do przesilenia.

Czyli powinien ponownie złożyć urząd?

Rok temu podał się do dymisji, gdy nie było takiej potrzeby. Chciał sztucznie wywołać kryzys polityczny i w jego wyniku zostać marszałkiem Sejmu. Teraz twierdzi, że nie ma umowy w części, która go do czegoś zobowiązuje, ale stanowiska z niej wynikające zamierza pełnić.

Ten pociąg jedzie prosto na ścianę. Zbliża się katastrofa?

eprasa.pl 0e9cecca1b

W polityce, szczególnie gdy się rządzi, ciągle trzeba rozwiązywać jakieś problemy. Duży, większościowy klub parlamentarny to nie jest klub towarzyski, gdzie wszyscy powinni się lubić. Są różne temperamenty i ambicje, a zwycięstwa na takich właśnie aspiracjach się buduje. Znam nastroje w Porozumieniu, wiem, że zdecydowana większość członków partii, także parlamentarzystów, nie pisze się na żadne scenariusze budowy nowego centrum z PSL czy startu z list Szymona Hołowni. Skończyłoby się to rządami z coraz bardziej radykalną lewicą.

Gdyby jednak Gowin zdecydował się na opuszczenie Zjednoczonej Prawicy, to ilu z nim pójdzie?

Nie wyprowadzi dużej grupy. Gdyby przyszedł moment decyzji, to posłowie Porozumienia zachowaliby się odpowiedzialnie. Tak było w kwietniu ubiegłego roku, gdy Jarosław Gowin chciał ich wyciągnąć ze Zjednoczonej Prawicy. Potrzebował wtedy 16 szabel, by doprowadzić do zmiany marszałka Sejmu. Było potrzebnych aż tylu, bo Konfederacja odmówiła udziału w tym puczu. Dziewięciu z nich miało wówczas tyle odwagi, by potężnemu wicepremierowi powiedzieć prosto w oczy: nie, my się na to nie godzimy. Tylko dlatego rządy Zjednoczonej Prawicy się wówczas utrzymały. Musimy o tym pamiętać.

Mówi pan o szansie na utrzymanie większości i dotrwanie do końca kadencji, ale czy na pewno w takiej konfiguracji? Jaką rolę może odegrać Paweł Kukiz? Czy jest możliwe, aby ewentualną brakującą większość uzupełnić głosami jego polityków?

Wiem, że toczą się rozmowy programowe między Jarosławem Kaczyńskim a Pawłem Kukizem. Inni politycy rozmawiają bardziej technicznie na temat szczegółowych projektów. Znam relacje z tych rozmów, jednak takie sprawy wymagają dyskrecji.

Czy to się przełoży na wspólne rządzenie?

Są różne modele współpracy ugrupowań w Sejmie, niekoniecznie musi to być koalicja rządowa. Jeszcze nic nie jest przesądzone, ale znając nastroje wśród posłów opozycji, tej bardziej totalnej, i ich frustracje spowodowane sytuacją w Platformie czy PSL, to jestem spokojny o zachowanie stabilnej większości.

Jak więc rozumieć słowa Jarosława Gowina: „Jeśli nie porozumiemy się w ramach ZP, to alternatywą są przyspieszone wybory"? To prężenie muskułów i przedstawianie siebie jako elementu niezbędnego do trwania koalicji?

W latach 2014–2016 Jarosław Gowin na pewno był ważnym elementem ZP, ale w ciągu czterech lat stracił wielu swoich wyborców. Dziś cały jego potencjał wyborczy to 15 tys. głosów. Jest na szarym końcu rankingu zaufania polityków. Z jakiego powodu miałby być dzisiaj uważany za kingmakera? Szkoda, że ta megalomania dotknęła Jarosława Gowina w tak trudnym czasie dla Polski, gdy zmagamy się z pandemią i jej skutkami. On ma teraz o wiele bardziej odpowiedzialne zadania niż kurczowe trzymanie się stanowiska w partii, które de facto stracił trzy lata temu. Jego prezesura zaowocowała gigantycznymi problemami wewnątrz Porozumienia i choćby z tego powodu powinien się odsunąć i pozwolić na naprawienie spowodowanych przez siebie błędów.

A może przyjęcie do Porozumienia poseł Moniki Pawłowskiej z Lewicy nie jest ruchem niezrozumiałym? Może to sygnał wysłany do wewnątrz Zjednoczonej Prawicy, że Gowin, gdy tylko zechce, może skorzystać ze swojej szerokiej zdolności koalicyjnej, nie tylko na prawicy?

W 2013 r. Jarosław Gowin przeszedł na naszą stronę z tamtego obozu. Oczywiście może próbować tam wrócić, ale musi mieć świadomość, że nie ma już Platformy, z której on odchodził. Po pierwsze, ta partia jest znacznie bardziej na lewo, a po drugie, straciłby resztki politycznej wiarygodności.

Patrząc naprzód, czy PiS ma z kim przegrać w 2023 r.?

Ugrupowanie, które rządzi i uzna, że nie ma z kim przegrać, może skończyć jak Platforma w 2015 r. Oczywiście, że Zjednoczona Prawica ma z kim przegrać. Po drugiej stronie jest obóz coraz bardziej radykalny, lewicowy, a czasem już lewacki. Trzeba dużo wysiłku, by utrzymać zaufanie Polaków. Jesteśmy w sporym dołku, jeśli chodzi o nastroje społeczne. Ludzie są zmęczeni lockdownami, restrykcjami, brakiem optymistycznej perspektywy, kłopotami gospodarczymi. Przedsiębiorcy przeżywają trudne chwile. To jest pewnie najtrudniejszy moment, żeby przekonywać ich do jakiejś śmiałej wizji rozwoju kraju w perspektywie lat czy dekady. Bardzo wielu wyborców dzisiaj martwi się tym, co tu i teraz. A my jesteśmy obozem śmiałych wizji, nie zostaliśmy wybrani wyłącznie do administrowania. Wierzę, że za parę miesięcy te najbardziej dolegliwe skutki pandemii zostawimy za sobą i będziemy w stanie odzyskać poparcie, które straciliśmy w ostatnich miesiącach.

A czy zmęczenie wśród ludzi nie będzie tak duże, że swoją złość i frustrację obrócą przeciwko rządowi, choćby ten wybrnął z kryzysu w najlepszy z możliwych sposobów?

Wierzę w mądrość Polaków, którzy np. porównają naszą sytuację do tego, co się dzieje w innych krajach. Jak państwa dużo bogatsze nie radziły sobie z tą zarazą. Zawsze jest też pytanie o alternatywę. Partie składają się z ludzi, a ludzie mają wady. Nie jesteśmy obozem idealnym. Ale nie ma lepszej propozycji. Nie widzę w obecnej opozycji niczego, czym by nas przewyższała. My także nie doszliśmy jeszcze do momentu wypalenia, który w polityce się zdarza. W ZP jest jeszcze dużo zapału do rządzenia.

Na ile prawdopodobne jest, że w tej konfiguracji przetrwacie do wyborów w 2023 r.? O odpowiedź prosimy w procentach.

Szanse na to są naprawdę bardzo duże. Zarówno Solidarna Polska, jak i Porozumienie w ZP na pewno będą. Czy będą z nami wszyscy politycy, którzy dzisiaj zasiadają w rządzie, tego nie sposób przewidzieć. Wiem, że będziecie mnie z tego rozliczać, więc podam wartość nieoczywistą – 81,7 proc. szans, że ZP dotrwa do wyborów w konstytucyjnym terminie [śmiech].

eprasa.pl 0e9cecca1b

Demiurg

wzywa do odwrotu

Jest redaktorem naczelnym, ale rzadko publicznie się odzywa, pisze, opiniuje. Teraz wychylił się zza kulis, by ostudzić rewolucyjny zapał swoich pobratymców. Czy Adam Michnik sprowadzi bojowników III RP na swoje tory, czy z demiurga stał się już tylko władcą upiorów?

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

„Gazeta Wyborcza" forsuje swoją wizję Polski przez ponad trzy dekady, ale sam Adam Michnik pojawia się tylko w momentach, gdy obóz „lewicy laickiej", który sam tak nazwał, potrzebuje korekty kursu, ojcowskiej porady i pouczenia. Wywiad, którego założyciel „Wyborczej" udzielił kwartalnikowi „Zdanie" oraz własnej gazecie (w rozmowie z Dominiką Wielowieyską), jest właśnie takim pojawieniem się demiurga (określenie Romana Graczyka), który pochyla się nad uwiedzionymi dziećmi, by pokazać im właściwy kierunek marszu.

Redakcja pisma wydawanego przez lewicowe stowarzyszenie Kuźnica wyciągnęła proroka z gabinetu, by opowiedział o swojej wizji Polski, niejako budząc swój autorytet z milczenia. Tymczasem w „Gazecie Wyborczej" „uwodziciel", jak nazwał go jakiś czas temu Piotr Semka, zwraca się do rewolucjonistów, do ludzi z nurtu Strajku Kobiet, lewicy, intelektualistów pokroju Jana Hartmana czy Magdaleny Środy, w długim wywodzie podkreślającym jego własną przenikliwość. Apeluje do nich: zawróćcie, nie atakujcie Kościoła tak ostro, to instytucja może i zła, ale ciemne masy jej potrzebują. Co znowu poszło nie tak, że ojciec założyciel III RP musi przywracać postępowi właściwy kierunek?

OPIUM DLA MAS

Studzenie antykatolickich nastrojów przez Michnika może wydawać się dziwne, skoro to jego redakcja nieustannie dorzuca do pieca antykościelnych prowokacji. „Wyborcza" broni więc wulgarnej formy Strajku Kobiet, rozpala głowy czytelników manipulowaniem przypadkami pedofilii wśród duchowieństwa, a potem przychodzi szef i te gorące umysły schładza, nakazując szanować polski katolicyzm. Michnik przypomina zatem, że Kościół był sprzymierzeńcem w walce z komuną, prymas Wyszyński mimo nieufności do Kuronia potrafił wspierać jego Latający Uniwersytet, a religię do szkół wprowadzili nie politycy, lecz naród („GW" nieczęsto używa tego słowa).

„»Wyborcza« zawsze była pluralistyczna i otwarta. Nie była wroga chrześcijaństwu i chrześcijańskim wartościom, ale nigdy nie pisała o Kościele bezkrytycznie" – twierdzi przewrotnie Michnik w swojej gazecie. Wywiad ma charakter ekskluzywny. Oboje rozmówcy wierzą, że prof. Środa i środowisko „Gazety" mogą się obyć bez Kościoła, bo są przecież elitą, „ale w wymiarze społecznym dla setek tysięcy ludzi nie zaistnieje nic alternatywnego. To może być recepta dla wąskiego intelektualnego grona, a nie całego społeczeństwa". Widać z tego, że Michnik żyje w starym komsomolskim przekonaniu, iż religia jest opium dla mas, gdy zaś będący w społecznej awangardzie do wiary zniżać się nie muszą. Jednak do bólu udawane zrozumienie dla tych nieroztropnych katolików sprawia, że naczelny jest inny niż pozostałe autorytety III RP – u niego nuta pogardliwości jedynie pobrzmiewa, a nie jest fontanną nienawiści wobec inaczej myślących.

Ciepłe słowa dla tzw. Kościoła otwartego, który w tej narracji chwilowo przegrywa z ciemnogrodem zarządzanym przez Jarosława Kaczyńskiego, nie są opinią nową. To przecież podobna mądrość etapu sprowokowała Michnika do próby przerzucenia mostu do katolików w książce „Kościół, lewica, dialog" wydanej w 1977 r. Opozycjonista zrozumiał wtedy, że polskością nie da się zarządzać bez współpracy z Kościołem, co było widać m.in. po fiasku panowania PZPR. O ile więc lewica laicka do 1968 r. widziała

eprasa.pl 0e9cecca1b

możliwość reformowania czy przejęcia samej partii, potem przez dekadę budowała niezależne ośrodki, o tyle Michnik skierował ją na drogi kompromisu z Kościołem. Wpłynęła na to zarówno słabość PZPR, siła katolicyzmu, jak i reforma soborowa, o czym czytamy w książce z 1977 r.: „Otwarty konflikt liberalnej laickiej inteligencji z Kościołem jest zamkniętym – oby na zawsze – fragmentem dziejów Europy. Idee Kościoła, idee soborowej konstytucji Gaudium et spes i encyklik papieży Jana XXIII i Pawła VI w niczym nie zagrażają ludziom wyznającym liberalną koncepcję praw człowieka".

Czy 40 lat po tamtym manifeście Michnik nadal myśli, że Kościół jest na tyle silny, by się z nim liczyć i go tolerować? Próby wyłuskiwania postępowych księży przez salon III RP są dziś motywowane nie tylko chęcią osłabienia katolicyzmu, stępienia jego ostrza, lecz są powodowane także... strachem przed Jarosławem Kaczyńskim.

POTWORY POLSKOŚCI

„Wyborcza" boi się, że atakowanie Kościoła spowoduje mobilizację sił patriotycznych, na czele których stanie szef Prawa i Sprawiedliwości. Z teatralną troską Michnik przywołuje słowa pewnego dominikanina: „Panie Jarosławie Kaczyński, proszę nie instrumentalizować wiary i Kościoła. Gorszące jest dziękowanie patriotom za obronę kościołów".

Naczelny zdradza się także w rozmowie z redakcją „Zdania", gdy ostrzega przed „endeckim" i „klerykalnym" renesansem, jaki rzekomo dzieje się we współczesnej Polsce. O Kaczyńskim, o którym redakcja rozmawia raczej pogardliwie, czytamy w wypowiedzi Michnika: „Ale on chciał bronić Kościoła, zbawienia duszy... Kompletny idiotyzm! On przecież chce przeobrazić konflikt polityczny w konflikt religijny. Na to nie można pozwolić".

Współtwórca III RP jednoznacznie więc zwraca się do liderów antypisowskich ruchów, by te nie zadzierały z Kościołem, by nie atakowały siły, która nie tylko może się jeszcze skonsolidować, ale także skupić się wokół największego wroga lewicowo-liberalnej wizji Polski – Jarosława Kaczyńskiego. Michnikowszczyzna traktuje szefa PiS tak, jak w latach 60. i 70. XX w. traktowała Mieczysława Moczara – demon nacjonalistyczno-pezetpeerowski z antysemickim ogonem miał powstać w narodzie i zmieść z powierzchni ziemi oświeconą warstwę społeczeństwa. Powinna istnieć zatem jakaś formuła Kościoła, która będzie trzymać masy w ryzach, gasić emocje, wzmożenie, oburzenie. To tacy duchowni jak Boniecki czy Charamsa mają łagodzić potwory polskości.

> Michnikowszczyzna obawia się, że antykatolicka obsesja lewicowych modernizatorów obudzi Polaków jako tradycyjnych obrońców narodowych wartości

POSŁUCHAJĄ STAREGO „KOMANDOSA"?

Pozostaje przed nami pytanie o aktualność strategii Adama Michnika, która przecież powstała w zupełnie innej, Gierkowskiej rzeczywistości. Lewica laicka chce osłabienia Kościoła, wypłukania go z tradycyjnych wartości, ale raz spuszczone z łańcucha psy antyklerykalizmu nie są tak chętne do powrotu na smycz. Upojeni okrzykami „J...ć PiS" i „J...ć kler", skażeni dewastacją kościołów, poczuli smak agresji, którego tak łatwo się nie zapomina. Jako jeden z liderów KOR Michnik mógł się zwracać do wąskiego grona swoich czytelników, wykładowców, studentów, dawnych pezetpeerowskich kolegów, którzy porzucili siermiężną partię, ale dziś inteligenckie subtelności nie zadziałają na rozbestwione hordy wyzywające jego własne pokolenie od dziadersów i domagające się uznania ich 50 płci. Nieprzypadkowo Michnik udziela wywiadu uznającej jego autorytet Wielowieyskiej albo młodym, zafascynowanym nim intelektualistom z Krakowa. Podczas wideorozmów z aktywistami LGBT stary „Komandos" nie byłby już takim dyrygentem emocji.

Chodzi więc o coś więcej niż o próbę zapanowania nad lewacką rewolucją, która pożera własne dzieci, także o to, że młode pokolenie wybiegło daleko przed wyznaczony starymi strategiami horyzont światopoglądowy. Michnikowszczyzna się obawia, że antykatolicka obsesja lewicowych modernizatorów obudzi Polaków jako tradycyjnych obrońców narodowych wartości, że już nie tylko Straż Narodowa stanie przed kościołami, ale że jakiś duch Solidarności, żołnierzy wyklętych albo i rocznic smoleńskich znowu podniesie głowę, niezadowolony z urządzania im ojczyzny na nowoczesną modłę.

Oni czują, że przestrzelili. Marta Lempart nie tylko po kilku dniach protestów wycofała się z ataków na kościoły, ale i Adam Michnik po kilku miesiącach dał sygnał do odwrotu na tym jednym odcinku. Polskość i Kościół wciąż się mocno przenikają, nie wolno się rozprawiać z tymi dwoma żywiołami jednocześnie. Prawdziwe intencje znowu trzeba schować do szafy, choć nowi aktywiści nie chcą udawać łagodnych, a i naród raz obudzony może niekoniecznie dać się z powrotem uśpić.

eprasa.pl 0e9cecca1b

PiS z włoskim kłopotem

Włochy są i zapewne pozostaną krajem o całkowicie od Polski odmiennej wizji tego, jak powinna wyglądać przyszła rola Rosji w Europie. Ale Matteo Salvini uznał, że w pozyskaniu sojuszu z polską prawicą ma dziś nieporównywalnie większy interes niźli w nieproduktywnym politycznie brataniu się z Rosjanami. Dlaczego?

Spotkanie 1 kwietnia w Budapeszcie, Viktor Orbán, Matteo Salvini i Mateusz Morawiecki

JAN ROKITA

Od stosunkowo niedawna w polskiej polityce pojawił się „włoski kłopot". Przez wiele dziesiątków lat Italia i Polska w zasadzie nie istniały dla siebie nawzajem w sensie politycznym. A jeśli dochodziło do – w pewnym sensie wymuszonych – kontaktów politycznych, to spowodowane one były zamiłowaniem polskich przywódców ze wszystkich partii do odwiedzania Watykanu. Zatem z racji wymogów protokołu Polacy wpadali również na chwilę do rzymskiego Pałacu Kwirynalskiego albo Palazzo Chigi, z reguły nie bardzo wiedząc, o czym też mieliby pogadać z włoskim prezydentem albo premierem.

Z perspektywy Warszawy wiadomo było, że Włochy, choć to kraj nieprawdopodobnie bogaty, zwłaszcza gdy idzie o kapitał zakumulowany w prywatnych rękach, to w polityce europejskiej państwo mało suwerenne, obarczone niezliczonymi kłopotami gospodarczymi, nieustannie domagające się czyjejś finansowej pomocy i trwające niemal permanentnie w stanie kryzysu rządowego.

Z kolei patrząc z Rzymu, przyzwyczajono się do stereotypu, że Polska to część amerykańskiego układu interesów w Europie, więc jej dziwaczna i niezrozumiała nad Tybrem polityka

eprasa.pl 0e9cecca1b

Fot. Krystian Maj/KPRM

wymaga milczącego „niezwracania uwagi", gdyż co jak co, ale poczucie politycznej zależności od Ameryki jest we Włoszech silniejsze niż gdziekolwiek indziej w zachodniej Europie. Na tym tle dość wyjątkowym incydentem był przypadek publicznej irytacji lewicowego premiera Matteo Renziego, który w roku 2016 zaatakował Donalda Tuska z powodu jego unijnej akcji na rzecz Ukrainy. Pogląd Tuska na okupację Krymu uznał wtedy za mało dorzeczny i wynikający nie z czego innego, jak z „tradycyjnej polskiej rusofobii".

AMBICJE SALVINIEGO

Taki stan wzajemnego braku zainteresowania zaczął się zmieniać wraz ze wzrostem pozycji politycznej Matteo Salviniego we włoskiej polityce. Salvini dokonał na tamtejszej scenie swego rodzaju cudu, przekształcając swą niegdyś separatystyczną Ligę Północną, dążącą do uzyskania autonomii dla bogatej północy kraju i pogardzającą biednym południem, w ogólnonarodową partię włoskiego patriotyzmu i dumy narodowej, z powodzeniem wygrywającą wybory w regionach południowych, np. w Kalabrii, gdzie od zeszłego roku gubernatorem jest polityk Ligi.

Zarazem ambicją Salviniego stało się zorganizowanie europejskiego bloku prawicy, który byłby w stanie dokonać przeobrażenia Unii Europejskiej w dwóch kierunkach: większej solidarności finansowej, z której korzyść miałyby mieć kraje europejskiego Południa, oraz konserwatywnego przewrotu światopoglądowego i uznania dla religii i narodowości. Na tle tej ostatniej misji zrodziła się najpierw polityczna współpraca, a potem także osobista przyjaźń pomiędzy Salvinim a węgierskim premierem Viktorem Orbánem. Inaczej zresztą niż w przypadku Polski tradycyjne więzi pomiędzy Italią i Węgrami są historycznie silne i sięgają czasów sojuszu andegaweńskiego późnego średniowiecza. Tak czy inaczej, to Orbán stał się pośrednikiem, który Salviniemu ułatwił podjęcie ofensywy w stronę Polski po tym, jak prawica pod wodzą Jarosława Kaczyńskiego po raz drugi objęła władzę w roku 2015.

PRZYCIĄGANIE EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

Warto zdawać sobie sprawę, że Salvini jest pierwszym tej rangi włoskim politykiem, który Polskę zdefiniował jako obiekt włoskich żywotnych interesów. Na europejskiej scenie były do tej pory faktycznie trzy istotne siły mające potencjał budowy realnej prawicowej alternatywy wobec dominującego w Unii centrolewu (do którego dziś trzeba także liczyć bardzo silną chadecję). To włoska Liga, francuskie RN i polskie PiS. W wizji Salviniego Orbán miał tu pełnić funkcję łącznika, który umożliwi wciągniecie w orbitę takiego bloku Europy Środkowo-Wschodniej. Z takim planem Salvini spotykał się z Kaczyńskim w styczniu 2019 r., przed majowymi wyborami europejskimi. Świetnym pretekstem był tu fakt, że zarówno Salvini, jak i zausznik lidera PiS Joachim Brudziński pełnili akurat funkcje szefów MSW swoich krajów. I choć tamto spotkanie rozpoczęło precedensowy proces budowania więzi między włoską i polską prawicą, to plan Salviniego na wybory europejskie 2019 się nie powiódł. Przede wszystkim dlatego, że jego buńczuczne zapowiedzi o „europejskiej wiośnie" po wygranych przez prawicę wyborach nie spełniły się w maju 2019 r. A skoro tak, to zwłaszcza z polskiej perspektywy nie miało większego sensu ryzykowne budowanie jakiegoś europejskiego bloku, który i tak w najmniejszym stopniu nie zmieniłby arytmetyki głosowań w Parlamencie Europejskim. Albo inaczej – z pewnością nie wymagało to, i nadal nie wymaga, żadnego pośpiechu.

Kiedy więc tuż przed tegoroczną Wielkanocą Orbán zorganizował spektakularną naradę z Salvinim i Morawieckim w Budapeszcie, nic szczególnie nowego się nie zdarzyło. Węgierski premier, który po konflikcie i opuszczeniu EPP szuka dla siebie nowego układu europejskich sojuszów, mówił tym razem o mało wyrazistej perspektywie wspólnej „platformy, organizacji, procesu". Na razie udało mu się uruchomić jedynie „proces", to znaczy regularny mechanizm konsultacji z udziałem Polaków i Włochów. Kolejne spotkania mają się odbyć w Rzymie i Warszawie.

Z perspektywy PiS rzecz wymaga ostrożności, także z dość nieoczekiwanej przyczyny, wynikłej po stronie włoskiej. O ile do niedawna wydawało się bowiem, że Salvini jest de facto niekoronowanym królem włoskiej prawicy i zapewne przyszłym premierem, o tyle ostatnio rywalizację o tę rolę podejmuje z nim z niezłym skutkiem niemal kompletnie w Polsce nieznana 44-letnia Giorgia Meloni, była minister ds. młodzieży i twórczyni partii Fratelli d'Italia. I jak dotąd nie ma pewności, czy Liga, czy też owi „Bracia Włosi" okażą

eprasa.pl 0e9cecca1b

się przyszłymi zwycięzcami włoskich wyborów. Chodzi tylko o to, że niemal nic nieznacząca włoska partyjka stała się niegdyś członkiem pisowskiej międzynarodówki Konserwatystów i Reformatorów, a teraz wyrósł z niej Prawu i Sprawiedliwości w jego własnej „rodzinie" potencjalny kandydat do władzy w Rzymie.

PARTNERSTWO Z ROSJĄ

Jednak z polskiej perspektywy jest oczywiście inny, o wiele bardziej zasadniczy problem, który miałaby każda polska partia budująca polityczny sojusz z jakąś partią włoską. Tym problemem jest tradycyjna i mocno nad Tybrem ugruntowana wizja europejskiej geopolityki. W tej wizji kluczowym punktem dla włoskich interesów politycznych na kontynencie europejskim jest partnerstwo z Rosją.

Czytelnikowi nie należy pewnie zawracać nadto głowy historią, ale geneza takiego właśnie włoskiego punktu widzenia jest w Polsce tak nieznana i niezrozumiała, że warto jej poświęcić parę zdań. Kiedy w połowie XIX w. Rosja przegrała wojnę krymską, a Romanowowie śmiertelnie się obrazili z tego powodu na Habsburgów, jednoczące się Włochy wykorzystały ów konflikt, aby zbudować trwałe przymierze z Rosją, skierowane przeciw swemu głównemu wrogowi: niemieckiej Austrii. Tajny układ włosko-rosyjski zawarty w 1909 r. w Racconigi jest w dziejach włoskiej myśli politycznej traktowany jako kamień milowy, od którego zaczyna się włoska podmiotowa polityka. To taki moment zwrotny, w którym Włosi porzucają XIX-wieczne mrzonki Garibaldiego o europejskiej rewolucji i przystępują do świadomej walki o interesy własnego państwa. Wszystko to, co Włochy będą robić potem dla zyskania przychylności Rosji, jest konsekwencją wtedy dokonanego zwrotu.

Jako pierwszy kraj Zachodu Italia złamie tabu, uznając w 1924 r. władzę sowiecką, w czasie II wojny światowej będzie okazywać, iż wojna jej sojusznika Hitlera z Rosją to nie jest w żadnym razie „włoska wojna". W końcówce wojny uwielbiany przez Włochów szef komunistów Palmiro Togliatti przeprowadzi sławną „Svolta di Salerno", wprowadzając (bynajmniej nie suwerennie, jak głosi legenda, ale na polecenie Stalina) partię sowieckiej agentury do samego centrum władzy jednego z państw rodzącego się zachodniego sojuszu. I dopiero dramatyczne wydarzenia 1948 r. i późniejsza izolacja PCI sprawią, że plan Stalina–Togliattiego jednak spali na panewce, Italia zaś cudem nie przekształci się w część obozu sowieckiego.

Odtąd Rzym będzie jednak stale powracać do prób wciągnięcia Rosji w nurt wewnątrzeuropejskiej polityki. W 1960 r. chadecki prezydent Giovanni Gronchi znów będzie pierwszym szefem zachodniego kraju przybywającym do Moskwy, aby tam ogłosić listę nowych interesów z Rosją takich koncernów, jak Eni, Fiat czy Olivetti. Chadek Gronchi zignoruje nawet potępienie jego linii przez Stolicę Apostolską, która – w sławnym kazaniu kardynała Alfredo Ottavianiego w rzymskiej bazylice Santa Maria Maggiore – oskarży go o zdradę pamięci Polaków zamordowanych w Katyniu. Po upadku Sowietów to znów Włochy będą na szczycie w Neapolu w 1994 r. inicjatorem włączenia Rosji do grupy G7, a Rzym stanie po stronie Moskwy w czasie wojny z Gruzją w 2008 r. i przeciw Polsce, gdy ta starać się będzie o lokację na swoim terytorium amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Premier Enrico Letta poleci w 2014 r. do Soczi, aby tam otwierać bojkotowaną przez Zachód olimpiadę, dokładnie w chwili, w której Putin będzie prowadzić wojnę hybrydową w celu likwidacji niepodległości Ukrainy. To ten sam Letta, który dopiero co – 14 marca 2021 r. – został wybrany na nowego przywódcę włoskiej centrolewicy.

> Salvini jest pierwszym tej rangi włoskim politykiem, który Polskę zdefiniował jako obiekt żywotnych interesów Rzymu

SOJUSZ Z POLSKĄ PRAWICĄ

Po co tu ta opowieść o bliższej i dalszej włoskiej historii? W Polsce upowszechnił się bowiem pogląd, iż to Salvini jest jakimś szczególnym wyjątkiem we włoskiej polityce, gdy idzie o szukanie współpracy z Rosją. Pamięta się jego podróże do Moskwy i oskarżenia, iż jego niegdysiejszy współpracownik Gianluca Savoini miał szukać pieniędzy na kampanię Ligi u rosyjskich nacjonalistów z Ruchu Euroazjatyckiego. Ostatnio można nawet odnieść wrażenie, że to nie tylko polityczni przeciwnicy PiS z uporczywością propagują tezę o szczególnej filorosyjskości Salviniego, lecz że w tezę tę uwierzyli także politycy PiS.

Tymczasem w realnej polityce rzeczy mają się inaczej. To Włochy są i zapewne pozostaną krajem o całkowicie od Polski odmiennej wizji tego, jak powinna wyglądać przyszła rola Rosji w Europie. I co w tym najciekawsze, to właśnie Salvini jest dziś pierwszym włoskim politykiem, który okazuje skłonność do pewnej redefinicji włoskich dogmatów w tej dziedzinie. Oczywiście nie dlatego, by nagle zapałał niechęcią do polityki Kremla. Ale – jak dobry polityk realista ze szkoły swego rodaka Machiavellego – uznał, iż w uspokojeniu polskich obaw i pozyskaniu sojuszu z polską prawicą ma dziś nieporównywalnie większy interes niźli w nieproduktywnym politycznie brataniu się z Rosjanami.

„Proszę pamiętać – mówił po powrocie z Budapesztu w wywiadzie dla coraz bardziej zdumionego dziennikarza „Corriere della Sera" – że Polska to kraj NATO o zasadniczym znaczeniu, gdyż potrafi stawiać tamę rosyjskim ambicjom w Europie". Tego rodzaju oczywistość w Italii brzmi nadal jak polityczna herezja. I jest najzupełniej pewne, że poza Salvinim, żaden z włoskich liderów politycznych nie wypowiedział nigdy dotąd publicznie takiej opinii ani też nie byłby gotów jej dzisiaj wypowiedzieć.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Ponadczasowość świata podróży

Utytułowany podróżnik i odkrywca zgłębia fenomen nieuleczalnej odwiecznej choroby – pełnego magnetyzmu wojażowania

JACEK PAŁKIEWICZ

Alex, mój fan, przygaszony nostalgią pokazuje mi elegancką kasetkę z widokówkami, biletami lotniczymi, kartami telefonicznymi i planami miast z najróżniejszych części globu, które zebrał w ciągu 30 lat wojażowania. „Podróżowanie to obcowanie ze sztuką, nie każdy ma to we krwi – stwierdza mój długoletni przyjaciel, w którego życiu czar zwiedzania wywarł potężny urok. – Wiesz dobrze, że tułanie po świecie jest dla mnie poezją, wyjeżdżam z domu z pewnym bagażem, aby powrócić już z innym, większym i eksplozywnym, pełnym przemyśleń, przeżytych emocji i materialnych pamiątek".

Ten jego bagaż jest pełen osobliwych cudów świata przyrody, zapewniających uczucia podziwu i zdumienia. Z uniesieniem opowiada, jak wyjątkowe wrażenie zrobiło na nim pokryte śniegiem Kilimandżaro, leżące w pobliżu równika, wrzące, będące natchnieniem poetów i malarzy fontanny w Yellowstone, monstrualne wydmy Sossusvlei czy tajemniczy, otoczony romantyczną aurą, łańcuch górski Ruwenzori na granicy Zairu i Ugandy.

ATLAS – MAGICZNA BIBLIA

Pasja peregrynacji towarzyszy nam od dziecka i w tych ciągotach kryje się nasze pragnienie odkrywania i poznawania innych kultur, ludów, tradycji, religii. Z każdym rokiem odległe zakątki świata stają się coraz bliższe i wojażowanie, stanowiące nieodzowny element naszego życia, nigdy nie było tak łatwe jak dzisiaj. Wyjeżdżamy nawet wtedy, gdy narzekamy, że nie mamy wystarczająco dużo czasu czy funduszy. Wpływa na to internet, nowoczesne technologie, wszechobecne smartfony, głęboko zadomowione w naszej mentalności, a przede wszystkim samolot, który stał się transportem tak powszechnym, jak samochód i pociąg.

Kiedyś podróż zaczynało się w bibliotece lub księgarni, i to właśnie lektura przygodowa otwierała horyzonty. Dla mnie rytuałem inicjacyjnym był atlas, istna magiczna biblia. Wnosiła nieskończoną liczbę egzotycznych nazw, które jeszcze dzisiaj przyciągają uwagę: wodospad Salto Angel, Wyspy Komandorskie, Timbuktu czy Bora-Bora lub Ayers Rock. Teraz już chyba nikt tak jak ja nie przenosi się palcem po mapie. Jesteśmy bombardowani zatrzęsieniem zdjęć na Instagramie i Facebooku, oglądamy natłok blogów podróżniczych, tak że już nie wiemy, skąd pojawiło się natchnienie i jak obecna destynacja wkradła się w nasze pragnienia. Internet, który zastąpił biura podróży, pozwala dokonać wszelkich rezerwacji, wybrać najlepszą opcję zakwaterowania, zamówić Ubera, wybrać z pomocą Tripadvisora najlepszą restaurację albo w Chinach skorzystać z googlowego tłumacza. Google Maps umożliwia znalezienie każdego miejsca na kuli ziemskiej, skąd każdy, korzystając ze smartfonu czy z kafejki internetowej, może się pochwalić, że dotarł do Laosu, Ekwadoru, Filipin czy Namibii, i podzielić się na żywo swoją przygodą. Po powrocie do domu nikt nie będzie wywoływać fotografii, a koledzy z pracy, pijąc espresso, nie zapytają, jak było, bo wszyscy widzieli zdjęcia na Facebooku.

WIRTUALNE ESKAPADY

Wojażowanie zmieniło się radykalnie, i to na naszych oczach. Dzisiaj łatwiej i taniej jest się przemieszczać, przekraczać granice niegdyś nie do pokonania, docierać do miejsc, które dawniej były dostępne tylko dla nielicznych. Często w dyskusjach pojawia się odwieczny dylemat „podróżnik czy turysta". Krzysztof Petek uważa, że turysta pozostaje u bram cywilizacji, dotyka kultury i zadowala się jej pianką, drugi stara się zaś wkroczyć w środek nieznanego świata. Gilbert Keith Chesterton, brytyjski pisarz z przełomu XIX i XX w., zanotował: „Podróżnik widzi to, co widzi, turysta zaś widzi to, co przyszedł zobaczyć". Czy podróżnik uciekający od touroperatorów i unikający uczęszczanych miejsc nadal zachowuje swój status, a turysta jest tylko jego drugorzędną kopią? Uważam, że takie rozważania nie mają sensu. Winowajcami

eprasa.pl 0e9cecca1b

są sami podróżujący, którzy nie wypatrują już czegoś niezakłamanego, najczęściej chcą coś zobaczyć, a nie coś zgłębić. W skrajnie oswojonym wojażowaniu trudno o niespodzianki i kontakt z czymś tajemnym.

Odcięci od roku rokiem w domach, wspominamy, jak wyglądała nasza planeta, kiedy mogliśmy się swobodnie poruszać, pójść na kawę czy do kina. Bez zbytniego dramatyzowania można skonstatować, że w czasach przedcovidowych podróżowanie stanowiło chleb powszedni, dlatego trudno się dziwić, że kiedy granicę wyznaczają dzisiaj drzwi naszego domu, poczuliśmy się wyalienowani.

Pandemia wprawdzie zawiesiła peregrynacje, ale wielu w oczekiwaniu na przejście perturbacji próbuje bez wychodzenia na ulicę doświadczyć w zaciszu własnego domu przyjemności poznawania. Dzięki internetowi można zatopić oczy nie tylko w zdjęcia czy filmy z regionów, w których rozkwitły egzotyczne kultury, ale jedno kliknięcie wystarczy, aby znaleźć się w Paryżu, kolejny klik przeniesie do Argentyny czy do Bangkoku. Wybór jest duży. Ostatnimi laty nastąpił prężny rozwój zasobów internetowych umożliwiających odbywanie takich wirtualnych wojaży. Granica między tą sferą a rzeczywistym otoczeniem stopniowo się zaciera, mamy dostęp do wybornych doświadczeń, które jeszcze niedawno istniały tylko w wyobraźni pisarzy science fiction. Liczne instytucje coraz szerzej udostępniają w różnych formach cyfrowe prezentacje, przenosząc nas do spektakularnego świata wyobraźni. Wiele też słynnych muzeów udostępnia online swoje atrakcyjne kolekcje. W taki sam sposób można odwiedzić egzotyczne zwierzęta w parku zoologicznym. Dla dzieci zaś istnieje na wyciągnięcie ręki czarujący Disneyland. Kiedyś sam „wsiadłem" do pociągu transsyberyjskiego, aby przejechać się po tej samej trasie, którą poznałem 20 lat wcześniej.

Zupełnie inaczej patrzy na wirtualne eskapady Cesare Gerolimetto, włoski pionier eksploracji afrykańskich. Nie ukrywając rozczarowania, twierdzi, że romantyzm podróżowania odchodzi w przeszłość, ostrzegając przy tym: „Dzień po dniu kultura odkryć i eksploracji traci swój urok kosztem cyfrowych realiów, wygodnych i bezpiecznych, gdzie brak jest autopsji. Co innego widzieć, a co innego myśleć. Podróż rodzi się w głowie, tam dojrzewa, ale żeby zaistniała, powinna za pomocą zmysłów reagować na bodźce, wzrok, słuch czy zapach korzennych przypraw na lokalnym suku. Ponadto taka wirtualna rzeczywistość wnosi zagrożenie, można w nią uwierzyć i przyzwyczaić. A to przysłoniłoby ciekawość autentycznego doświadczenia".

Rzeczywistość wirtualna nie zastąpi nastroju oczekiwania, ekscytacji przed wyruszeniem i prawdziwych egzotycznych wojaży oraz towarzyszących im wrażeń, ale może być namiastką materialnej wędrówki. Niewątpliwie takie antycypowane wyjazdy mogą natchnąć do przemyśleń i zainspirowania do odwiedzenia takich miejsc na żywo.

Wszyscy chcemy mieć wreszcie nadzieję, że szczepionka wygra z pandemią i będziemy mogli wrócić do naszych wyprawowych projektów. Przytłoczeni długą, wymuszoną klauzurą ludzie, nie zważając na liczne pułapki i zagrożenia związane z wyjazdem za granicę, wyznają zasadę żyjącego ponad cztery wieki temu poety Johna Donne'a: „Żyć tylko na

Fot. Archiwum autora, Shutterstock

eprasa.pl 0e9cecca1b

jednej ziemi, to jak być w więzieniu". Nikt nie ma wątpliwości, że będziemy wyjeżdżać, ale dostosowując się do bieżącej sytuacji sanitarnej i pamiętając o nieodzownym planie B.

TURYSTYKA MASOWA

W moich podróżach trzymałem się powiedzenia wpływowego myśliciela XIX w. Ralpha Walda Emersona: „Nie podążaj tam, gdzie wiedzie ścieżka. Pójdź tam, gdzie jej nie ma i wytycz szlak". Niejeden raz używałem jeszcze stanowiących przedmiot kultu map geograficznych z napisem „Relief Data Incomplete" (rejon niecałkowicie zbadany). Cieszę się, że spędzając pół życia na pełnych trudów i niebezpieczeństw bezdrożach globu, zdążyłem przekroczyć niejedną granicę znanego świata. Poznałem dawną Azję, widziałem, jak upływający czas odcisnął na tym kontynencie swoje niszczące piętno. Większość zespołów świątynnych i miast garnizonowych czy buddyjskich stup została pochłonięta przez pustynię, nie przetrwała wojen, grabieży, burz i srogich zim albo padła ofiarą ludzkich zaniedbań. W miejsce wydeptanych ścieżek karawanowych powstały drogi asfaltowe i trasy kolejowe, a dwugarbne wielbłądy zostały zastąpione ciężkimi tirami zmierzającymi do celu za pomocą nawigacji satelitarnej. Karawanseraje ustąpiły klimatyzowanym hotelom. Na bazarach nie wymienia się już jedwabiu, tylko sprzedaje firmowe T-shirty, a palarnie opium wyrugowała sieć McDonald's.

Ileż to razy w krajach afrykańskich butny urzędnik imigracyjny wystawiał mnie na surową próbę cierpliwości. Przeszywał badawczym spojrzeniem, następnie bezmyślnie kartkował wszystkie stronice paszportu w jedną i drugą stronę. Na beznamiętnej twarzy nie było żadnej reakcji, tylko wyczuwalnie nieprzychylna atmosfera. Ale z Czarnego Kontynentu wywiozłem bezlik spostrzeżeń. Byłem świadkiem niezwykłych wydarzeń, tworzących historię XX w.: narodzin Trzeciego Świata, kształtowania nowych ponadnarodowych relacji, formowania mapy świata innego kalibru. Uświęcony rytuał, czyli afrykański model socjalizmu, rozwijał się w kierunku dyktatury, destrukcji i wszechobecnej korupcji. Kraje pogrążały się w nędzy. Przebudzony kontynent stał się areną wojen etnicznych i krwawych zamachów stanu. 300 mln ludzi prostowało plecy po okresie niewolniczego wyzysku.

Niechętnie jeździłem do Stanów Zjednoczonych, gdzie urzędnik imigracyjny rzuca rutynowe pytanie: „Jaki jest cel pana wizyty?". W tym momencie daje o sobie znać wystawiający na próbę naturę ludzką eksperyment doktora Milgrama, który swego czasu badał skłonność ludzi do bezkrytycznego podporządkowania się jedynowładcy. Przechodziłem tysiące razy kontrole graniczne i wiem, że taka osoba jest w stanie narzucić cokolwiek i większość ludzi bez wielkiego oporu zrobi to, co ona im każe. Bo pamiętajmy, że ten oficer ma zawsze rację. „Tak, proszę pana" – powtarza każdy stojący przed nim pasażer. „Tak proszę pana....". A on, trzymając w ręku wasz paszport, coś tam wpisuje do komputera. Potem patrzy przenikliwie w oczy, by po chwili postawić pieczęć w dokumencie i oznajmić: „Witamy w Stanach Zjednoczonych Ameryki". Jesteście wolni, możecie iść. Cieszy was to, że nie wykorzystał on swojego autorytetu, nie zarzucił wam czegoś niezgodnego z prawem i jesteście jemu wdzięczni. Przetrwaliście wszystko, łącznie z COVID-19, ale taka stresująca sytuacja posłuszeństwa, w której człowiek jest pionkiem w ręku sprawnego autorytetu, wybija z równowagi, bo przecież wiadomo, że amerykańska wiza wcale nie daje gwarancji wjazdu. Taki właśnie superważny funkcjonariusz zawsze może zadecydować o odesłaniu was do domu.

Filozofia podróżowania zmienia się z czasem. Wszechobecna masowa turystyka niszczy to, co jeszcze niedawno wydawało się wieczne, i przemienia naszą planetę w jedną gigantyczną globalną wioskę. Bogactwo lokalnej kultury zredukowało się do stereotypów. Egzotyczne tradycje stały się komercyjnym, folklorystycznym skansenem i trudno jest dzisiaj znaleźć zaginione autentyczności zapewniające emocje.

Z powodu konsumpcyjnego charakteru turystyki już od dawna światowe sanktuaria przyrody i inne atrakcyjne zabytki cierpią od nadmiaru przyjezdnych. Tak się dzieje na wszystkich kontynentach, począwszy od Angkoru po Machu Picchu, przez Wielki Mur Chiński, wyspy Galapagos, na rzymskim Koloseum skończywszy. Aby lepiej poznać i zrozumieć inne kultury, trzeba się przesiąść do wolniejszego środka lokomocji i znaleźć chwilę czasu na kontakt z lokalną społecznością. Nie będzie to proste, bo staliśmy się niewolnikami pośpiechu. Żyjemy w nieustannym biegu, pochłania nas praca ponad siły, wciąż brakuje nam czasu, wciąż jesteśmy spóźnieni.

Naszej Koleżance

BEACIE

i Jej Córkom,

składamy wyrazy głębokiego współczucia,
wsparcia i otuchy w tych trudnych chwilach po odejściu

KOCHANEGO MĘŻA I TATY,

Koleżanki i Koledzy z pracy
– Departamentu Wspomagania Zarządzania,
Compliance oraz Biura Prawnego Kasy Stefczyka

19/0421//F

eprasa.pl 0e9cecca1b

Msza dla ludzi gór podczas pierwszej pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Polski. Nowy Targ, 8 czerwca 1979 r.

Bierzmowanie na

W przekonaniu Jana Pawła II pierwsza pielgrzymka do Polski była dopełnieniem chrztu Mieszka I – bierzmowaniem narodu. Bieżący obserwatorzy nie zrozumieli wymiaru tamtego wydarzenia, pora do niego wrócić – mówi ***dr hab. Paweł Skibiński***, historyk, autor książki „Odnowa tej ziemi. I pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, czerwiec 1979", w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Opisywanie historii wojskowości lub gospodarki jest łatwiejsze niż historia opieki Opatrzności, jakiejś nadprzyrodzoności podczas pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1979? Bo chyba tak ją postrzegał Ojciec Święty?

Paweł Skibiński: Warsztat historyka napotyka w badaniach nad prymasem Wyszyńskim czy Janem Pawłem II pewne trudności. Oprócz historii instytucjonalnej Kościoła dla ich zrozumienia jest ważna jeszcze kwestia doświadczenia ludzkiej religijności. O ile badacz średniowiecza traktuje religijność jako zjawisko naturalne, o tyle historyk XX w. jest w trudniejszej sytuacji i zwykle odruchowo pomija tę sferę rzeczywistości. Badając pielgrzymkę do Polski z 1979 r., obcowałem z doświadczeniem kontaktu z nadprzyrodzonością chociażby przy okazji badań nad osobą samego Jana Pawła II, który autentycznie postrzegał swoje życie jako służbę Bogu. Jego relacja z tym, co nadprzyrodzone, miała na niego ogromny wpływ. Historyk musi wziąć to pod uwagę, choć nie ma oczywiście narzędzi, by zgłębić istotę relacji papieża z Bogiem. W moim przekonaniu jest za to w stanie powiedzieć, jak papież postrzegał wpływ relacji z Bogiem na swoje wybory i działania, jak je kształtował pod wpływem tej relacji. Przemiana zbiorowości, z jaką mieliśmy do czynienia w czerwcu 1979 r., była przez Jana Pawła II postrzegana jako efekt wiary. Papież nazwał pielgrzymkę bierzmowaniem dziejów i choć historycy traktują to jako konwencję nazewniczą, to jednak on miał na myśli coś więcej, mówił dosłownie o bierzmowaniu narodu.

Chrzest Mieszka I i bierzmowanie Jana Pawła II?

Papież wierzył, że istnieje jakiś rodzaj oddziaływania sakramentalnego na wspólnotę, która otrzymuje przemianę duchową poprzez modlitwę i wiele znaków liturgicznych. Pierwsza pielgrzymka była w jego głębokim przekonaniu dopełnieniem chrztu Mieszkowego. Ktoś może kwestionować ten porządek nadprzyrodzony, ale jako katolik i historyk, choć nie

eprasa.pl 0e9cecca1b

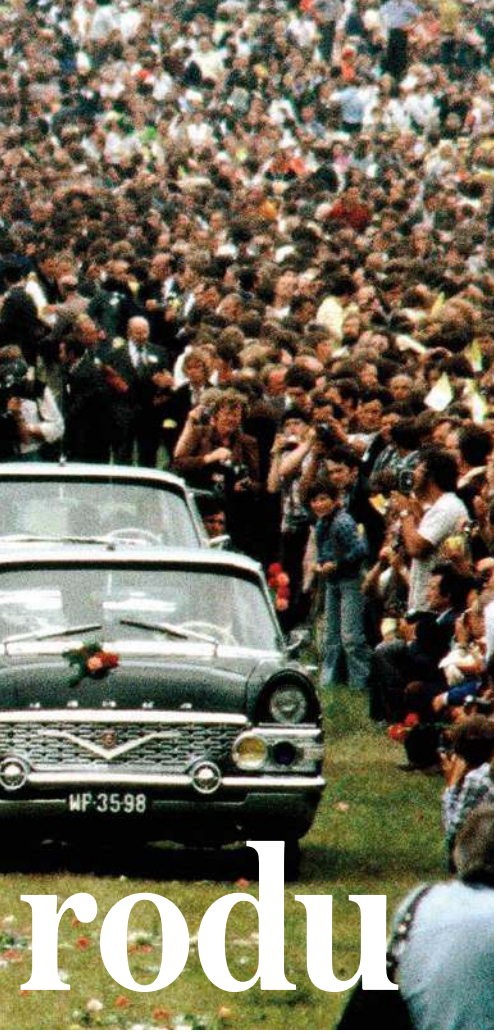

rodu

Fot. East News/SETBOUN/SIPA

przesądzam o naturze tamtego wydarzenia, muszę przynajmniej zasygnalizować takie przekonanie u głównego bohatera wydarzeń.

Czy to nie przesada? Chrzest ustanowił państwo, a sakrament Jana Pawła II być może się już wypełnił, np. wraz z upadkiem komunizmu.

Bieżący obserwatorzy nie dostrzegli takiego wymiaru pielgrzymki. Uczestnicy mieli wprawdzie poczucie, że są świadkami czegoś bardzo ważnego, ale nie rozumieli dokładnie czego. Jednak po chrzcie Mieszka także nie nastąpiła triumfalna i w pełni świadoma chrystianizacja Polaków – wręcz przeciwnie. Mieliśmy nawet etap cofnięcia się całej organizacji kościelnej na ziemiach polskich ledwie kilkadziesiąt lat po chrzcie. Wydarzenie Mieszkowe miało znaczenie długofalowe, a bierzmowanie Jana Pawła II w założeniu miało mieć analogiczny skutek.

Co z tamtych wydarzeń okazało się trwałe?

Na przykład beatyfikacja królowej Jadwigi jest nierozdzielna z ówczesną obecnością papieża w Polsce. Tak jak prymas Wyszyński programował zawierzenie narodu w niewolę Maryi na tysiąc lat, tak i Jan Paweł II myślał w podobnych kategoriach czasowych.

Patrząc po dzisiejszych nastrojach społecznych...

Niech pan nie oczekuje, że to bierzmowanie byłoby szczepionką na wszelką sekularyzację i trudności Kościoła w Polsce, że po pielgrzymce katolicyzm będzie odnosił same zwycięstwa. Takiej obietnicy Jan Paweł II nam nie składał, za to był przekonany, że ten sakrament daje społeczności osób wierzących nową szansę. Doświadczenia religijne potrafią zmienić rzeczywistość. Daleki jestem od zapewnień, że wszystkie przekonania papieża się spełnią, zresztą Jan Paweł II nie był naiwny. Oczekiwał jednak, że wydarzenia pielgrzymkowe wystarczą, by uznać, że naród przyjął jako wspólnota sakrament bierzmowania – dojrzał w wierze.

Pan profesor sugeruje, że wiele jeszcze o tej pielgrzymce nie wiemy.

Dwa lata temu Andrzej Grajewski opublikował tekst przemówienia Jana Pawła II do Rady Głównej Episkopatu Polski. Historycy nawet nie wiedzieli, że papież się z tym ścisłym kierownictwem episkopatu w ogóle osobno spotkał.

To zresztą weryfikuje przekonanie wielu badaczy PRL o omnipotencji Służby Bezpieczeństwa, która nie doceniła tego spotkania. Było to jedno z najciekawszych wydarzeń podczas całej pielgrzymki. Jan Paweł II wytyczał na nim kierunki aktywności Kościoła w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Jak się okazało, ożywienie życia religijnego miało być jednym z istotnych czynników osłabienia i upadku komunizmu w naszej części Europy, a unicestwienie rządów komunistycznych miało przecież zmienić cały świat. Ojciec Święty był już w 1979 r. świadomy wielu możliwych konsekwencji, jakie przyniesie takie odrodzenie religijne narodów żyjących pod komunizmem. Odnotowując tę papieską dalekowzroczność, zaczynamy rozumieć genezę np. późniejszego zaangażowania prymasa Glempa w obchody tysiąclecia chrztu Rusi czy też ochronę Kościoła unickiego w Związku Sowieckim, a później na Ukrainie.

Jak komuniści ocenili pielgrzymkę? Analizowali każde wydarzenie wokół niej, ale chyba nie zrozumieli skali swojej klęski.

Historiografia doby obecnej często nie rozumie mentalności komunistów. W moim przekonaniu nie doceniamy tu aspektu diabolicznego komunizmu – z jednej strony bowiem zło degraduje swoją ofiarę, ale obdarza ją, w swojej złośliwości, pewnymi zdolnościami, krótkoterminową przenikliwością. Komuniści nie widzą więc wymiaru duchowego pielgrzymki i szerszych jej skutków, które do nich docierają z opóźnieniem. Wojciech Jaruzelski dopiero w 1987 r. powie, że Kościół jest dla Polski garbem, którego jednak nie można usunąć, że trzeba z nim żyć.

Pielgrzymka pokazała, że gierkowskie próby stworzenia człowieka komunistycznego – które miały miejsce – zakończyły się fiaskiem. Ani namiastka konsumpcjonizmu, ani propaganda nie przekonały bowiem Polaków, którzy okazali się bodaj najmniej zsowietyzowanym narodem z całego bloku komunistycznego.

Potrzeba było aż milionowych tłumów, by się o tym przekonali?

Mało tego. Ludzie w Komitecie Centralnym PZPR chyba najlepiej poznawali nauki Jana Pawła II podczas pielgrzymki. Narodowi powiedzieli, że całej pielgrzymki nie da się transmitować, ale sami na żywo obejrzeli i przestudiowali wszystkie wystąpienia Ojca Świętego – były bowiem transmitowane wprost do gmachu KC. Czy ktoś by wcześniej uwierzył, że zatwardziali komuniści udadzą się na takie pogłębione, wielodniowe rekolekcje?

Paradoksy polskiej historii...

Jednym z dziwniejszych wydarzeń jest zgoda władz na aż dziesięciodniową pielgrzymkę papieża do ojczyzny. Już

eprasa.pl 0e9cecca1b

to, że wyrażono zgodę, było wyjątkowe, ale aż dziesięć dni, w których papież objeżdża kraj i łamie monopol władzy na przekaz społeczny?

Jak to się stało?

W ostatecznym rozrachunku nie wiem. Jestem w stanie wychwycić moment, w którym taka decyzja zapadła, ale nie potrafię znaleźć satysfakcjonującego jej uzasadnienia. Moskwa wydaje Warszawie instrukcje, ale Warszawa wypełnia je tylko do pewnego stopnia, ustępuje przed papieżem. Czy sprawiła to zima stulecia i chęć niekonfliktowania się ze społeczeństwem po tym pokazie niemocy wszechmocnego rzekomo państwa? Nie jest to dość przekonujące, bo przecież podczas pielgrzymki władza komunistyczna zdemaskowała swoją bezwładność czymś więcej niż tylko zimnymi kaloryferami i przerwami w dostawach prądu. W ówczesnej skali komunistycznych ustępstw pozostaje więc jakaś niewiadoma.

Która z grup inteligencji polskiej trafnie oceniła skalę tamtych wydarzeń?

Z przykrością powiem, że żadna. Nikt nie pojął w pełni jej epokowego znaczenia, choć wszyscy przyjęli ją z nadzieją. Nawet Adam Michnik, który dziś pewnie nie podpisałby się pod tym, napisał tekst, w którym bez cienia agresji zdradzał autentyczną fascynację papieżem. Ważnym śladem jest popielgrzymkowa ankieta pisma „Więź", w którym prof. Hanna Świda-Ziemba we wstrząsający sposób konstatuje, że ta inteligencja laicka jest po wyjeździe Jana Pawła II bardziej osamotniona niż katolicy, którym została przecież wiara w Boga. To nie były cyniczne sformułowania. Stanisław Stomma przyznał tam, że wreszcie, po pielgrzymce, jest w stanie wyjaśnić Holendrowi, co oznacza sformułowanie „Polak katolik" i sam się dziwi, dlaczego przychodzi mu to tak łatwo. Jeżeli zastanawiamy się, skąd potem w Solidarności sojusz narodowo-katolicki z lewicą laicką, to właśnie w pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II znajdujemy odpowiedź.

A inne nurty intelektualne?

Katolicy „koncesjonowani" dostali pewien impuls moralnego odrodzenia, oni ze swoim zapleczem materialnym i profesjonalnym, dostępnymi im powielaczami, nagłośnieniem okazali się później w wielu miejscach nieodzowni dla rodzącej się rok później Solidarności. Na przykład środowisko PAX poczuło, że może pozwolić sobie na coś więcej, niż ma to uzgodnione z władzą. Dla ludzi ruchu „Znaku" było to bardziej intelektualne i duchowe przeżycie. Pamiętajmy, że środowisko „Tygodnika Powszechnego" rozwijało się pod opieką Karola Wojtyły i kiedy oni spotykają się z Janem Pawłem II, to – jak opisał to o. Maciej Zięba – dopiero zaczynają rozumieć, że to już nie jest ten sam metropolita, z którym nieomal po sąsiedzku pracowali. Ale na kogokolwiek spośród świadków tamtych wydarzeń spojrzymy, to widzimy, że wszyscy wyszli z tej pielgrzymki lepszymi ludźmi. Najlepiej w kontekście stworzonym przez Jana Pawła II odnalazła się formacja katolicko-narodowa. Ruch Młodej Polski od początku identyfikował się z polską tradycją, a więc oni nie musieli się zastanawiać nad fenomenem przywiązania ich rodaków do Kościoła, do tradycji, do przeżyć wspólnotowych i po prostu wyrażali swoją akceptację. Zapis przeżyć innych środowisk ROPCiO nie jest już tak głęboki, widać, że w akonfesyjnej części tego ruchu zrozumienie tego, co się działo w czerwcu 1979 r., było niskie. Widać, że antykomunizm nie chronił niektórych przed pisaniem bzdur (śmiech).

> Nikt nie pojął w pełni epokowego znaczenia tej pielgrzymki, choć wszyscy przyjęli ją z nadzieją. Nawet Adam Michnik, który dziś pewnie nie podpisałby się pod tym, napisał tekst, w którym zdradzał autentyczną fascynację papieżem

U tych elit zmienia się także podejście do tzw. prostego ludu.

Reporterzy prasowi pozostawili setki stron zapisów rozmów, wydarzeń, emocji. Jako obserwatorzy byli zafascynowani pielgrzymką, próbowali zrozumieć jej fenomen. Ustępowały inteligenckie złośliwości wobec formacji duchowej prostych ludzi, propagowanej przez prymasa Wyszyńskiego. Andrzej Kijowski np. opisywał narastanie jakiejś energii duchowej, trudnej do uchwycenia zmiany w narodzie.

Co rozumieją zwykli ludzie?

Te reakcje były bardzo indywidualne. Znakomity pisarz i dokumentalista papieski Paweł Zuchniewicz spisał wiele relacji z tamtych wydarzeń, w których widać głębokość osobistych doświadczeń. Jednak wiemy też, m.in. z relacji papieskiego sekretarza ks. Stanisława Dziwisza, że w dniu rozpoczęcia pielgrzymki z lotu ptaka widzieli z papieżem beztrosko opalających się nad Wisłą i kąpiących się warszawiaków, tych, którzy w tamtej chwili nie czekali na trasie przejazdu Jana Pawła II.

Wciąż wisi nad nami pytanie, co z tych zmian pozostało dzisiaj?

Owszem, część świadków pielgrzymki nie skorzystała z szansy na głębszą wspólnotową przemianę i swoje własne wspomnienia zaczęła stopniowo odrzucać. Papież nie liczył, że spotka na swej drodze wszystkich Polaków, że wszystkich przekona, ale czuł, że to doświadczenie zbiorowe wystarczy do głębszej przemiany narodowej – takiej, którą będzie widać także w dużo dłuższej perspektywie.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Jeśli jutro wojna?

Najistotniejszą z naszego punktu widzenia kwestią jest pytanie, czy byłaby to wojna między naszymi sąsiadami, czy konflikt regionalny, w którym stroną byłaby i Polska?

MAREK BUDZISZ

Analitycy Conflict Intelligence Team, niezależnej grupy dochodzeniowej, napisali, że koncentracja wojska rosyjskiego na granicy z Ukrainą jest obecnie największa od 2015 r. Niektóre źródła mówią nawet o tym, że Rosjanie zgromadzili 80 tys. żołnierzy i ponad 1 tys. czołgów. Rosyjskie media społecznościowe pełne są nagrań przedstawiających przemieszczające się transporty wojskowe. Przerzucane są nie tylko oddziały szybkiego reagowania, takie jak brygada powietrzno-desantowa na co dzień stacjonująca w Pskowie, która została wysłana na Krym, lecz również jednostki z syberyjskiego Kemerowa, leżącego od granicy z Ukrainą w linii prostej o 3 tys. km. Nieopodal Woroneża zbudowano specjalne bazy polowe. Ludność tzw. ługańskiej i donieckiej „republik ludowych" zatrwożyło to, że na murach domów pojawiły się nowe oznaczenia schronów, w których mają szukać azylu na wypadek bombardowań. Minister obrony Federacji Rosyjskiej ogłosił „przegląd gotowości bojowej" wszystkich podległych mu jednostek, a rosyjskie śmigłowce uderzeniowe Ka-52 Aligator i Mi-28 Nocny Łowca demonstracyjnie patrolują granicę z Ukrainą. Szwedzki wywiad odnotowuje nie tylko ruchy, lecz również wzmacnianie rosyjskich oddziałów w Kaliningradzie, a białoruski szef sztabu pojechał niedawno na konsultacje do Moskwy.

PRZYGOTOWANIA DO AGRESJI

Po co to wszystko? Pytanie jest tym bardziej zasadne, że amerykańscy analitycy są pewni, iż skala obecnej mobilizacji rosyjskich sił zbrojnych znacznie przekracza zapowiedziane manewry, nie można też uzasadnić jej przygotowaniami do zaczynających się dopiero za sześć miesięcy ćwiczeń Zapad 2021. Amerykański Departament Stanu wystąpił nawet z oficjalnym pytaniem pod adresem Moskwy, z czym związane są ostatnie intensywne ruchy wojska na granicy z Ukrainą, ale nie doczekał się odpowiedzi. Trudno za takową uznać bowiem oświadczenie Dmitrija Pieskowa, rzecznika Kremla, że Federacja Rosyjska ma prawo wedle własnego uznania przemieszczać oddziały wojskowe na swoim terytorium. Oczywiście, że ma takie prawo, ale po co to robi?

Kijów też nie czeka na to, jak rozwinie się sytuacja, i od pewnego czasu przesuwa swe jednostki wojskowe w pobliże separatystycznych republik w Donbasie. Źródła rosyjskie mówią o tym, że w bezpośredniej bliskości linii rozgraniczenia znajduje się już 90 tys. ukraińskich żołnierzy oraz co najmniej 450 czołgów. Jakie są nastroje po obu stronach? Najlepiej chyba oddają je słowa 87-letniego Leonida Krawczuka, pierwszego prezydenta

Fot. home for heroes / Shutterstock

eprasa.pl 0e9cecca1b

niepodległej Ukrainy, który w wywiadzie telewizyjnym powiedział, że jeśli nieopodal jego domu pojawią się komandosi w mundurach z rosyjskimi oznaczeniami, to „będę strzelać do końca, dopóki trzymam broń w rękach, dopóki będę widział wroga. [...] Zabiję go, gdy tylko się pojawi. Co będzie dalej – nie jestem już zainteresowany, ale ich zabiję". Dodał jeszcze, że ma na tyle dobry wzrok, że na odległość 150 m trafi, a broń już wyczyścił i trzyma w pogotowiu. W podobnym duchu wypowiadali się też w ostatnich dniach inni ukraińscy politycy, a Rusłan Chomczak, dowódca sił zbrojnych, wielokrotnie mówił, że podległe mu jednostki są gotowe walczyć, a dzisiejsza armia ukraińska to nie ta sama zdezorganizowana formacja, jaką pamiętamy z 2014 r., i Rosjanie, jeśli rozpoczną agresję, to mogą się nieprzyjemnie zdziwić.

Po drugiej stronie nastroje są podobne. Nie chodzi w tym wypadku tylko o deklaracje Siergieja Ławrowa mówiącego, że Ukraina zostanie zniszczona, jeśli rozpocznie agresywne kroki, czy znacznie spokojniejsze w tonie, ale brzmiące nie mniej złowieszczo deklaracje Nikołaja Patruszewa, sekretarza rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa, który w wywiadzie dla dziennika „Kommiersant" powiedział, że Moskwa obserwuje sytuację i jest gotowa w zależności od rozwoju wypadków podejmować „konkretne kroki". Rosyjska machina propagandowa pracuje na pełnych obrotach – w popularnych politycznych telewizyjnych show dużo się mówi o wyzwalaniu Ukrainy, o tym, że cierpiący pod „faszystowskim jarzmem" jej obywatele będą witać kwiatami rosyjskie jednostki, a nawet o użyciu taktycznej broni jądrowej po to, aby przestrzec Zachód przed angażowaniem się w konflikt. Z kolei Dienis Puszylin, lider „republiki donieckiej", raportował o licznych deklaracjach ochotników napływających z całej Rosji chcących walczyć po stronie separatystów, wśród których są nawet deputowani do rosyjskiej Dumy.

Rosyjscy analitycy, tacy jak Iwan Timofiejew, ekspert Klubu Wałdajskiego i Rady ds. Polityki Zagranicznej, są zdania, że sytuacja jest obecnie groźniejsza niźli w przeszłości za sprawą zeszłorocznej wojny o Górski Karabach. Okazało się wówczas, że jest możliwe przy użyciu siły zbrojnej rozwiązanie zamrożonego konfliktu, jakich niemało w przestrzeni postsowieckiej i do których należy również konflikt na wschodzie Ukrainy. Zdaniem rosyjskiego eksperta wynik wojny Azerbejdżanu z Armenią obudził nadzieję w tych kręgach, po obu stronach granicy, które podzielają pogląd, iż rokowania to strata czasu, a problem można rozwiązać z bronią w ręku. W jego opinii nagromadzenie takiej ilości wojska po obu stronach granicy powoduje, że każdy drobny nawet incydent może się przekształcić na podobieństwo tego, co działo się latem 1914 r., w wielką europejską wojnę. I nawet jeśli dziś każdy mówi, że jej nie chce, to może się pojawić „szary łabędź", czyli wojna będąca wynikiem nie planu, ale błędnej oceny sytuacji, niepohamowanych ambicji, pomyłek czy grupowego mechanizmu podejmowania decyzji w sytuacjach kryzysowych, który, obiektywnie rzecz biorąc, sprzyja okazywaniu stanowczości i determinacji, a nie gotowości do ustępstw.

SCENARIUSZE KONFLIKTU

„Czy jutro wojna?" – pytał ukraiński portal LB w najgorętszym momencie napięcia między Ukrainą a Rosją. Zapytajmy i my, jak może wyglądać ewentualny konflikt między naszymi sąsiadami, pamiętając, że na razie większość analityków zgadza się z poglądem, że możemy mówić o silnej presji, próbie zastraszenia Kijowa przez Moskwę, ale jeszcze nie o przygotowaniach do inwazji czy zbrojnych prowokacji.

Pierwszą najistotniejszą z naszego punktu widzenia kwestią jest pytanie, czy rzeczywiście byłaby to wojna między naszymi sąsiadami, a nie konflikt regionalny, w którym stroną byłaby i Polska? Agresywna retoryka białoruskiego dyktatora, który mówi, że „Polacy dostaną po mordzie", w połączeniu z zapowiedziami walki z organizacjami mniejszości polskiej na Białorusi wskazują, że zaostrzenie sytuacji może dotyczyć również nas. Tym bardziej że w okolicach Grodna i w Kaliningradzie mają powstać białorusko-rosyjskie „ośrodki szkoleniowe", które tamtejsi eksperci wojskowi traktują bardziej w kategoriach nowych baz wojsk rosyjskich. Towarzyszą temu szczątkowe na razie, ale już pojawiające się informacje o przesuwaniu wojsk białoruskich w regiony nadgraniczne z Ukrainą, wspólnych manewrach z rosyjskimi siłami zbrojnymi na terenie Abchazji czy ożywionych konsultacjach na szczeblu dowódców armii narodowych. Jeśli dodamy do tego doniesienia wywiadu Szwecji o wzmacnianiu rosyjskiego kontyngentu w Kaliningradzie, a nawet niedawny rajd trzech rosyjskich łodzi podwodnych, które wynurzyły się niespodziewanie spod lodu w Arktyce, to łatwo dojdziemy do wniosku, że Rosja może dążyć do eskalacji napięcia na całej „granicy" między blokiem państw NATO i swoim obozem.

Podobnie myślą eksperci zarówno w NATO, jak i na Ukrainie. Roman Maszowiec, zastępca szefa administracji prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, wzywał w ostatnich dniach sąsiednie

Fot. Artem Grebenyuk / Shutterstock

państwa do podniesienia stopnia gotowości bojowej ich armii i na taki ruch zdecydowało się już europejskie dowództwo amerykańskich sił zbrojnych. Portal kavkaz.com poinformował, że Ukraina udostępniła swoją przestrzeń powietrzną dla państw Paktu Północnoatlantyckiego, które mają rozpocząć jej patrolowanie, na wzór procedur realizowanych nad państwami bałtyckimi.

Armia ukraińska, która lubi, kiedy określa się ją mianem „najsilniejszej w Europie", też nie jest już tą słabą i zdemoralizowaną formacją, którą pamiętamy z 2014 r. Robert Homans, amerykański analityk mieszkający przez wiele lat w Kijowie, wspomina w intellinews.com, że w 2014 r. Ukraina była w stanie zmobilizować na początku jedynie 4 tys. sił regularnych. Armia była w rozsypce, bez amunicji, paliwa, części zamiennych, zdemoralizowana i zinfiltrowana przez Rosjan. Ale już po roku, dzięki niesłychanemu wysiłkowi całego społeczeństwa, udało jej się odbić znaczną część zajętych przez separatystów terytoriów, co zmusiło Rosję do otwartej interwencji zbrojnej po ich stronie zakończonej kotłem debalcewskim i wymuszonym porozumieniem z Mińska. Dziś w jego opinii relacja sił zmieniła się na korzyść Ukrainy. Podobnego zdania jest Igor Girkin (Striełkow), były „minister obrony" separatystycznej republiki w Doniecku, autor niedawno opublikowanego w rosyjskich mediach artykułu, w którym dowodził, że siły zbrojne separatystów w razie uderzenia armii ukraińskiej zostaną przełamane w ciągu kilku godzin, a całkowite ich rozbicie jest kwestią dwóch–trzech dni. Separatyści mogą przeciwstawić armii ukraińskiej siły „milicji ludowych", na papierze liczących ok. 40 tys. żołnierzy, jednak – jak argumentuje Striełkow – rzeczywisty stopień ich ukompletowania, zwłaszcza jednostek liniowych, nie przekracza 50 proc. Jego zdaniem oznacza to, że tak broniony „front" nie wytrzyma zmasowanego ataku przeciwnika na całej jego długości i zostanie łatwo przełamany co najmniej w kilku punktach. Ten opis ma służyć uzasadnieniu głównej tezy Striełkowa, iż Moskwa zostanie zmuszona przez rozwój wydarzeń do przyjścia z pomocą wojskową „republikom ludowym", a to pociągnie za sobą realizację jednego z dwóch scenariuszy.

Jeśli interwencja rosyjskich sił zbrojnych będzie miała ograniczone rozmiary, to Rosja utraci kontrolę nad Donbasem, czyli innymi słowy przegra starcie i poniesie konsekwencje polityczne, w tym wewnętrzne, wojennej porażki. Drugim, znacznie korzystniejszym z rosyjskiego punktu widzenia scenariuszem, jest rozpoczęcie wojny na większą skalę, przeprowadzenie natarcia na całej linii frontu i zdobycie obszarów na wschód od Dniepru, co w efekcie powinno prowadzić do powołania Noworosji. Trzeba jednak pamiętać, że argumentacja Striełkowa, obliczona na to, aby pobudzić Rosję do „udzielenia bratniej pomocy", celowo przejaskrawia opis słabości sił prorosyjskich na wschodzie Ukrainy.

> Armia ukraińska, która lubi, kiedy określa się ją mianem „najsilniejszej w Europie", też nie jest już tą słabą i zdemoralizowaną formacją, którą pamiętamy z roku 2014

DŁUGA WOJNA CZY UDERZENIA PUNKTOWE?

Znacznie bardziej sceptyczni są analitycy ukraińscy. Jurij Butusow, z redakcji portalu cenzor.net, przeanalizował politykę dostaw nowych typów broni do rosyjskich sił zbrojnych i doszedł do wniosku, że przez ostatnie lata gros najnowocześniejszego sprzętu trafiło do jednostek z okręgów wojskowych graniczących z Ukrainą. Choć jego zdaniem wojna teraz nie wybuchnie, należy się jej spodziewać raczej bliżej lata, to Moskwa może chcieć wykorzystać nie tylko swoją przewagę liczebną, bo tę Ukrainie w ostatnim czasie udało się zmniejszyć, lecz przede wszystkim techniczną i technologiczną związaną z nowymi rodzajami broni. Raczej też nie będziemy w jego opinii obserwować konfliktu starego typu, długiej wojny przypominającej to, co działo się przed laty. Moskwa zmienia swą strategię, przygotowując się do serii prowokacji granicznych, „uderzeń punktowych", po to, aby osiągnąć cele strategiczne i pobudzając ruchy irredentystyczne w prorosyjskich, a dziś kontrolowanych przez Ukrainę prowincjach, zdestabilizować sytuację w Kijowie i wymusić ustępstwa. Jest to bardziej strategia zbrojnego zastraszenia, a koncentracja sił, przeprowadzana otwarcie, tak aby każdy mógł ją widzieć, ma na celu pokazanie zdecydowania Moskwy, niekoniecznie zaś przygotowania do ataku.

Paradoksalnie długą wojną, z zupełnie innego powodu, nie jest też zainteresowana Ukraina. Nie chodzi w tym wypadku o kwestie polityczne, które warto na użytek naszych rozważań pozostawić nieco z boku, ale o ograniczenia natury wojskowej. Otóż po serii pożarów i detonacji, jakie w ostatnich latach zdarzyły się w składach i magazynach amunicji, podczas których, według relacji mediów, zniszczone zostały pociski o wartości miliarda dolarów, ukraińskie siły zbrojne dysponują zasobami pozwalającymi na toczenie walki przez jakieś osiem dni, zwłaszcza jeśli chodzi o pociski pancerne o kalibrze przekraczającym 100 mm. Kolejnym problemem jest niedobór paliwa. Już w kwietniu Ukraina otrzyma z Rosji o 22 proc. mniej diesla niźli miesiąc wcześniej, a teraz niespodziewanie, co zresztą może nie być kwestią przypadku, o wstrzymaniu pracy i dostaw poinformowała białoruska rafineria w Nowopołocku, jeden z głównych dostawców diesla na Ukrainę. Specjaliści oceniają, że ukraińskie siły pancerne skoncentrowane w rejonie Donbasu muszą dostać, aby móc się przemieszczać, złożony z 60 cystern pociąg paliwa co dwa–trzy dni. Przerwy w dostawach oznaczają unieruchomienie wojska.

Osobnym problemem jest pogoda, a zwłaszcza to, że dominujące w regionie Donbasu drogi gruntowe o tej porze roku przypominają trzęsawiska, co znakomicie utrudnia działania wojenne. To zmieni się już w maju i wtedy sytuacja może się zaogniać, ale na razie eksperci są przekonani, że wojna nie wybuchnie.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Efekt domina

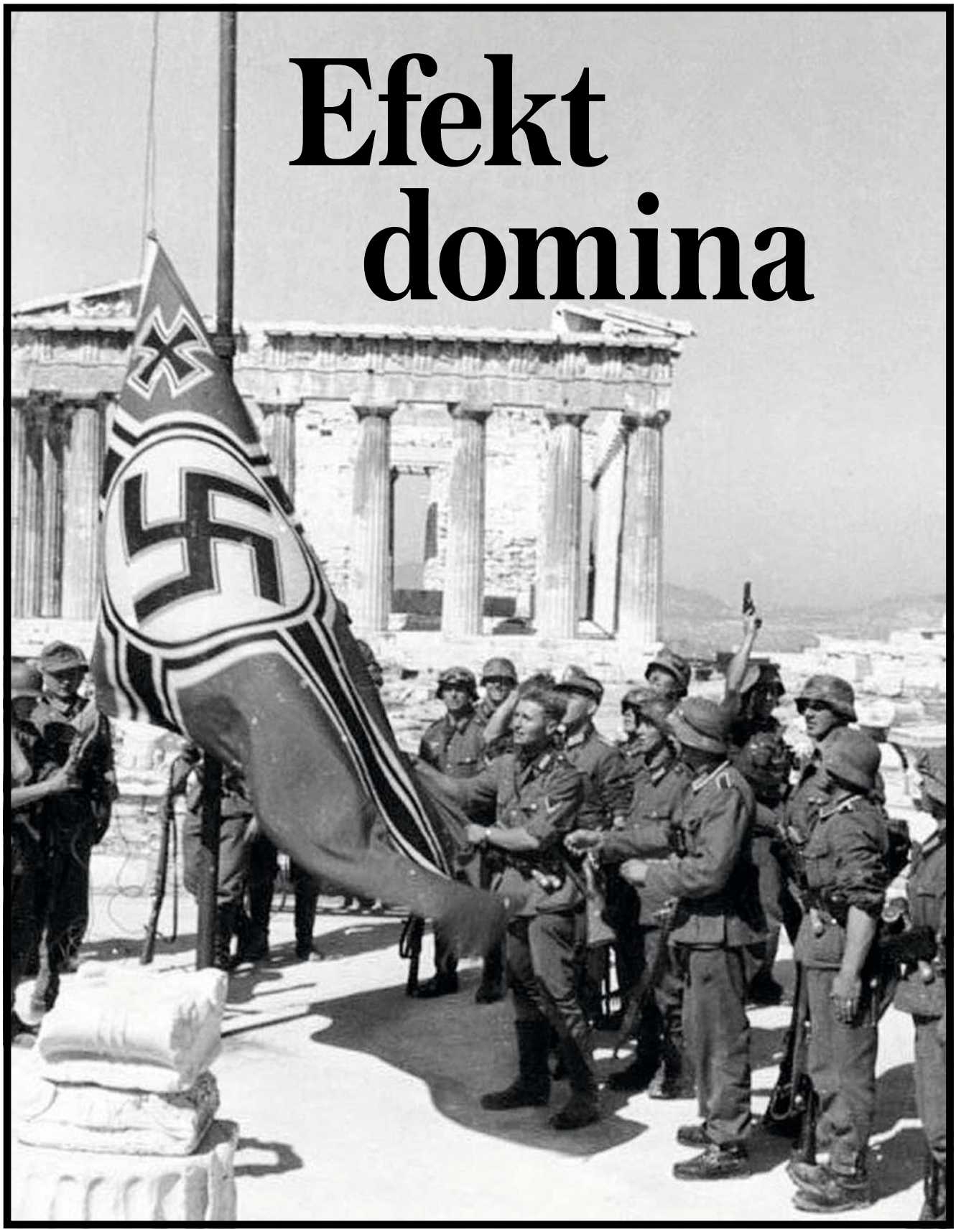

Fot. East News

eprasa.pl 0e9cecca1b

80 lat po niemieckim ataku na Grecję w czasie II wojny światowej (6 kwietnia 1941 r.) rząd w Atenach wezwał Berlin do podjęcia negocjacji w sprawie reparacji za zniszczenia wojenne. Ponownie, kwestia ta ciąży bowiem na relacjach między oboma państwami od lat

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Zaczynając od 2012 r., kolejne greckie rządy podejmowały sprawę reparacji wojennych. W 2016 r. Ateny oszacowały wartość szkód, jakie Niemcy spowodowały w Grecji, na co najmniej 289 mld euro. Trzy lata później ówczesny grecki rząd kierowany przez Aleksisa Tsiprasa, lidera skrajnie lewicowej Syrizy, zwrócił się do rządu federalnego o rozpoczęcie rozmów na ten temat. Odpowiedź Berlina była jednoznaczna: rozmów nie będzie, bo sprawa reparacji jest zamknięta. Na mocy porozumienia z 1960 r. władze ówczesnej RFN wypłaciły Grecji tytułem zadośćuczynienia 115 mln marek zachodnioniemieckich, a następnie przyjęły ok. 420 tys. greckich gastarbeiterów. Porozumienie zawiera klauzulę, że wszystkie roszczenia odszkodowawcze uznaje się za zaspokojone. Zdaniem Berlina temat zresztą ostatecznie zamknął traktat 2+4 z 1990 r. zawarty między RFN i NRD a dawnymi mocarstwami okupacyjnymi (USA, ZSRR, Francja, Wielka Brytania). Traktat ten utorował drogę do zjednoczenia Niemiec.

NIEMIECKI DYKTAT

Twarde „nie" Berlina nie zadowoliło jednak greckich władz i ma to więcej wspólnego z historią ostatniej dekady niż pierwszej połowy XX w. Kryzys finansowy 2008 r. szczególnie boleśnie doświadczył Grecję. Kraj potrzebował kolejnych wielomiliardowych pakietów pomocowych, przyznawanych mu przez tzw. trojkę złożoną z Komisji Europejskiej, Europejskiego Banku Centralnego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W zamian władze w Atenach musiały przeprowadzić bolesne cięcia. Narzucona im polityka oszczędnościowa oraz kąśliwe uwagi kanclerz Niemiec Angeli Merkel, by byli „bardziej jak szwabska gospodyni", rozsierdziły Greków. W 2011 r. oraz 2012 r. przez Grecję przetoczyły się antyniemieckie i antyunijne protesty, podczas których protestujący trzymali transparenty nawiązujące do nazistowskiej przeszłości Niemiec i przedstawiające Angelę Merkel z wąsem Hitlera i w mundurze SS. W lutym 2012 r. były szef MSZ Grecji Stawros Dimas otwarcie mówił o „niemieckim dyktacie" i połączył to z kwestią reparacji. Według niego kwestia reparacji pozostaje otwarta, a Grecja potrzebuje „gospodarczego cudu".

Jednak zadośćuczynienie za krzywdy doznane przez Grecję podczas II wojny światowej było dla Aten od początku czymś więcej niż sposobem na wyjście z finansowego marazmu. Jak podkreślił Tsipras podczas rozmów z niemiecką kanclerz w 2015 r., jest to nie tylko problem materialny, lecz także „moralny". Według niego trudno nazwać wypłacone Grecji 115 mln marek za wystarczające zadośćuczynienie, zważywszy na to, że dotyczyło ono tylko indywidualnych ofiar III Rzeszy. Tymczasem Niemcy zniszczyli grecką infrastrukturę oraz przemysł, wywozili całe fabryki wraz z kominami. Na skutek masowych morderstw i głodu śmierć poniosło ok. 10 proc społeczeństwa Grecji. Nie wspominając o nigdy niezwróconej pożyczce w wysokości prawie 500 mln marek niemieckich, do której Niemcy w 1942 r. zmusiły grecki bank centralny. Dzisiaj, uwzględniając odsetki, kredyt byłby wart kilka, a może nawet kilkanaście miliardów euro.

PRZESZŁOŚĆ CZY TERAŹNIEJSZOŚĆ?

Ponieważ niemieckie media i politycy zarzucili greckim władzom prowadzenie politycznej gry za pomocą reparacji, a nawet chęć odwetu za bolesne bailouty, Ateny zdecydowały się na oficjalne wystąpienie o reparacje dopiero w 2019 r., w chwili zakończenia międzynarodowych programów pomocowych. Tymczasem już w 1965 r. ówczesny premier Grecji Jeorjos Papandreu w werbalnej nocie do ministerstwa spraw zagranicznych Niemiec zwrócił uwagę na greckie roszczenia. Bez powodzenia.

Dziś długa historia walki Grecji o zadośćuczynienie ze strony Berlina jest niemal całkowicie zapomniana. Jest aż nader widoczne, że potrzeba greckiego rządu prowadzenia rozmów o reparacjach, a nawet o niemieckich zbrodniach na narodzie greckim, nie jest podzielana przez Berlin. Nic nie obrazuje tego lepiej niż brak w Niemczech upamiętnienia 80. rocznicy napaści na Grecję oraz kraje byłej Jugosławii, na co zresztą zwróciła uwagę grecka prasa. W marcu, podczas debaty na temat reparacji w Bundestagu, poseł Zielonych Manuel Sarrazin zapytał kolegów z rządzącej koalicji z CDU/CSU i SPD, czy z okazji rocznicy zamierzają przypomnieć o niemieckich zbrodniach w tym kraju. Odpowiedział mu MSZ, że obchody owszem są przewidziane, ale w Grecji, i wezmą w nich udział przedstawiciele niemieckiej ambasady. To pokazuje, jak niewielką rolę odgrywają te wydarzenia w niemieckiej pamięci zbiorowej oraz polityce historycznej.

W przypadku Grecji działa podobny mechanizm jak w przypadku Polski: ponura historia III Rzeszy nie pasuje do nowoczesnego, otwartego i tolerancyjnego państwa niemieckiego, więc jest wyciszana, a pamięć o niej poddawana rytualizacji w postaci corocznych pokłonów przed pomnikami i sążnistych przemówień o „świadomości win". Tak było i tym razem. MSZ poinformował Sarrazina o tym, że Berlin wie o zbrodniach popełnionych przez Niemców w Grecji i zapewnił go, że nie próbuje uciec przed

eprasa.pl 0e9cecca1b

odpowiedzialnością. Niemcy wiedzą, czują się winne, ale gdy Warszawa czy Ateny zwracają uwagę na brak rzeczywistego zadośćuczynienia, zderzają się z murem.

CAŁA NADZIEJA W ZIELONYCH?

Niemieccy Zieloni oraz skrajnie lewicowa Die Linke próbowały ten mur przebić. 25 marca br. debatowano w Bundestagu nad wnioskami dotyczącymi reparacji złożonymi przez oba kluby parlamentarne. Zieloni domagali się „gestu dobrej woli" wobec Grecji, czyli „nowego podejścia" do greckich żądań zwrotu pożyczki, którą niemieckie władze wymusiły podczas wojny na greckim banku centralnym. Poza tym chcieli m.in. odszkodowań dla tych ofiar i ich dzieci, które dotychczas nie otrzymały zadośćuczynienia, wsparcia dla gmin żydowskich w Grecji oraz inwestycji w regiony, które zostały zniszczone przez niemieckich okupantów. Z podobną inicjatywą w kontekście reparacji dla Polski Sarrazin wystąpił w ubiegłym roku. Proponował m.in. utworzenie funduszu, który pokrywałby koszty opieki medycznej nad jeszcze żyjącymi ofiarami wojny oraz stworzenie ram wsparcia polskiej kultury, której zniszczenie było jednym z celów niemieckiej polityki okupacyjnej. Die Linke poszła o krok dalej i domagała się, ni mniej, ni więcej, niż uznania żądań reparacyjnych Grecji. Oba wnioski zostały oczywiście odrzucone.

Podczas miejscami dość nieprzyjemnej (posłowie Alternatywy dla Niemiec określili Greków mianem darmozjadów) debaty była zresztą obecna ambasador Grecji w Niemczech Mara Marinaki. Niemniej jednak temat pojawił się w niemieckim parlamencie i tym samym w świadomości publicznej. Ponadto, jak zaznaczył niemiecki dziennik „Süddeutsche Zeitung", wniosek Zielonych, chociaż nie miał oczywiście szans na większość w Bundestagu, jednocześnie zobowiązuje partię do dalszych działań w tym kierunku. To ważne w kontekście wyborów, które odbędą się we wrześniu. Według sondaży Zieloni mogą obecnie liczyć na 23 proc. głosów i drugie miejsce. Mają więc duże szanse na wejście do następnego rządu. Żadna partia, która chce rządzić Niemcami, nie zdecyduje się wprawdzie na wypłatę reparacji ani Polsce, ani Grecji, nie zrobią tego także Zieloni, ale otwiera to pole do kolejnych inicjatyw tego typu i pokazuje, że jest to nie tylko kwestia czysto ekonomiczna, lecz także etyczna. Debata nad reparacjami dla Grecji oraz przychylna postawa Zielonych to szansa dla Polski, by wyjść z własnymi żądaniami.

ZEMSTA KOLONII?

Oczywiście sytuacja Warszawy różni się od tej Aten. Jak podkreślił poseł PiS Arkadiusz Mularczyk w rozmowie z PAP, w Grecji istnieje pewien ponadpartyjny konsens odnośnie do reparacji, inaczej niż w Polsce, gdzie opozycja uważa tę kwestię za „granie antyniemiecką kartą". Ateny podjęły też konkretne działania w kierunku uzyskania reparacji, podczas gdy państwo polskie jest – jak określił to Mularczyk – „dopiero w gotowości do podjęcia działań". Brakuje bowiem politycznej woli. Według Mularczyka raport sejmowego zespołu na temat naszych strat wojennych jest gotowy w 99 proc. „Moment zakomunikowania roszczeń i wszczęcia odpowiednich procedur na poziomie krajowym i międzynarodowym zależy od decyzji rządu" – podkreślił. A tej decyzji jak dotąd nie ma.

> W przypadku Grecji działa podobny mechanizm jak w przypadku Polski: Niemcy czują się winne, ale gdy Ateny czy Warszawa zwracają uwagę na brak zadośćuczynienia, zderzają się z murem

Sytuacja prawna polskich i greckich roszczeń także się różni. W 2019 r. zespół ekspertów niemieckiego parlamentu zakwestionował żądania reparacyjne Polski. Za uzasadnione uznał natomiast roszczenia Grecji. Odmowne stanowisko Berlina eksperci Bundestagu nazwali w przypadku Aten „dopuszczalnym z punktu widzenia prawa międzynarodowego, ale w żadnym wypadku obligatoryjnym". Rząd Niemiec powtarza co prawda, że traktat 2+4 ostatecznie uregulował kwestie wynikające ze skutków wojny. Grecja jednak nie uczestniczyła w traktacie, a także nigdy oficjalnie nie zrzekła się reparacji. Według ekspertów Bundestagu w przypadku Polski jest zgoła inaczej. W przeciwieństwie do Grecji w 1953 r. (i ponownie w 1970 r.) Polska miała jednoznacznie z nich zrezygnować. Polski rząd uważa tamte deklaracje za nieważne, argumentując, że do ich złożenia doszło pod naciskiem ZSRR. Berlin twierdzi, że są one jednak „wiążące z punktu widzenia prawa międzynarodowego".

Powód takiej postawy Niemców jest prosty: obawa przed efektem domina. Grecja i Polska to niejedyne kraje, które ucierpiały pod okupacją niemiecką. Jak zauważył w 2019 r. publicysta dziennika „Die Welt" Sven Felix Kellerhoff, podobne roszczenia zgłosiły także kraje bałtyckie.

A niemieckie zbrodnie nie ograniczają się do II wojny światowej. Jest jeszcze kwestia dawnych kolonii w Afryce. Od sześciu lat Namibia prowadzi rozmowy z Berlinem o reparacjach za zbrodnie popełnione ponad 100 lat temu na grupach etnicznych Herero i Nama. Mówi się o kwocie 36 mld euro, jakiej Burundi może się domagać od Niemiec za okres kolonialny. Także Tanzania próbuje wywierać presję na Berlin, by przejął odpowiedzialność za niemieckie zbrodnie kolonialne, w tym za masakrę miejscowej ludności, która stawiła opór okupantowi w powstaniu Maji-Maji.

Jest to puszka Pandory, której – raz otwartej – zdaniem władz w Berlinie nie da się już zamknąć. Ateny chcą 300 mld euro, Polska prawie 900 mld, a kolejne państwa zapewne szybko ustawią się w kolejce. I Berlin już nigdy nie przestanie płacić. Niektórzy eksperci uważają, że istnieje dla Niemiec wyjście z tego dylematu, niewymagające wypłaty setek miliardów euro reparacji: podmiotowe traktowanie słabszych partnerów w Unii Europejskiej oraz większa elastyczność w kwestiach takich jak wspólny dług i polityka fiskalna Europy. Wtedy, przekonuje choćby Leonid Bershidsky na łamach portalu Bloomberg, greckie żądania reparacji co najmniej „ucichną".

eprasa.pl 0e9cecca1b

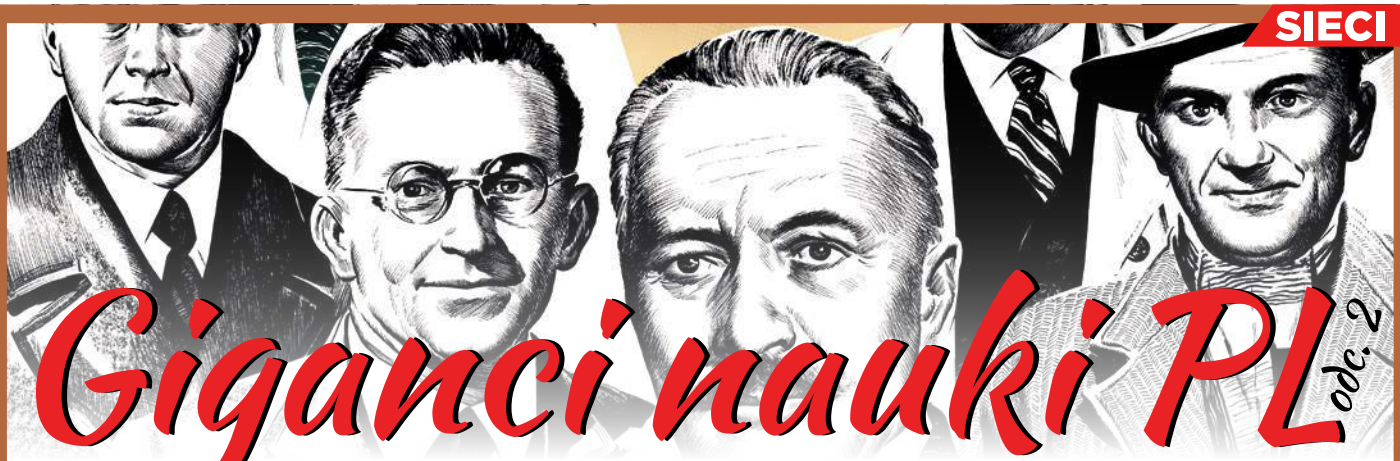

Giganci nauki PL odc. 2

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Mamy w naszej historii wspaniałych odkrywców i wynalazców, zmieniających losy Polski i świata. Często wiemy o nich niewiele albo zgoła nic. Przez całe dziesięciolecia od wojny byli świadomie zapominani i niedoceniani. Nadszedł czas, byśmy mogli z dumą o nich mówić i przypominać Polsce oraz światu o wspaniałych rodakach

Tadeusz Apolinary Wenda
(1863–1948)

rys. Krzysztof Wyrzykowski

PARTNER DODATKU

ORLEN

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN HN

eprasa.pl 0e9cecca1b

Chwała inżynierom!

Nie jesteśmy wyłącznie narodem ludzi walecznych, całujących kobiety po rękach, nasi rodacy mieli istotny wkład we współczesną cywilizację naukowo-techniczną, w co niektórym tak trudno dzisiaj uwierzyć – mówi prof. Bolesław Orłowski

Fot. P. Życieński

W roku 2019 ukazał się V tom redagowanego przez pana „Słownika polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki". Skąd wziął się pomysł i dlaczego ograniczenie do przedstawicieli nauk ścisłych i techniki?

Bolesław Orłowski: Tom V jest zwieńczeniem tomów, które ukazały się w roku 2015. Znalazły się w nim biogramy osób zmarłych po 2015 r., indeksy oraz próba syntetycznej charakterystyki całej zawartej w „Słowniku" zbiorowości.

Ograniczenie do przedstawicieli nauk przyrodniczych, ścisłych i techniki wynika z obserwacji, że w ostatnich dwóch stuleciach Polacy byli tak zaabsorbowani walką o zachowanie narodowej tożsamości oraz odzyskanie i utrzymanie niepodległości, że inne sprawy schodziły na plan dalszy. Polska pamięć historyczna zachowuje wspomnienie głównie o tych, którzy walczyli zbrojnie albo walkę tę wspierali piórem lub pędzlem. Pozytywiści budujący infrastrukturę cywilizacyjną byli obserwowani mniej uważnie. Zdarzało się, że w konfrontacji z „bohaterami walki" stawali w dwuznacznym świetle. Na przykład Stanisław Kierbedź starszy, wybitny inżynier, budowniczy mostów, w tym mostu warszawskiego ochrzczonego jego nazwiskiem, na którego filarach wspiera się dziś most Śląsko-Dąbrowski. Kierbedź, mimo wykształcenia w Rosji i kariery w służbie rosyjskiej zwieńczonej awansem do najwyższej rangi urzędniczej, nigdy nie zatracił poczucia polskości. Most warszawski wznosił w czasie powstania styczniowego, piastując jednocześnie urząd naczelnika komunikacji w okręgu warszawskim. Po upadku powstania wchodził w skład Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego. Przykładem innego rodzaju wybiórczości polskiej pamięci jest biografia Karola Brzozowskiego, uczestnika konspiracji patriotycznych w latach 40. XIX w., politycznego emisariusza polskiej emigracji w Turcji. Pamięta się o nim również jako o poecie, dramaturgu, a nawet znakomitym myśliwym. Mało kto jednak wie, co Brzozowski uważał za swe najważniejsze dzieło. A była to budowa w Turcji 40 tys. km linii telegraficznych. Nie inaczej jest z Ignacym Domeyką, pamiętanym głównie z powodu epizodu filomackiego i przyjaźni z Adamem Mickiewiczem, co nie umknęło historykom literatury. O geologicznych osiągnięciach Domeyki i karierze akademickiej w Chile mało kto pamięta.

Podsumowując, nasz panteon bohaterów ma inny skład niż panteon brytyjski czy amerykański, gdzie obok zasłużonych żołnierzy i wybitnych artystów poczesne miejsce zajmują przemysłowcy, uczeni i wynalazcy.

Jakie były kryteria doboru postaci do „Słownika"?

Sprawa doboru zawsze budzi kontrowersje. Podstawowym kryterium była oryginalność. Rozumiemy przez nią nie tylko osiągnięcia o charakterze międzynarodowym, lecz także osiągnięcia na skalę krajową. Do „Słownika" trafiał więc ktoś, kto skutecznie adaptował w Polsce zagraniczne zdobycze cywilizacyjne. Stąd typowe dla tego rodzaju publikacji zróżnicowanie co do rangi uwzględnionych osób. Obok Kopernika i Marii Skłodowskiej-Curie są prekursorzy produkcji farmaceutycznej w Galicji.

Nawet wyrywkowa lektura „Słownika" prowadzi do wniosku, że grupa Polaków, którzy zapisali się na trwałe w światowej nauce i technice, jest liczna. Często są to osoby znane tylko specjalistom z danej dziedziny, bo współczesna nauka i technika w coraz większym stopniu jest dziełem zespołowym. Oryginalny wynalazek pociąga za sobą zwykle liczne modyfikacje i udoskonalenia. Liczba osób w owe udoskonalenia zaangażowanych rośnie bardzo szybko, a przez to wielu zostaje zapomnianych. Zapomnianych niesłusznie. Newton mawiał: „Jeśli widzę dalej, to tylko dlatego, że stoję na ramionach olbrzymów".

Wiedzę o naukowych i technicznych dokonaniach Polaków trzeba popularyzować także po to, aby zmieniać nasz wizerunek własny. Nie jesteśmy wyłącznie narodem ludzi walecznych, całujących kobiety po rękach, nasi rodacy mieli istotny wkład we współczesną cywilizację naukowo-techniczną, w co niektórym tak trudno dzisiaj uwierzyć.

Rozmawiał prof. Michał Kopczyński

eprasa.pl 0e9cecca1b

Zapoznana historia symbolu II RP

Gdynia jest jednym z najważniejszych, pamiętanych i uznanych dzieł niepodległej Rzeczypospolitej międzywojennej. Tak się złożyło, że nie zachowała się pamięć o jej twórcy

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Przypisywano tę rolę Eugeniuszowi Kwiatkowskiemu, który się od niej wielokrotnie publicznie odżegnywał, stwierdzając, że ojcem Gdyni jest Tadeusz Apolinary Wenda. Bezskutecznie! Nadal powstanie Gdyni przypisywano Kwiatkowskiemu, który się zresztą wydatnie do niego przyczynił. Dlaczego? Bo Kwiatkowski był jedną z niewielu postaci II Rzeczypospolitej, których pozytywna legenda przetrwała. I nie bez powodu kojarzono go z Gdynią i ze sprawami polskiego wybrzeża.

Był jednym z tych, którzy od momentu odzyskania niepodległości kładli nacisk na znaczenie kwestii morskich dla gospodarki państwa. W Polsce tradycyjnie kojarzono to z Gdańskiem. Leżał u ujścia Wisły, więc przez jego port eksportowano polskie zboże, a także produkty naturalne jak czerwiec, potaż czy klepki dębowe na budowę hiszpańskiej Wielkiej Armady. Był miastem hanzeatyckim, często nieposłusznym Rzeczypospolitej. W dużym stopniu niemieckim, co jeszcze pogłębiły porozbiorowe rządy pruskie.

Kiedy wszakże doszło do odzyskania niepodległości w 1918 r., powszechnie liczono, że Gdańsk przypadnie Polsce. Opierano na tym gospodarcze rachuby. Traktat wersalski przyznał mu jednak status wolnego miasta. Czyli w praktyce niemieckiego. Bo takie były etniczne i polityczne realia.

Gdańsk ciążył ku Rzeszy. Nie był przyjazny Polsce. Nie zamierzał spełniać funkcji jej okna na świat w stopniu, który by nas satysfakcjonował.

Zaczęto więc gorączkowo szukać praktycznego sposobu rozwiązania tej kluczowej dla polskiej gospodarki kwestii. Po wnikliwej analizie okazało się, że trzeba zbudować nowy własny port morski. I to uczyniono. Taka w skrócie była geneza Gdyni.

W odrodzonej Polsce uznano, że trzeba zbudować nowy własny port morski – tak powstała Gdynia

eprasa.pl 0e9cecca1b

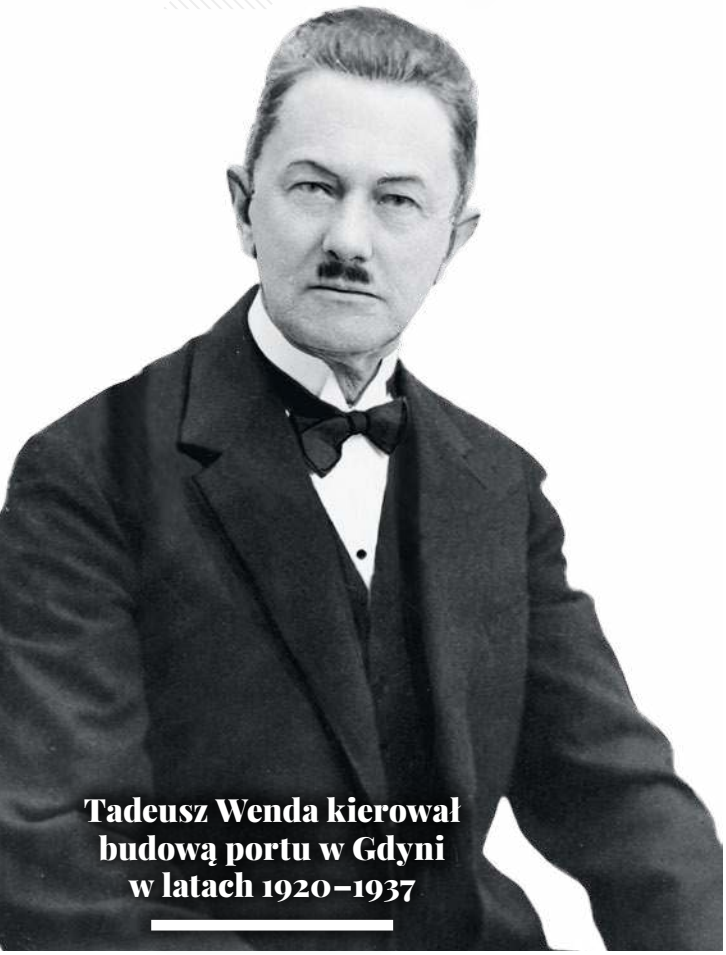

Tadeusz Wenda kierował budową portu w Gdyni w latach 1920–1937

Otworzył Polsce okno na świat

Tadeusz Wenda (1863–1948)

Na posiedzeniu Państwowej Rady Zabytków w 2015 r. nikt nie miał wątpliwości, że przedwojenna Gdynia stanowi skarb urbanistyczny najwyższej klasy. Ze zdziwieniem natomiast zdecydowana większość zebranych dowiedziała się o istnieniu i roli Tadeusza Wendy. Tak dogłębna była o nim niepamięć. Czas, by to naprawić

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Tadeusz Apolinary Wenda urodził się w Warszawie 23 lipca 1863 r. Był synem Władysława, naczelnika archiwum miejskiego, autora prac historycznych, i Justyny z Matuszewskich.

Po ukończeniu III państwowego gimnazjum realnego, studiował matematykę na uniwersytetach w Warszawie i Petersburgu, gdzie ostatecznie ukończył w 1890 r. Instytut Inżynierów Komunikacji. Początkowo pracował przy budowie kolei w Rosji i w Kongresówce. Od 1906 r. zajął się budownictwem morskim, m.in. przez sześć lat rozbudowywał port w Rewlu (obecnie Tallin w Estonii). Podczas I wojny światowej pracował społecznie w Komitecie Obywatelskim miasta Warszawy, kierując robotami publicznymi, przy których zatrudniano bezrobotnych.

W 1918 r. uczestniczył w komisji organizującej zarząd dróg wodnych w odrodzonej Polsce i był inspektorem żeglugi na Wiśle. Zatrudniony w Ministerstwie Robót Publicznych opracował projekt rozbudowy portu w Gdańsku do mocy przeładunkowej 12 mln ton rocznie. Kiedy w 1919 r. okazało się, że Gdańska nie da się wykorzystać, w kwietniu 1920 r. badał możliwości zbudowania portu morskiego w Tczewie. Ocenił je negatywnie, co opublikował. W maju tego roku powierzono rozwiązanie problemu polskiego okna na świat Ministerstwu Spraw Wojskowych. Wendę mianowano w nim naczelnikiem wydziału budowy portów w Departamencie Spraw Morskich. W tymże miesiącu przeprowadził on studia terenowe całego polskiego wybrzeża i osobiście dokonał wyboru miejsca pod przyszły port w rybackiej wsi Gdyni, w dolinie rzeczki Chylonki pomiędzy Kępą Oksywską a Kamienną Górą. Gdynia liczyła wówczas około 1,3 tys. mieszkańców w 132 domach. W dokumentach historycznych wymieniono ją po raz pierwszy w 1224 r. jako własność zakonu cystersów. Wenda opisał powyższą operację i wypływające z niej wnioski w sprawozdaniu „W sprawie wyboru miejsca pod budowę portu morskiego", opublikowanym ok. 1921 r.

20 października 1920 r. oddelegowano go do dyspozycji przedstawiciela do spraw morskich przy Generalnym Komisarzu Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście Gdańsku. Z taką afiliacją rozpoczął w końcu tego roku budowę portu w Gdyni, opracowując szczegółowy projekt techniczny i kierując zaczątkami robót, prowadzonymi sposobem gospodarczym i najprostszymi środkami. Pierwsze powstało drewniane molo długości 550 m na skrzyniach wypełnionych kamieniami, z odgałęzieniem ku północy długości 170 m chroniącym je od fal i przystanią o 150 m nabrzeża. Falochrony stawiano na palach. Przedsięwzięcie stało się budżetowe po 23 września 1922 r., kiedy Sejm powziął uchwałę o budowie portu morskiego w Gdyni. Wtedy zaczęto sadowić betonowe budowle portowe na zatapianych obciążanych skrzyniach żelbetowych z dnem typu Kopenhaga. Tymi obiektami wypełniał się stopniowo port stanowiący jednolitą koncepcyjnie przemyślaną

eprasa.pl 0e9cecca1b

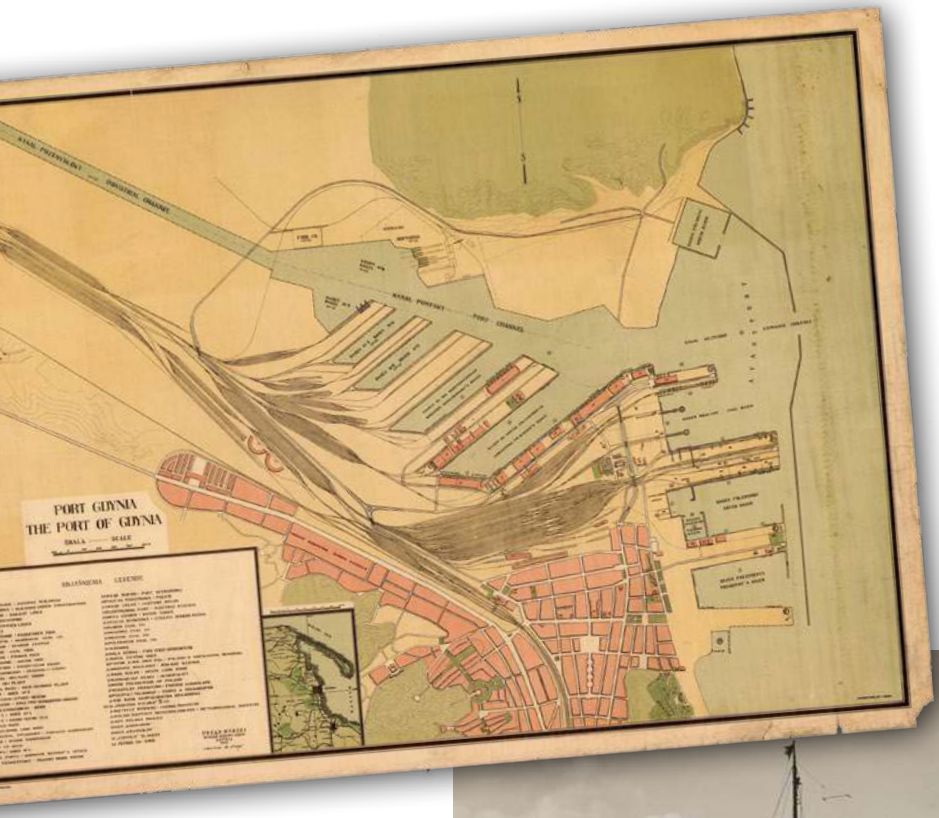

całość, spełniającą warunki samooczyszczania się z lodów. 13 sierpnia 1923 zawinął do niego pierwszy statek pełnomorski (francuski „Kentucky").

W 1924 r. rząd powierzył budowę utworzonemu w tym celu francusko-polskiemu konsorcjum z udziałem specjalistycznych firm – duńskiej i belgijskiej. Ale prawdziwe przyspieszenie prac nastąpiło w 1926 r. Po przewrocie majowym powstał wówczas rząd, w którym ministrem przemysłu i handlu został Eugeniusz Kwiatkowski. Traktował on Gdynię jako inwestycję priorytetową. Zwłaszcza że wskutek wielkiego strajku górników brytyjskich wzrosło zapotrzebowanie na polski węgiel za granicą. Żeby temu wyzwaniu sprostać, w latach 1927–1933 wybudowano magistralę kolejową Herby–Gdynia długości 551 km (w tym 457 km całkowicie nowych torów), którą też wypada zaliczyć do udanych dzieł II Rzeczypospolitej.

Wenda nadal kierował budową portu. Od 1932 r. był też naczelnikiem wydziału techniczno-budowlanego Urzędu Morskiego w Gdyni. Zbudowano nowoczesne mola, falochrony i baseny. Fundamentowanie przeprowadzały specjalistyczne firmy duńskie. Poziom nabrzeży i terenów portowych ustalono na wysokości 2,5 m powyżej lustra morskiej wody. Głębokość kanału wejściowego i basenu przy Nabrzeżu Francuskim wyniosła 12 m, a większości pozostałych 10 m. Zbudowano nowoczesne zaplecze portu, w tym łuszczarnię ryżu w jasne i bure poziome pasy, eksponowaną na wielu pocztówkach. Wzrastały możliwości przeładunkowe portu i liczba zawijających do niego statków, która w 1937 r. wyniosła 5759. Powstał port nowoczesny o powierzchni 1,4 tys. ha i łącznej długości nabrzeży wynoszącej 12,8 km. Obsługiwało go 87 mechanicznych urządzeń przeładunkowych o łącznej nośności 300 ton. Zaplecze zaś stanowiło 57 magazynów o łącznej powierzchni składowania wynoszącej 60 tys. mkw. W 1938 r. przeładowano w nim 8,7 mln ton towarów, co stanowiło blisko połowę obrotów naszego handlu zagranicznego.

Obok portu wyrosło wielkie nowoczesne miasto. W 1939 r. liczba mieszkańców Gdyni osiągnęła 120 tys., co dawało jej miejsce w pierwszej dziesiątce miast Polski. Liczbą ludności ustępowała wyraźnie tylko Warszawie, Łodzi, Lwowowi, Krakowowi i Poznaniowi. Miała też 8,5 tys. budynków.

Wenda kierował budową portu do 1937 r., kiedy przeszedł na emeryturę. „Dzieje budowy portu gdyńskiego" zamieścił w publikacji zbiorowej „XV lat polskiej pracy na morzu" (Gdynia 1935). Referat „Rzut oka na warunki powstania portu w Gdyni" wygłosił na Kongresie Inżynierów Portowych Krajów Bałtyckich i Skandynawskich, jaki odbył się w Gdyni w maju 1938 r. Jego tekst opublikowano po polsku i po francusku.

Odznaczony został Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, francuską Legią Honorową V klasy i duńskim Orderem Danebroga.

Zmarł w Komorowie pod Warszawą 8 września 1948 r. i został pochowany na cmentarzu Powązkowskim (kw. 139).

Fot. NAC, Biblioteka Narodowa x2

eprasa.pl 0e9cecca1b

Eugeniusz Kwiatkowski w 1937 r. zainicjował utworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego

Strateg

Eugeniusz Kwiatkowski (1888–1974)

Sprawy Gdyni i problemu z jej ojcostwem nie sposób w pełni zrozumieć bez zapoznania się z życiem i działalnością Eugeniusza Kwiatkowskiego. A przy okazji poczynić liczne spostrzeżenia pozwalające stwierdzić, czym w istocie różniła się II Rzeczpospolita od PRL

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Eugeniusz Felicjan Kwiatkowski urodził się 30 grudnia 1888 r. w Krakowie. Był synem Jana, prawnika, urzędnika kolei galicyjskich, oraz Wincentyny Maszczyńskiej. Kształcił się od 1898 r. w Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie, a od 1903 r. w prywatnym gimnazjum jezuickim w Bąkowicach koło Chyrowa, które ukończył z odznaczeniem. W latach 1907–1910 studiował na wydziale chemii technicznej Szkoły Politechnicznej we Lwowie (tam związał się z ruchem niepodległościowym), a następnie w Königliche Bayerische Technische Hochschule w Monachium, specjalizując się w dziedzinie barwników syntetycznych. Była to wiodąca wówczas gałąź wiedzy chemicznej, która umożliwiła Niemcom wyprzedzić przemysły barwierskie Francji i Wielkiej Brytanii oparte na naturalnych surowcach uprawianych w koloniach. W rezultacie Brytyjczycy pod koniec I wojny światowej mieli problemy z barwieniem swych mundurów.

Kwiatkowski uzyskał dyplom w 1912 r. Po odbyciu praktyki w Monachium pracował w gazowniach miejskich we Lwowie i w Lublinie. W 1916 r. zaciągnął się do Legionów, następnie służył w Wojsku Polskim (w listopadzie 1918 r. uczestniczył w rozbrajaniu wojsk niemieckich). Od marca 1919 r. pracował w Ministerstwie Robót Publicznych. W 1920 r. związał się ze spółką akcyjną Polskie Towarzystwo Gazownicze, zajmującą się suchą destylacją drewna. Podczas wojny polsko-bolszewickiej kierował sekcją chemiczną Głównego Urzędu Zaopatrzenia Armii, egzekwując dostawy z fabryk chemicznych na Pomorzu.

W tym czasie zaczął publikować artykuły omawiające potrzeby i wskazane kierunki rozwoju przemysłu chemicznego w Polsce, akcentując zwłaszcza znaczenie przetwórstwa gazu ziemnego oraz przemysłu azotowego. Od 1922 r. wykładał chemię węgla i gazownictwo na Politechnice Warszawskiej.

W kwietniu 1923 r. z rekomendacji prof. Ignacego Mościckiego objął stanowisko dyrektora Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie. Zwiększył produkcję nawozów azotowych, uruchomił nowe działy i technologie, m.in. wytwarzanie skoncentrowanej wody amoniakalnej, skroplonego amoniaku, kwasu azotowego, azotanu amonu, salmiaku oraz syntetycznej saletry sodowej. Skutecznie też propagował te, nowe na polskim rynku wyroby.

W tym okresie interesował się już żywo problematyką morską, mającą wówczas – wobec nieprzyjaznych stosunków z Niemcami – ważne znaczenie gospodarcze.

Po przewrocie majowym Kwiatkowski został z nadania prezydenta Mościckiego w czerwcu 1926 r. ministrem przemysłu i handlu w gabinecie Kazimierza Bartla. Dbając na tym stanowisku o sprawy Górnego Śląska, zajął się intensywnie wspieraniem budowy portu w Gdyni, co trwale zapamiętano jako jedną z głównych jego zasług. Mimo że wielokrotnie publicznie oświadczał, iż prawdziwym twórcą Gdyni jest Tadeusz Wenda. Rozwijanie polskiego handlu morskiego stało się jednym z jego priorytetowych celów. W listopadzie 1926 r. utworzył Przedsiębiorstwo Państwowe „Żegluga Polska". Wygłaszał na ten temat odczyty (m.in. 9 grudnia 1928 r. na Uniwersytecie Poznańskim), na jego zlecenia powstawały propagujące problematykę morską filmy: „Praca Polski na morzu" (1928), „Nasza praca na morzu" (1930).

Fot. NAC

eprasa.pl 0e9cecca1b

Kwiatkowski próbował walczyć z wielkim kryzysem. Zwiększał zamówienia dla krajowego przemysłu zbrojeniowego, próbował przyciągnąć do Polski kapitał zagraniczny, dbał o zrównoważenie budżetu. Jednym z jego sukcesów była Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu (1929). Mimo jego wysiłków negatywnego wpływu kryzysu nie dało się jednak zniwelować. A ponieważ niechętny mu był marszałek Piłsudski, mimo poparcia prezydenta Mościckiego w grudniu 1930 r. utracił stanowisko oskarżany o „radosną twórczość gospodarczą".

Od lutego 1931 r. był naczelnym dyrektorem zbudowanej w 1928 r. wielkiej nowoczesnej Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Mościcach koło Tarnowa, a od 1933 r. Zjednoczonych Fabryk Związków Azotowych w Chorzowie i w Mościcach. Na tym stanowisku odnosił sukcesy w propagowaniu nawozów sztucznych. Przygotował też do produkcji oryginalną polską metodę wytwarzania sody i salmiaku wynalezioną przez Tadeusza Hoblera.

Od 1932 r. był członkiem Rady Banku Polskiego. Uczestniczył w dyskusji na temat ukierunkowania polskiej gospodarki, publikując m.in. „Bałtycką orientację gospodarczą i polityczną współczesnej Polski" (1933), „Politykę morską Polski" (1935). Najważniejszy i do dziś pamiętany był jego esej „Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej" (1931). Kwiatkowski opowiadał się w nim za reformą rolną i polityką ewolucyjnego postępu społeczno-gospodarczego. Publikacja ta wywołała szeroki odzew. W 1934 r. powołano go na członka Akademii Nauk Technicznych w Warszawie, w 1936 r. na członka honorowego Polskiego Towarzystwa Chemicznego, a w 1937 r. na członka zwyczajnego Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i prezesa Rady Naukowej Chemicznego Instytutu Badawczego w Warszawie.

Śmierć marszałka Piłsudskiego oraz niepowodzenia deflacyjnej polityki gospodarczej „rządów pułkowników" umożliwiły prezydentowi Mościckiemu powołanie w październiku 1935 r. Kwiatkowskiego na stanowisko wicepremiera do spraw gospodarczych i ministra skarbu w gabinecie Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego. W konsekwencji Kwiatkowski praktycznie kierował aż do września 1939 r. życiem gospodarczym kraju. Obejmując stanowisko, przyznał, że nieco przeinwestował w okresie koniunktury lat 1926–1929. Przedstawił też zarys programu obejmujący m.in. konieczność zahamowania spadku konsumpcji, obronę polskiego stanu posiadania przed ekspansją kapitału zagranicznego, reformę podatkową i oddłużenie rolnictwa.

W 1937 r. zainicjował utworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego. W tzw. trójkącie bezpieczeństwa, czyli na oddalonym od niebezpiecznych granic obszarze w widłach Wisły, Sanu i Dunajca, postanowiono zbudować około 400 ultranowoczesnych zakładów przemysłowych, stanowiących w razie wojny zaplecze frontu. Miały one zwiększyć potencjał obronny Polski, wykorzystać bogactwa naturalne (m.in. gaz ziemny i energię wodną) i dać zatrudnienie miejscowej ludności. Przed wybuchem wojny zdołano uruchomić ich około stu. W tym m.in. produkcję dział, obrabiarek i stali szlachetnej w Stalowej Woli, produkcję polskiego kauczuku syntetycznego KER w Dębicy. COP miał uratować II Rzeczpospolitą, której brakowało potencjału przemysłowego.

> Po przewrocie majowym Eugeniusz Kwiatkowski został z nadania prezydenta Mościckiego w czerwcu 1926 r. ministrem przemysłu i handlu. Niechętny mu był jednak marszałek Piłsudski i w grudniu 1930 r. utracił stanowisko oskarżany o „radosną twórczość gospodarczą"

W 1938 r. Kwiatkowski przedłożył Sejmowi perspektywiczny 15-letni plan inwestycyjny, przewidujący rozbudowę potencjału obronnego do 1942 r., komunikacji do 1945 r., poprawę położenia wsi do 1948 r., urbanizację i uprzemysłowienie kraju do 1951 r., zatarcie różnic pomiędzy Polską A i Polską B do 1954 r.

Okres II wojny światowej Kwiatkowski spędził internowany w Rumunii, pracując nad „Zarysem dziejów gospodarczych świata", którego I tom ukazał się w Warszawie w 1947 r. (II tom zaś nie uzyskał w PRL zgody cenzury).

Wrócił do kraju w lipcu 1945 r. na zaproszenie nowych władz, pragnąc dopomóc w odbudowie. Jako Delegat Rządu do spraw Wybrzeża walnie się przyczynił do przywrócenia zdolności operacyjnych portom w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie. Autorytet Kwiatkowskiego przyciągnął do pracy na Wybrzeżu wielu specjalistów, także z emigracji.

Był pełen zapału. Opublikował w 1945 r. „Budujemy nową Polskę nad Bałtykiem" i „O przyszłości Polski nad morzem". Na posiedzeniu Komisji Morskiej Krajowej Rady Narodowej w Gdańsku postulował opracowanie kompleksowego programu rozbudowy systemu wodnego, regulację Wisły, budowę kanału żeglownego łączącego Odrę z Dunajem, budowę portu morskiego do przeładunku ropy naftowej wraz z rafinerią. Wykładał w Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Sopocie i w Szkole Nauk Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1947–1952 był posłem na Sejm.

Kwiatkowski lansował gospodarowanie Wybrzeżem przez tworzenie związków miast. Nie było to zgodne z celami władz, które 31 stycznia 1948 r. zlikwidowały Delegaturę, pozbawiły Kwiatkowskiego majątku Owczary koło Olkusza (wcześniej nieobjętego reformą rolną) i zakazały mu wykładania na uczelniach. Dopiero w 1956 r. przyznano mu emeryturę dla zasłużonych.

Mieszkał z rodziną w Krakowie, pisząc książki o przemyśle chemicznym i jego historii. Interesował się literaturą piękną (zwłaszcza twórczością Anatole'a France'a) i operą. Przypomniano sobie o nim w epoce Gierka, na krótko przed śmiercią. W lipcu 1974 r. Uniwersytet Gdański nadał mu doktorat honoris causa nauk ekonomicznych.

Kwiatkowski zmarł 22 sierpnia 1974 r. Uroczystości pogrzebowe na cmentarzu Rakowickim celebrował ówczesny kardynał Karol Wojtyła, który powiedział o zmarłym, że był wielki w swojej skromności i skromny w swojej wielkości.

Dodatek powstał we współpracy z IPN | 13/0421/F

eprasa.pl 0e9cecca1b

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Kolejny odcinek ukaże się 10 maja

w tygodniku SIECI

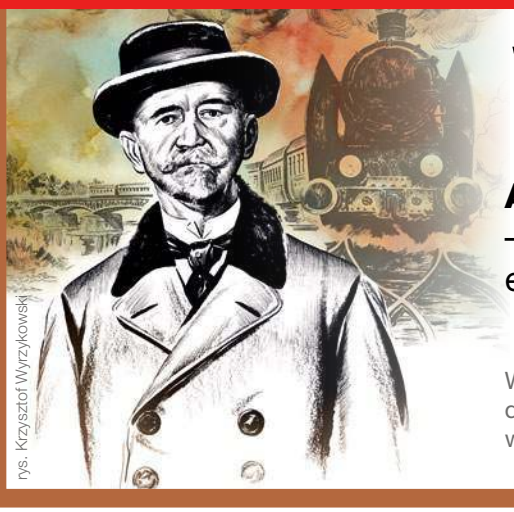

rys. Krzysztof Wyrzykowski

ALEKSANDER WASIUTYŃSKI
– światowej sławy naukowiec,
ekspert w dziedzinie kolejnictwa

Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: IPNtv

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN

2. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY
O TOTALITARYZMACH
ECHA KATYNIA

www.TOTALITARYZMY.pl
15 —— 18 kwietnia 2021

20 NIEZWYKŁYCH FILMÓW O LUDZIACH, PAMIĘCI, TOTALITARYZMIE

OGLĄDAJ ON-LINE ZA DARMO

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl 0e9

Wychodzenie z czerni

Portret Cruelli De Mon A.D. 2021 nie jest już tak jednoznaczny. Czarna Wdowa, gdy wreszcie zagrała solo, rozlicza się z przeszłością. Zdefiniowane na nowo bohaterki dobijają się do kin. Czym zaskoczą widownię Emma Stone i Scarlett Johansson, przekonamy się już wkrótce

Fot. Laurie Sparham/materiały prasowe

eprasa.pl 0e9cecca1b

Scarlett Johansson jako tytułowa Czarna Wdowa

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Już nadchodzą. Nie chcą dłużej czekać. Mówią dość. Także pandemii. Po wielomiesięcznym poślizgu ustalono ostateczną datę premiery „Czarnej Wdowy" – zwiastun towarzyszący tej informacji miał na dzień dobry 70 mln odsłon.

Scarlett Johansson – teraz jako pierwszoplanowa postać Marvelowskiej serii o Avengersach – trafi do widzów w lipcu. Wyprzedzi Bonda, który powie w kinach „Nie czas umierać" dopiero 30 września 2021 r.

Jednak najwcześniej, bo już pod koniec maja, przedstawi się na ekranach „Cruella", diametralnie zmieniająca nie tylko wizerunek grającej ją Emmy Stone.

Zarówno „Czarna Wdowa" Marvela, jak i „Cruella" Disneya będą dostępne równolegle na wielkich ekranach oraz platformach streamingowych. Właściciele amerykańskich kin protestują, ale producenci i dystrybutorzy nie chcą kolejnych pandemicznych przesunięć premier, które miały się odbyć w ubiegłym roku. Na swoje wejście czekają przecież następne produkcje.

W ten oto sposób w niewielkim odstępie dotrą do widzów bohaterki zarazem bardzo różne i podobne do siebie. Na nowo określające znane wcześniej postaci i ich role. Nie tylko w filmowym świecie.

TO ZŁA KOBIETA BYŁA

Opinia „bo to zła kobieta była" – wyrażona w zupełnie innych realiach i okolicznościach – do pewnego momentu świetnie sprawdzała się w hollywoodzkiej fabryce snów. Jej jednoznaczność i kategoryczność znakomicie wpisywała się też w – czerpiące wzory z klasycznych baśni – opowieści Disneya. Wyłącznie złe były w nich (niszczące życie młodziutkich bohaterek) czarownice, żądne władzy królowe i macochy.

Dziś w pamiętnej kwestii Franza Maurera najważniejsze wydaje się słowo „była". Dawnym mrocznym bohaterkom współcześni scenarzyści coraz chętniej dodają rozpisane na lata tło, uzasadniające zmiany, jakie w nich zaszły.

Maleficent, znana z naszych ekranów jako Diabolina, nie tylko za sprawą Angeliny Jolie zmieniła postrzeganie jednej z najciemniejszych baśniowych postaci. Okrutna wróżka, która na sto lat uśpiła śliczną królewnę, dostała własną dramatyczną historię i motywacje, które rzuciły światło na jej wybory.

Podobnym tropem, a może nawet – sądząc po zwiastunie – jeszcze dalej, podążyli twórcy „Cruelli". Wysoko typowana w rankingach kinomanów pani De Mon, uznana za „najczarniejszy charakter Disneya", stała się tu pierwszoplanową postacią. Napisaną na nowo i w znacznie szerszej perspektywie niż klasyczna animacja o „101 dalmatyńczykach", która w 1961 r. rozkochała miliony widzów w masie nakrapianych psiaków. Cruelli – owianej zielonym dymem i snującej makabryczne wizje o futrze w czarne łatki – pozostawiła rolę „odgromnika". Bohaterka pojawiała się w burzowym entourage'u, zasilana też zbieranymi od widzów lękami i uwalnianymi podczas seansu negatywnymi emocjami.

DOPIERO SIĘ ROZKRĘCAM

Znienawidzona, z powodu tak wyrazistego wizerunku, była jednocześnie postacią wymarzoną do zagrania. I w aktorskiej odsłonie „101 dalmatyńczyków" z 1996 r. brawurowo wcieliła się w nią Glenn Close. Teraz zmierzy się z nią Emma Stone.

– Nadchodzi kobieta. Dżunglo, drżyj. Dopiero się rozkręcam – deklaruje z ekranu bohaterka, by za chwilę dodać: – Tak się składa, że jestem genialna, do szpiku zła i troszkę obłąkana.

Sądząc po zwiastunie, aktorce spodobała się dynamika ról tworzonych przez Helenę Bonham Carter (demonicznych i przerysowanych: Bellatrix Lestrange z sagi o Harrym Potterze czy Czerwonej Królowej z filmu Tima Burtona). W tym kontekście ciekawie zapowiada się zderzenie jej najnowszej kreacji z dotychczasowym wizerunkiem.

Wspominając aktorskie początki, Emma Stone podkreśla, że nigdy nie pasowała do typu miłej dziewczyny z filmów Disneya. Jednak to właśnie sympatyczne (a przynajmniej sprawiające takie wrażenie) bohaterki spowodowały, że jej kariera tak się rozwinęła.

Jako miła dziewczyna rodem z musicalowej klasyki zdobyła w 2017 r. Oscara za główną rolę w obrazie „La La Land". Nominacje do najważniejszej kinowej nagrody przyniósł jej drugi plan w filmach: „Birdman" z 2014 r. i „Faworyta"

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 0e9cecca1b

z 2018 r. W „Magii w blasku księżyca" Woody'ego Allena (2014) idealnie wpasowała się w kostium z lat 20. ubiegłego wieku. Była też przyjaciółką Spider-Mana (2012, 2014).

Nim przyjęła rolę Cruelli, kamera chętnie spoglądała w jej wielkie, często niewinnie patrzące oczy. Ciekawe, co dopowiedzą w najnowszej historii.

KONIEC I POCZĄTEK GRY

Dla 32-letniej Stone rola w Disnejowskiej produkcji stała się szansą na pożegnanie dziewczęcych bohaterek. 36-letnia Scarlett Johansson jako Czarna Wdowa również od takiego wizerunku odeszła.

W wyrosłą z komiksu postać (alter ego Nataszy Romanoff) aktorka wcieliła się po raz pierwszy w 2010 r. Miała już wtedy na koncie role w filmach: „Między słowami" (2003), „Dziewczyna z perłą" (2003), „Lokatorka" (2004) i „Wszystko gra" (2005), za które w trzech edycjach dostawała nominacje do Złotego Globu. Na kolejną nominację do tej statuetki musiała poczekać 14 lat (role w filmach „Historia małżeńska" i „Jojo Rabbit" dały jej też w 2020 r. pierwsze nominacje do Oscara).

Czas pomiędzy tymi nagrodami wypełniło aktorce w dużej części uniwersum Marvela. Nie licząc nadchodzącej premiery, w postać Czarnej Wdowy wcieliła się w następujących produkcjach: „Iron Man 2" (2010), „Avengers" (2012), „Kapitan Ameryka: Zimowy żołnierz" (2014), „Avengers: Czas Ultrona" (2015), „Kapitan Ameryka: Wojna bohaterów" (2016), „Avengers: Wojna bez granic" (2018) i „Avengers: Koniec gry"(2019). Jako tytułowa Czarna Wdowa będzie się musiała rozliczyć z niełatwą przeszłością. I dostanie na to cały seans.

Czekała na tę możliwość osiem lat (wtedy rozpoczęła pierwsze rozmowy z producentami). Nim jednak weszła ze swoją bohaterką do pierwszego planu, Marvel zrealizował 12 produkcji, obsadzając w głównych rolach kolejnych męskich superbohaterów. Potem przyszedł 2019 r. i do kin trafił film „Kapitan Marvel" – pierwsza produkcja Marvela z główną postacią kobiety. Następna miała być „Czarna Wdowa".

Czekając – najpierw na główną rolę, potem na przesuwaną przez pandemię premierę – Scarlett Johansson działała. Zainspirowana sceną z „Avengers: Koniec gry", gdy Spider-Mana chroni zastęp niezwykłych wojowniczek, namawiała studio na odrębną opowieść o superbohaterkach.

– Ta grupa aktorek jest niesamowicie potężna. Kiedy łączą siły, są nie do zatrzymania. Myślę, że widownia tego oczekuje, a ja na pewno jestem w tym gronie – mówiła w jednym z wywiadów. Może się niedługo przekonamy, czy nie skończyło się tylko na planach.

Adam Ciesielski

Jazzowy zew znad Brdy

Bydgoski Eljazz Big-Band z amerykańskimi wokalistami nagrał jazzowe ujęcia znanych polskich piosenek po angielsku. Wydał ponadto album z orkiestrowymi aranżacjami legendarnych tematów Krzysztofa Komedy

Za tymi i wieloma innymi inicjatywami stoi Józef Eliasz – perkusista, dyrygent, producent. Pod skrzydłami Stowarzyszenia Artystycznego Eljazz od ponad 20 lat działa w Bydgoszczy jego klub muzyczny z big-bandem, studiem nagraniowym i agencją koncertową, organizującą latem międzynarodowe festiwale jazzowe.

25-osobowy Eljazz Big-Band występuje w całym kraju, dziś, gdy ta aktywność jest zahamowana, warto sięgnąć po jego płyty. „Polish Songs" to pierwsza chyba tak szeroka prezentacja naszych piosenek po angielsku. Osiem przebojów (w tym m.in. „Okularnicy" Abramowa i Osieckiej, „Tomaszów" Koniecznego i Tuwima, „Kocham cię, kochanie moje" Jackowskiego i Kory) z sercem interpretuje amerykańska wokalistka jazzowa Karen Edwards. Mniejsze wrażenie robią nieśmiałe wykonania Stanleya Breckenridge'a, któremu akurat przypadły dynamiczne przeboje Skaldów i Perfectu.

„After the Catastrophe" to jeszcze lepsza płyta orkiestry. Każdy z dziesięciu słynnych tematów Komedy zyskał świeżą aranżację, niektóre są znakomite. Do takich należy „Kattorna" w opracowaniu Aleksandry Tomaszewskiej czy „Astigmatic" w aranżu Nicoli Kołodziejczyka, z gitarowym popisem Mike'a Sterna. Amerykańskiego mistrza słyszymy także w „Rosemary's Baby", ale w skali całej płyty błyszczy aż pięć solówek Henryka Miśkiewicza.

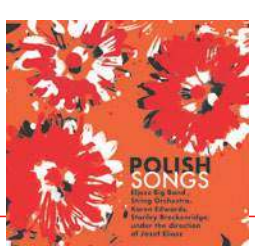

„Polish Songs"
Eljazz Big-Band, String Orchestra pod dyr. Józefa Eliasza; wokaliści: Karen Edwards i Stanley Breckenridge, Wyd. Eljazz

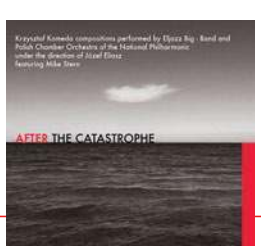

„After the Catastrophe"
Utwory Krzysztofa Komedy w wykonaniu Eljazz Big-Band i Orkiestry Kameralnej Filharmonii Narodowej
Pod dyr. Józefa Eliasza; Wyd. Eljazz

eprasa.pl 0e9cecca1b

Wspominając Krzysztofa Krawczyka (1946–2021)

Marian Lichtman

kompozytor, perkusista i wokalista, współzałożyciel zespołu Trubadurzy

W latach 60. w Łodzi działał Młodzieżowy Klub Kultury. Było to jedyne miejsce, w którym organizowano konkursy muzyczne. Ponieważ za komuny było nieciekawie, a w telewizorze tylko jeden kanał, klub ściągał młodzież praktycznie z całego miasta. Ja wtedy byłem lokalną gwiazdą, chodziłem w skórzanych spodniach, które mi przysłała rodzina z zagranicy, i byłem łódzkim Presleyem. Pewnego dnia na „Spotkania z piosenką" przyszedł taki szczuplutki nieśmiały człowieczek, który chciał zaśpiewać. To był Krzysio Krawczyk. Powiedział, że chodzi do szkoły muzycznej na pianino, ale chce spróbować sił w wokalu. Mimo że klub był oazą łódzkiego rock'n'rolla, Krawczyk ku zdumieniu zebranych miał w repertuarze piosenkę aktorską. Ręcznikiem, który przyniósł, owinął głowę i z bolesnym wyrazem twarzy zaintonował: „Ząb, boli mnie zająąb, ząb, boli mnie zająąb...". Wtedy pokochałem Krzysia. To był rok 1963.

Ja wtedy śpiewałem swingowo, z kolei Krzysztof miał biały głosik. Zapytany przez niego, jak to robię, powiedziałem o śpiewaniu na przeponę. Po 14 dniach Krawiec zaczął śpiewać tym swoim pięknym barytonem. W ciągu dwóch tygodni nadrobił całą muzyczną szkołę, a ja się po prostu załamałem. Nie mogłem się nadziwić, że można być tak zdolnym.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się o nowym rewolucyjnym zespole, który odsyła Elvisa Presleya i Billa Haleya do lamusa. Kiedy usłyszeliśmy pierwszy raz Beatlesów, byliśmy w głębokim szoku. Decyzja o stworzeniu kapeli w klimacie liverpoolskiej czwórki była natychmiastowa. Razem ze Sławkiem Kowalewskim i Krawczykiem zaczęliśmy ustalać, kto i na czym ma grać. Ku mojemu zdumieniu koledzy postanowili mnie posadzić z tyłu na perkusji. Nie chciałem się na to zgodzić, bo jako zapiewajło w Łodzi miałem już renomę, byłem laureatem legendarnego konkursu młodych talentów w Szczecinie (zresztą Czesław Niemen też nim został) i nawet pojawiłem się w kronice filmowej (patrz YouTube.com), a o waleniu w bębny nic nie wiedziałem. Nie zważając na moje protesty, udali się potajemnie do mojego taty i poprosili go, żeby mi kupił zestaw perkusyjny. Była to nie lada sztuka, bo ojciec widział mnie w przyszłości jako adwokata, inżyniera lub jubilera, ale chyba nie rokowałem najlepiej, bo wyłożył pieniądze. W każdym razie pierwszy skromny zestaw perkusyjny został zakupiony i moi przyjaciele zaprezentowali mi go jako niespodziankę w jednej z sal przy Piotrkowskiej. Krzysio wtedy powiedział: „Marian, wiesz, że w Beatlesach Ringo Starr też śpiewa...".

Gdy zdarzało nam się pokłócić, np. o jakiś akord, Krawiec zawsze chciał, żebym to ja pierwszy przeprosił. Mimo że czasami wina była po jego stronie, uparcie czekał na telefon ode

Fot. VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 0e9cecca1b

mnie, ponieważ byłem od niego o rok młodszy. Ten argument zawsze mnie rozbrajał. Z kolei gdy miał spięcie z moją żoną, zwracał się do niej per Pani Boryś, używając jej panieńskiego nazwiska. To był cały Krzysztof, wiedział, jak dokuczyć. Ale nasze kłótnie nie trwały dłużej niż 15 minut.

1978 rok. Krzysztof przyjechał z żoną Haliną do Danii w odwiedziny. Zajmowałem wtedy wielką willę, którą na dwa miesiące w ramach pomocy imigrantom wypożyczył mi duński rząd. Na początku nie wspomniałem o tym szczególe Krawczykowi, bo chciałem, żeby stanęła mu gula, że tak mi się powodzi za granicą. Dom z ogrodem znajdował się w najbogatszej dzielnicy Kopenhagi, tuż przy plaży. Gdy Krzyś go zobaczył, opadła mu szczęka. Pierwszy wieczór był mocno zakrapiany i po dwóch, trzech godzinach Krawiec gdzieś zniknął. Poważnie się zaniepokoiliśmy, bo nasz gość był na mocnym rauszu, a do wody były dwa kroki. Chodziliśmy po plaży w ciemnościach, wołaliśmy, krzyczeliśmy, Halina była roztrzęsiona. Ze zdenerwowania mieliśmy stan przedzawałowy, cały alkohol i dobry nastrój z nas wyparowały. Gdy po godzinie załamani wróciliśmy do willi, gotowi dzwonić po policję, zauważyłem Krawczyka. Siedział na najwyższym drzewie w ogrodzie z bananem na twarzy. Jak ta małpa tam weszła, do tej pory nie mam pojęcia. W dosadnych słowach powiedziałem, co o nim myślę. Zapytany, co mu strzeliło do głowy, rozbrajająco odpowiedział, że poczuł się... australijską koalą.

Jan Pietrzak

satyryk, twórca kabaretu Pod Egidą

W połowie lat 60. w telewizji prowadziłem popularny program muzyczny „Giełda piosenki". To tutaj debiutowali Trubadurzy: Krawczyk, Rysiek Poznakowski, Lichtman i Sławek Kowalewski. Kiedy z utworem „Znamy się tylko z widzenia" weszli na pierwsze miejsce, to tygodniami nie mogli z niego zejść. Byli czymś całkowicie nowym i oryginalnym, brzmieniowo i stylistycznie. Notabene kostiumy muszkieterów zaprojektował im... Szymon Kobyliński. Ich melodyjne śpiewane efektownie piosenki w nurcie bigbitu bardzo się podobały. Wtedy nie było głosowania przez nieistniejący jeszcze internet, tylko tradycyjną drogą pocztową. Do Telewizji Polskiej przychodziło morze pocztówek z głosami na Trubadurów, ze szczególnym uwzględnieniem Krawczyka. Wyrazy uznania i miłości pod jego adresem nie należały do rzadkości. Można śmiało powiedzieć, że uczestniczyłem w promocji Trubadurów w pierwszych latach ich istnienia.

Maria Szabłowska

dziennikarka radiowa i telewizyjna specjalizująca się w tematyce muzycznej

Nasza wieloletnia znajomość zaczęła się od pretensji. Krzysiek uważał, że go nie doceniam, nie szanuję i nie gram. Było wręcz przeciwnie, ale być może nie puszczałam jego piosenek tak często, jak on by sobie tego życzył. W każdym razie na naszym pierwszym spotkaniu z żalem, a jednocześnie dosyć zaczepnie wygarnął mi swoje pretensje. Byłam zaskoczona tą falą krytyki, ponieważ nie miałam żadnych przeciwwskazań do Krawczyka, piosenkarza z pokaźną liczbą hitów na koncie. Tak naprawdę to śledziłam jego karierę od samego początku, gdy zaczynał w Trubadurach. Wtedy jako młoda redaktorka pracowałam w Młodzieżowym Studiu Rytm w 1 Programie Polskiego Radia, gdzie oni nagrywali swoje pierwsze przeboje. Szefem studia był Andrzej Korzyński, wybitny kompozytor muzyki filmowej, i to, że zakwalifikował ich do nagrania m.in. takich piosenek jak „Znamy się tylko z widzenia" czy „Kasia", wykluczało jakiekolwiek zastrzeżenia z mojej strony. Poza tym lubiłam jego niepowtarzalny głos. No i zaczęłam to wszystko tłumaczyć, ale Krzyś konsekwentnie kręcił głową i powtarzał: „Nie wierzę pani...".

Czułam się bezradna, bo żadne fakty nie były w stanie przekonać muzyka, którego szczerze lubiłam. Na koniec rzuciłam, że nie mam już żadnych argumentów, poza jednym – moim największym idolem i artystą, dzięki któremu zajęłam się tym radiem, jest Elvis Presley.

Kiedy Krawczyk to usłyszał, szczęka mu opadła. Odmieniony na twarzy krzyknął:

„Naprawdę? Moim też!!!".

W ten sposób jakoś zadzierzgnęliśmy więzi przyjaźni i potem żadnych pretensji do mnie nie miał.

Krzysztof Logan Tomaszewski

autor tekstów piosenek, pisarz

To były brylantowe czasy polskiej piosenki. Nagrywali Mec, Skaldowie, L. Długosz, Niemen, Grechuta. Krztyny bełkotu, ani grama tandety! Pamiętam redakcję muzyczną Programu 1 na Woronicza w bloku D. Przychodziłem tam co parę miesięcy z moimi nowymi piosenkami. Na miejscu spotykałem kolegów z konkurencji, którzy patrzyli na mnie krzywym okiem.

Drażniło ich, że jestem uparty i potrafię się przebić. Ponieważ pisałem dużo i szybko, zaczęto mnie nazywać Slogan. Krzysztof Krawczyk był nielicho obstawiony przez wybitnych kompozytorów i autorów. Jednym z nich był Wojtek Trzciński, autor „Kawiarenek", który pisał dla wszystkich naszych największych gwiazd. To, że udało mi się z Adasiem Skorupką namówić Krawczyka na nagranie „Kochaj naprawdę", było małym cudem. Gdy dodatkowo kompozytor Ryszard Szeremeta i ja nagraliśmy cztery piosenki dla Ireny Santor, m.in. „Już nie ma dzikich plaż", które stały się przebojami, w oczach innych autorów pojawił się szacunek.

„Kochaj naprawdę choć raz
Wtorek zmieni się w święto
Spróbuj drugiemu coś dać
To nie zdarza się często..."

Zebrał ***Michał Korsun***

eprasa.pl 0e9cecca1b

3 MIŁOŚCI

Czy Polska zostanie zlikwidowana

ROBERT TEKIELI

Cywilizacje giną z powodu demoralizacji. Konsekwencją demoralizacji jest depopulacja. Na naszych oczach umiera zdegenerowany moralnie Zachód i nie mniej zdeprawowana cywilizacja prawosławna, zwana też bizantyńską, kwitną za to cywilizacja chińska, islamska oraz hinduistyczna (bramińska).

Demoralizacja jest programem zachodniej rewolucji neomarksistowskiej. Dominujące w niej dziś ideologie – gender, queer, LGBT – są zbudowane na pragnieniach osób z zaburzoną seksualnością.

Instytucjonalizacja grzechu, znak naszych czasów, jest wynikiem odwrócenia biegunów dobra i zła: Nergal dobry, Jędraszewski zły; rodzina niszczy, poliamoria uwalnia; wierność jest nudna, cudzołóstwo to przygoda; aborcja jest prawem człowieka, obrońcy życia to kryminaliści; wierność prawdzie to fundamentalizm, istnienie płci jest przesądem; katolicyzm to faszyzm, tolerancja to nietolerancja poglądów konserwatywnych.

Po kompromitacji nazizmu i komunizmu kolejna generacja ideologii walczy z naturą. W Norwegii, w której państwo bardzo mocno zaangażowało się w programy równościowe, 90 proc. pielęgniarek to kobiety, a 90 proc. inżynierów to mężczyźni. Ponieważ teorie queer i gender w nikłym stopniu są zakorzenione w badaniach empirycznych, sekskomuniści stają się całkowicie bezradni, gdy są zmuszeni do walki na argumenty. Dlatego właśnie coraz częściej oglądamy w sieci filmiki, na których rewolucyjni bojówkarze przerywają naukowe wykłady krzykiem, tupaniem i drwiną, bo ideolodzy nie są w stanie intelektualnie sprostać obrońcom prawdy.

Nowy, bezwolny człowiek to marzenie plutokratów i szefów globalnych korporacji. Podstawiający systemowo zło w miejsce dobra rewolucjoniści nie rozumieją, że są jedynie narzędziem służącym do wywrócenie świata na nice. Narzędziem potrzebnym istniejącej dziś arystokracji pieniądza do utrwalenia swej władzy.

Sojusz ideologii i pieniądza zaowocował powstaniem najpierw kapitalistycznego marksizmu, a chwilę potem marksistowskiego kapitalizmu, który ostatnio odsłonił swój zamordystyczny profil, skutecznie cenzurując urzędującego prezydenta USA.

Do ulepienia nowego człowieka ma doprowadzić nie tylko coraz silniejsza presja kulturowego panseksualizmu czy powodowane działaniami seksedukatorów szkolnych rozmywanie tożsamości płciowej najmłodszych („wspieranie młodzieży transgenderowej" spowodowało w jednej z postępowych szkół w angielskim Brighton w ciągu pięciu lat zwiększenie liczby dzieci chcących zmienić płeć siedmiokrotnie). Innymi narzędziami negatywnego wpływania na zdolności poznawcze i wolicjonalne młodzieży jest legalizacja marihuany i haszyszu w kolejnych krajach Europy oraz stanach USA. Postulat legalizacji THC głoszony jest przez neomarksistów od początku lat 70. Rewolucyjny proces wspierany jest też przez nowe technologie aplikowane dzieciom, zanim nauczą się one bronić przed ich destrukcyjnym wpływem. Część gier komputerowych opiera swą atrakcyjność na odwzorowaniu w swej strukturze układu nagrody sterującego motywacją i kontrolą zachowania użytkownika. Codzienne wielogodzinne używanie smartfonów prowadzi do zachowań kompulsywnych i uzależnień. Aby to sprawdzić, proszę odebrać swojemu nastolatkowi komórkę na 12 godzin. Steve Jobs nigdy nie dał iPada swoim dzieciom do rąk. W poczuciu bezkarności wielokrotnie mówił o tym publicznie. W Dolinie Krzemowej są szkoły, w których 75 proc. dzieci pochodzi z rodzin „krzemowych" informatyków i menedżerów. Panuje w nich zasada: zero ekranów do 14. roku życia. Interakcje zamiast elektronicznego szumu. Istnienie plebsu jest warunkiem istnienia arystokracji. Morlokowie muszą mieć swoich Elojów.

Od dłuższego czasu dręczy mnie pytanie, jaki los czeka nasze państwo. Czy Polska zostanie zlikwidowana? W końcu rządy konserwatywnego obyczajowo PiS zakończą się, za miesiąc, za trzy lata czy choćby za siedem bądź jedenaście. A wprowadzanie w życie federalistycznych idei Altiero Spinellego zostało wyraźnie przyspieszone po brexicie.

Państwo narodowe jest jedyną siłą, która może powstrzymać rewolucję. Pytam więc naszych polityków, jakie pieniądze przeznaczyli na utrwalanie tożsamości narodowej w najmłodszym pokoleniu Polaków. Ile think tanków zostało stworzonych, ile powołano nowych szkół wyższych, w których znaleźliby schronienie naukowcy wyrzucani z lewicowych uniwersytetów i uczelni oraz ci zwyczajnie zastraszeni groźbą pozbawienia grantów. Czy chcecie przejść do historii jako ci, którzy doprowadzą przez zaniechanie do tego, że zainfekowana przez neomarksistowskie ideologie polskość rozpłynie się w mozaice regionów i landów? Wolność to odpowiedzialność.

eprasa.pl 0e9cecca1b

KULTURA

Warte No właśnie, kultura czy popkultura? Zastanawiałem się przez chwilę, w jakiej rubryce umieścić notkę o najnowszym dziele Darka „Brzóski" Brzóskiewicza ***„499 haiku"*** i doszedłem do wniosku, że jest ono częścią kultury promowaną popkulturowymi metodami. Odrobinę tak jak Marcin Świetlicki, który znany jest większej grupie odbiorców jako wokalista grupy Świetliki niż jako świetny poeta.

Klasyczne haiku to dla mnie teren nie do zdobycia, ale Brzóskowa parafraza tego nurtu japońskiej poezji (?) już nie. Co prawda bliższe są mi jego aforystyczne „Złote myśli psa" z dotykającymi istoty Wszechświata frazami typu „Wszystko się wszystko", ale i tu znajduję pożywienie dla duszy.

Mamy w twórczości „haijina" obrazki liryczne: „Zapach kawy / położył się / Między / Porannymi poduszkami", poezję religijną: „Nigdzie nigdy / Dotknąć Cię nie mogę / A jednak Jesteś / Na każdej mojej drodze", aforyzmy: „Epoki / Mijają / Problemy / Zostają", biblijne frazy: „Często / Chcę / Tego / Czego nie chcę", poezję motywacyjną: „Każdy ma / swój próg możliwości / Od którego / Musi się odbić" oraz poezję miłosną: „Idziemy razem / Czas / Pobiegł sobie / przodem".

Darek Brzóskiewicz jest poetą hojnym: „Bystrec do mnie / Gada i gada / Chociaż ze mnie / Kawał gada", „Antylopy myśli / Mają jeden cel / Najpierw dzikie pragnienie / Potem poczuć krew", „Długo i cierpliwie / Grzebał Sobie / Paluszek Boży / Islandzkie Kaniony", „Jakby każdy / wiedział po co jest / To by się ludzie / Tyle nie kłócili", „W Puchu / Marnym / Istota". Mamy w jego twórczości frazy zachęcające do historiozoficznych rozważań: wiemy np., że „Czarne Chmury / Nad Polską / Zbierają się praktycznie / Bez przerwy", jednak dziś, patrząc na niedokształcone i bezbronne nowe pokolenia, jesteśmy gotowi przyznać wyższość żydowskiemu i polskiemu podejściu do historii, skupionemu na rozpamiętywaniu zranień przeszłości, niż amerykańskiemu zapatrzeniu w przyszłość. Skrajne kompleksy społeczeństw kiedyś kolonialnych lub mających na sumieniu holokaust rdzennych mieszkańców swoich kontynentów rodzą zwyrodnienia, które możemy obserwować ostatnio przy okazji wystąpień agresywnego ruchu Black Lives Matter.

Brzóska jest jednak przede wszystkim poetą ludycznym, kreatorem zabawek językowych: „Wyrwana noga / Od krzesła / Wyraźnie / Kogoś poniosła" oraz najbardziej charakterystycznych dla Brzóski grepsów: „Andrzej / Zrobił z siebie / Takiego Flisaka / Że dziewczyna sama popłynęła". Ale mamy też tu utwory bliskie koanom, buddyjskim ćwiczeniom dla umysłu poza myśleniem (czyli rzeczywistościom niemożliwym, np. „klaśnięcie jedną ręką"), choćby: „Nie ma / Celu / Bez / Środka" – i tu zbliżamy się do pointy: najważniejszą cechą Brzóskowych strof jest nieoczywistość, która zresztą zawsze występuje w twórczości pierwszorzędnej i arcydzielnej. Gdy ją czytamy, uwaga sama się wytęża i umysł reaguje automatycznie.

Brzóska debiutował w „bruLionie", został uznany za jednego z najlepszych twórców „Przekroju" obok Gałczyńskiego, Kerna i Lengrena, co samo w sobie jest przepustką do historii polskiego piśmiennictwa. Nagrywał płyty ze Stanisławem Soyką, jego twórczość jest przedmiotem badań wybitnych i szacownych znawców literatury m.in. z Instytutu Badań Literackich PAN, jak dr hab. Beaty Śniecikowskiej, która napisała przedmowę do „449 haiku". A i tak często jest on traktowany z uśmieszkiem politowania. Ja rozumiem, można nie załapać się na idiom Brzóski, mając zupełnie inną wrażliwość czy przyzwyczajenia. Ale odmawianie mu miejsca w kanonie polskiej literatury przełomu wieków jest świadectwem zwyczajnej głuchoty literackiej.

POPKULTURA

Niewarte Tydzień temu pisałem o HBO GO pozytywnie, dziś wręcz odwrotnie. Na platformie pojawił się właśnie film ***„Każdego dnia"***, który mocno może namieszać w głowach nastoletnich dzieci. Miał on już premierę w kinach w 2018 r., a zrobiono go na podstawie książki pod tym samym tytułem autorstwa Davida Levithana. Fabuła opowiada o 16-latce Rhiannon i duszy o imieniu A. Dusza nie czuje się ani chłopakiem, ani dziewczyną. Każdego dnia budzi się w innym ciele i żeńskim, i męskim – mamy więc kandydata na idealnego, androgynicznego bohatera naszych czasów. Dusza A zakochuje się w pewnym momencie ze wzajemnością w Rhiannon. I młodzi kochankowie co rano usiłują na nowo siebie nawzajem odnaleźć. Cóż, nie od dziś wiemy, że nauka bzdurzy, mówiąc definitywnie o istnieniu tylko dwóch płci oraz statystycznie niewielkiej liczbie odstępstw od normy. A mówiąc poważnie, poznając cały ten koncept, poczułem mroźny powiew na kręgosłupie. Na szczęście wbrew ideolożkom gender kultura nie ma wpływu na biologię człowieka. Chromosomy nawet w minimalnym stopniu nie są wytworem społecznym.

Robert Tekieli
Polskie Radio

Adamski

VOD

Jak zalegalizowano w USA aborcję

Ten film idealnie trafia w swój czas w Polsce, gdzie przez wyrok Trybunału Konstytucyjnego, a nie ustawę, ograniczono aborcję. W USA legalizacja aborcji, de facto do ostatniego trymestru ciąży, rozegrała się też nie w Kongresie, ale w sądzie. „Wyrok na niewinnych. Roe vs. Wade" opowiada krok po kroku o tym, jak Sąd Najwyższy zmienił w 1973 r. radykalnie prawo aborcyjne w Stanach Zjednoczonych.

To kolejny po „Nieplanowane" film, który tematyki aborcji dotyka nie tylko z pozycji religijnych. O ile „Nieplanowane" opowiadało o nawróconej aborcjonistce Abbie Johnson, więc nie mogło uniknąć religijnej perspektywy, o tyle film Nicka Loeba skupia się na zobrazowaniu argumentów środowisk pro-life bez nachalnego religijnego ukąszenia. Jest to jednocześnie film bardzo osobisty. Grający główną rolę i reżyserujący film Nick Loeb przyznaje w wywiadach, że dwoje jego dzieci zostało abortowanych. Nie przez przypadek obsadził się w roli doktora Bernarda Nathansona – ginekologa, który nie tylko dokonał 70 tys. aborcji (w tym własnego dziecka), ale przyznał się do manipulowania opinią publiczną w czasie szeroko zakrojonej akcji mającej na celu legalizację w USA aborcji. Nathanson nawrócił się i stał ikoną walki z aborcją. Jest autorem najważniejszego dla środowisk antyaborcyjnych filmu „Niemy krzyk". Loeb też przeszedł przemianę. Ten film ma być dla niego katharsis.

Loeb jest spokrewniony z rodziną Lehman (od słynnego banku Lehman Brothers). Pracował dla studia Universal przy filmie „Barwy kampanii" Mike'a Nicholsa. Związał się z amerykańską prawicą podczas kampanii prezydenckiej Rudiego Giulianiego w 2008 r. Jego debiutancki film (współreżyserką jest Kathy Allyn) jest mocno powiązany ze środowiskami konserwatywnymi. Produkuje go bratanica Martina Luthera Kinga, dr Alveda King, role przyjęli zaś aktorzy otwarcie popierający w ostatnich latach prawicę. W roli przewodniczącego Sądu Najwyższego pojawił się najwybitniejszy z aktorów popierających Donalda Trumpa, zdobywca Oscara Jon Voight. Obok niego widzimy Stacey Dash, Roberta Daviego czy Williama Forsythe'a. Wszyscy otwarcie popierają prawicę, co w Hollywood zawsze było niepopularne, ale w czasie prezydentury Trumpa równało się z zawodowym ostracyzmem. W epizodach można zobaczyć też tak ekscentryczne postacie z otoczenia Trumpa, jak enfant

eprasa.pl 0e9cecca1b

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

terrible amerykańskiej prawicy od czasów Richarda Nixona – Rogera Stone'a czy skandalistę Mila Yiannopoulosa, niegdyś związanego jako publicysta z Breitbart News. Można odnieść wrażenie, że taki zbiór prawicowców z show-biznesu może zwiastować narodzenie się konserwatywnej przeciwwagi dla hollywoodzkiej machiny. Będzie to ułatwione z charyzmatycznym i wyrosłym z show-biznesu Trumpem. Nie przez przypadek film miał swój pierwszy pokaz na Konferencji Konserwatywnej Akcji Politycznej w Orlando, gdzie przemówienie wygłosił Trump.

„Wyrok na niewinnych. Roe vs. Wade" jest filmem zdecydowanie przechylonym na prawo. Twórcy nie ukrywają, po której stronie sporu stoją. Przekonują, że lewica wymyślała statystyki o nielegalnych aborcjach w USA, by zbudować narrację o ciemiężonych kobietach, i fałszowała sondaże pokazujące poparcie dla legalnej aborcji. Widzimy, jak Nathanson wraz z proaborcyjnym aktywistą Lawrence'em Laderem (Jamie Kennedy) cynicznie kreują wroga. „Każda rewolucja potrzebuje wroga z konkretną twarzą" – mówi Lader i wskazuje, że takim wrogiem powinni być katolicy. Pojawia się teza o rasizmie aborcjonistów, którą od lat głosi dr Alveda King. Widzimy więc założycielkę Planned Parenthood Margaret Sanger przemawiającą na zjeździe Ku Klux Klanu. Przez lata lewica lekceważyła jej otwarcie eugeniczne i rasistowskie poglądy. Dopiero na fali ruchu Black Lives Matters nazwisko Sanger zniknęło m.in. z nowojorskiej siedziby Planned Parenthood. Film przypomina, że Norma McCorvey (w procesie ukryta pod pseudonimem Jane Roe) została wykorzystana przez ruchy feministyczne jako narzędzie do walki. Kobieta utrzymywała, że została zgwałcona i powinna mieć prawo do abortowania dziecka. W Teksasie prawo zezwalało na aborcję tylko w przypadku zagrożenia życia matki. Norma, mimo wywalczenia prawa do aborcji przed Sądem Najwyższym, nigdy jej nie dokonała i po latach stała się działaczką antyaborcyjną. Podnoszony jest też argument, że gdyby Senat nie zwlekał z zatwierdzeniem do Sądu Najwyższego sędziów nominowanych przez Richarda Nixona, wyrok w sprawie Roe vs. Wade byłby inny. Mimo jednoznacznego stanowiska filmowców pokazują, że wiele czynników pozapolitycznych wpłynęło na decyzję sędziów. Błędne decyzje prokuratora okręgowego z Dallas Henry'ego Wade'a, nacisk żon i córek sędziów, by zmienili prawo, coraz słabsza pozycja Nixona – wszystko to zaważyło, że wyrok był druzgocący dla obrońców życia poczętego, którzy przegrali 2:7.

„Roe vs. Wade" jest filmem publicystycznym i mającym przekonać zwolenników aborcji, że są w błędzie. Zarówno moralnym, filozoficznym, logicznym, jak i prawnym. Seria scen z wykładami prof. Roberta Byrna (Joey Lawrence) z Uniwersytetu Fordham jest tego najlepszym dowodem. Deklaratywne dialogi i dydaktyzm nie drażnią jednak tak mocno, jak w protestanckich christian movies. Może dlatego, że są odbiciem dydaktyzmu lewicowej publicystyki w najbardziej zaangażowanych filmach? Jednak ma ten film pokaźny, jak na robione kino z dala od wielkich wytwórni, budżet w wysokości ok. 8 mln dol. Ma na pokładzie znane twarze i niezłą jak na pandemiczne czasy kampanię reklamową.

Nick Loeb w roli doktora Bernarda Nathansona w filmie „Wyrok na niewinnych. Roe vs. Wade"

Jon Voight gra Warrena E. Burgera, przewodniczącego Sądu Najwyższego

Loeb podkreślał w wywiadzie dla „The Hollywood Reporter", że większość jego przyjaciół głosowała na Joego Bidena i on wciąż potrafi z nimi się przyjaźnić. Filmowiec dodawał, że nawet mieszkając w Hollywood, potrafił znaleźć wspólny język z liberałami, mimo że otwarcie wspierał George'a W. Busha. Dziś jest inaczej. Prezydent USA może być uciszony przez wielkie korporacje z Doliny Krzemowej, poprawność polityczna zawłaszcza zaś kolejne rejony publicznego dyskursu. Loeb proponuje więc spokojną debatę. Jego film jest próbą pokazania stanowiska konserwatystów w sprawie aborcji w najbardziej klarowny i spokojny sposób. To wielka wartość w coraz bardziej spolaryzowanych czasach. Warto śledzić kolejne projekty tego filmowca, który podkreśla jednak, że interesuje go głównie aktorstwo i scenopisarstwo. Słusznie. W tym filmie kilka razy wykłada się reżysersko. Czy zarówno on, jak i inni prawicowi filmowcy zwiążą się z Trumpem, który jako człowiek mający do niedawna gwiazdę w Alei Sław na Hollywood Blv i jako biznesmen pojawiał się w filmach, wiem jak ważne jest kolonizowanie popkultury? Pojawienie się w „Roe vs. Wade" kogoś tak kontrowersyjnego (Trump ułaskawił go od wyroku za składanie fałszywych zeznań w tzw. Russiangate) jak Roger Stone, może być tego dowodem. Podejrzewam też, że komercyjny sukces chrześcijańskiego kina, w którym pojawiają się dziś coraz bardziej mainstreamowi aktorzy, zachęci konserwatystów do budowania własnej filmowej przestrzeni. Cóż, Jona Voighta już mają na pokładzie. Kto następny?

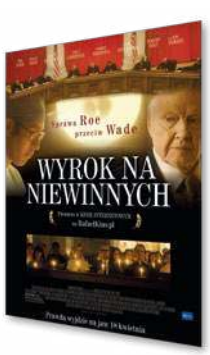

„WYROK NA NIEWINNYCH. ROE VS. WADE" OD 18 KWIETNIA W SERWISACH VOD

Fot. Quiver Distribution

eprasa.pl 0e9cecca1b

Jesteśmy stabilizatorem gospodarki

Pomimo trudniejszej sytuacji klienci nie rezygnują z polis. Różne szkody w życiu prywatnym czy gospodarczym nie zniknęły, a brak ochrony ubezpieczeniowej w takich sytuacjach mógłby być podwójnie dotkliwy w obliczu pandemicznych kłopotów wielu domowych budżetów oraz firm – mówi ***dr hab. Beata Kozłowska-Chyła***, prezes zarządu PZU SA, w rozmowie ze Stanisławem Koczotem („Gazeta Bankowa")

Pani prezes, Grupa PZU ogłosiła niedawno nową strategię na lata 2021–2024. Czy to plan rozwoju, czy przeczekania trudnych pandemicznych czasów?

Beata Kozłowska-Chyła: To plan wzrostu na wszystkich kluczowych dla nas rynkach. Jest ambitny, gdyż będzie realizowany w wymagających warunkach, jakie narzuca pandemia i jej następstwa, w tym bardzo niskie stopy procentowe. Ta ostatnia okoliczność wpływa istotnie na przychody odsetkowe i możliwe do osiągnięcia wyniki sektora finansowego. Pomimo niesprzyjających warunków i trudnego punktu wyjścia, jakim był rok 2020, chcemy zwiększyć zbierane przez nas składki ubezpieczeniowe do 26 mld zł w roku 2024, czyli o blisko 10 proc. Ale Grupa PZU to dużo więcej niż tylko ubezpieczenia, w których jesteśmy i pozostaniemy liderem. Znajdujemy się też w czołówce na rynkach usług bankowych, inwestycyjnych, ale też prywatnej opieki zdrowotnej i tam również zakładamy dynamiczny rozwój.

Czy to znaczy, że akcjonariusze PZU, w tym skarb państwa i rzesza drobnych inwestorów, mogą być spokojni o zyski?

Przyzwyczailiśmy naszych akcjonariuszy, że o to nie muszą się martwić. Znakiem rozpoznawczym PZU jest prowadzenie biznesu w sposób bardzo bezpieczny i opłacalny, przy

eprasa.pl 0e9cecca1b

wskaźnikach daleko przekraczających średnią rynkową. W nowej strategii zakładamy wzrost rentowności do 17,4 proc. w roku 2024, czyli o 6,5 pkt proc. w porównaniu z ubiegłym rokiem, przy zachowaniu co roku współczynnika wypłacalności na poziomie co najmniej 200 proc. Zwiększymy docelowo zysk netto Grupy PZU do 3,4 mld zł, czyli o blisko 79 proc. w porównaniu z minionym rokiem – do poziomu najwyższego od rozpoczęcia notowań akcji PZU SA na warszawskiej giełdzie. Będziemy też regularnie wypłacali dywidendę. Wyjątkowo nie zrobiliśmy tego w ubiegłym roku, wypełniając zalecenie KNF, która w obliczu wybuchu pandemii chciała przezornie zadbać o stabilność podmiotów na rynku finansowym. W tym roku będziemy już mogli podzielić się zyskiem z akcjonariuszami, chcemy też czynić to w najbliższych latach, wypłacając w postaci dywidendy od minimum 50 do 100 proc. skonsolidowanego zysku netto Grupy PZU. Zachowaną ewentualnie część przeznaczymy na potrzeby związane z rozwojem naszej działalności oraz potencjalne przejęcia.

W ostatnich latach PZU objęło kontrolę nad Bankiem Pekao i Alior Bankiem. Czy możliwe nowe przejęcia obejmują repolonizację kolejnych banków?

Udział kapitału zagranicznego w aktywach sektora bankowego w Polsce spadł z wcześniejszych ponad 70 do ok. 44 proc. Grupa PZU odegrała w tym procesie ważną rolę. Ma to istotne znaczenie stabilizujące dla gospodarki, co pokazał choćby kryzys finansowy w latach 2007–2009, kiedy w Polsce krajowe banki ogromnie zwiększyły akcję kredytową, wspierając naszych przedsiębiorców, a banki zagraniczne odwrotnie – zmniejszyły ją znacznie. Dziś, dzięki wspomnianym dwóm bankom, Grupa PZU jest wiceliderem rynku bankowego. Nasza strategia na najbliższe cztery lata przewiduje przede wszystkim skupienie się na lepszym wykorzystaniu potencjału Banku Pekao i Alior Banku. Chcemy oferować więcej produktów ubezpieczeniowych poprzez banki, a bankowych w naszej sieci sprzedaży. Mamy zamiar zwiększyć do roku 2024 skumulowaną składkę ubezpieczeniową uzyskaną ze współpracy z bankami o 200 proc. – do ok. 3 mld zł. Jednocześnie pomożemy zwiększyć przychody banków. Pandemia, niemal zerowe stopy procentowe, sprawa kredytów frankowych i inne czynniki zaważyły na wynikach banków. Dlatego wynik netto Grupy PZU w roku 2020 z wyłączeniem działalności bankowej wyniósł 3,1 mld zł, rosnąc o blisko 12 proc. rok do roku, a z uwzględnieniem jej, odpisów z tytułu utraty wartości aktywów bankowych oraz wyniku działalności bankowej – 1,9 mld zł. W końcu jednak sytuacja gospodarcza się polepszy, co w połączeniu z naszymi działaniami poprawi rentowność Banku Pekao i Alior Banku. Naszym celem jest siedmiokrotny wzrost ich wkładu do zysku netto Grupy PZU – do 0,8 mld zł w roku 2024. Nie wykluczamy natomiast możliwych przejęć np. na rynku funduszy inwestycyjnych czy ochrony zdrowia.

> Udział kapitału zagranicznego w aktywach sektora bankowego w Polsce spadł z ponad 70 do ok. 44 proc. Grupa PZU odegrała w tym procesie ważną rolę

Czy PZU bierze też pod uwagę ekspansję zagraniczną?

Grupa PZU jest obecnie największym podmiotem finansowym w Europie Środkowo-Wschodniej, o aktywach sięgających 380 mld zł, czyli większych od PKB dziesięciu spośród państw Unii Europejskiej. Działamy w pięciu krajach: poza Polską, na Ukrainie, Litwie, Łotwie i w Estonii. W strategii zakładamy utrzymanie przez nasze spółki zagraniczne pozycji lidera ubezpieczeń majątkowych na Litwie i Łotwie i wejście do pierwszej trójki w Estonii. Chcemy też wejść na podium w ubezpieczeniach życiowych na Litwie i Ukrainie. Celem jest co najmniej utrzymanie wynoszącego 8 proc. udziału składek zbieranych za granicą w rosnącej stale składce całej Grupy PZU. Będziemy głównie rozwijali działalność organiczną, ale przyglądamy się też perspektywicznym firmom środkowoeuropejskim, które już są liderami interesujących nas segmentów rynku w swoich krajach. Przede wszystkim prowadzimy biznes, ale warto zwrócić uwagę, że nasza obecność w regionie jest też elementem budowania pozycji Polski i rozwijania współpracy państw w obszarze Trójmorza.

Widzimy, jakie ludzkie dramaty powoduje COVID-19. Wpływa też na sytuację finansową wielu osób. Czy to przekłada się na zachowania i oczekiwania klientów?

Najważniejsze, że pomimo trudniejszej sytuacji klienci nie rezygnują z polis. Różne szkody w życiu prywatnym czy gospodarczym nie zniknęły, a brak ochrony ubezpieczeniowej w takich sytuacjach mógłby być podwójnie dotkliwy w obliczu pandemicznych kłopotów wielu domowych budżetów oraz firm. Jak wskazuje Polska Izba Ubezpieczeń, w roku 2020 Polacy wydali na ubezpieczenia ok. 63,5 mld zł, czyli niemal tyle samo ile rok wcześniej. Ubezpieczyciele wypłacili im 39,7 mld zł odszkodowań i świadczeń, czyli również podobną kwotę jak poprzednio. Pozostanie w domach, praca zdalna i zamknięcie granic zmniejszyły popyt na polisy turystyczne, sprzedawano też mniej samochodów, więc również mniej nowych polis OC i AC. Wzrosło zaś zainteresowanie ubezpieczeniem małych i średnich firm, mieszkań, zdrowotnym. Mniej było nieszczęśliwych wypadków, ale za to w związku z COVID-19 znacznie wzrosła śmiertelność i wypłaty z tytułu ochronnych polis na życie, co było widoczne zwłaszcza jesienią. Klienci chcieli płacić mniej za ubezpieczenie

eprasa.pl 0e9cecca1b

aut, ale są skłonni płacić więcej za opiekę medyczną. Wpływ pandemii jest więc wyraźny na wielu polach, lecz niejednoznaczny. Na pewno przyspieszyła ona wiele skądinąd ważnych trendów: rosnącą potrzebę zapewnienia bezpieczeństwa zdrowotnego sobie, rodzinie, pracownikom; coraz większe zainteresowanie oszczędzaniem i bezpiecznym inwestowaniem, ale przynoszącym większe korzyści niż depozyty bankowe; wzrost skłonności klientów do korzystania z narzędzi zdalnego kontaktu, zakupu i obsługi. Uwzględniamy to w naszej nowej strategii, zakładając w ciągu czterech lat wzrost przychodów PZU Zdrowie o prawie 80 proc. – do 1,7 mld zł, wzrost aktywów powierzonych nam do zarządzania o blisko 82 proc. – do 60 mld zł, a także dalszy szybki rozwój technologiczny PZU, m.in. naszych platform i aplikacji mojePZU oraz inPZU.

Czy prywatna opieka zdrowotna będzie się rozwijała kosztem publicznej mocno zaangażowanej w walkę z pandemią?

Nie, sektor prywatny nie jest alternatywą, lecz potrzebnym uzupełnieniem dla sektora publicznego. Nasze ubezpieczenia dają możliwość dodatkowego zadbania o siebie i bliskich, przy bardzo korzystnej relacji ceny do zakresu i jakości oferty – od prostych badań profilaktycznych po najbardziej skomplikowane leczenie dziecka w zachodnich klinikach, niemożliwe do finansowego udźwignięcia samodzielnie. Ten segment będzie rósł, bo pandemia przypomniała Polakom, jak ważne jest bezpieczeństwo zdrowotne, szybki dostęp do specjalistów, otworzyła ich też na nowe rozwiązania, np. telemedycynę czy leczenie domowe. Dlatego zakładamy szybki rozwój PZU Zdrowie i chcemy zaproponować klientom kompleksową ofertę: od usług związanych ze zdrową dietą, aktywnością ruchową, zdrowiem psychicznym, zakupami leków, po najlepszą profilaktykę, diagnostykę i opiekę medyczną. Uwzględnimy przy tym szczególne potrzeby seniorów, którzy stanowią coraz większy odsetek populacji. Warto też zaznaczyć, że prywatny rynek nie tylko uzupełnia ofertę publicznej służby zdrowia, ale jest też dla niej wsparciem w czasie kryzysu. Przykładem jest program resortu zdrowia „Domowa opieka medyczna", który zapewnia zdalne monitorowanie pacjentów chorych na COVID-19 i natychmiastową pomoc w razie pogorszenia ich stanu, a obsługują go m.in. lekarze i konsultanci oraz infrastruktura technologiczna PZU Zdrowie.

> Przede wszystkim prowadzimy biznes, ale warto zwrócić uwagę, że nasza obecność w regionie jest też elementem budowania pozycji Polski i rozwijania współpracy państw w obszarze Trójmorza

Nowością w strategii PZU jest jej „zielona" część. Czy wprowadzenie tego elementu to realna potrzeba, czy podążanie za globalnym trendem?

Międzynarodowi reasekuratorzy szacują, że w roku 2020 różne klęski żywiołowe na całym świecie kosztowały ubezpieczycieli ok. 80 mld dol., czyli o 30–40 proc. więcej niż rok wcześniej. Pamiętajmy przy tym, że znacznie więcej takich szkód jest w ogóle nieubezpieczonych. Dlatego działania proekologiczne i przeciwdziałanie negatywnym skutkom klimatu to konieczność zarówno z punktu widzenia społecznego, jak i biznesowego. Grupa PZU szeroko wdraża w swojej działalności tzw. czynniki ESG, czyli poszanowanie środowiska, społeczną odpowiedzialność i wysoki standard ładu korporacyjnego. Do roku 2024 staniemy się neutralni klimatycznie, czyli będziemy zużywać mniej energii i czerpać ją w pełni z OZE, redukując odpowiednio lub rekompensując pozostałe emisje własne. Chcemy, aby do roku 2040 neutralni klimatycznie stali się nasi dostawcy i inni partnerzy, a do połowy stulecia również nasi klienci ubezpieczeniowi i inwestycyjni. Będziemy ich w tym wspierać nie tylko własnym przykładem, ale też przez odpowiednią, zieloną ofertę ubezpieczeniową, inwestycyjną i bankową, promującą niskoemisyjny transport, instalacje fotowoltaiczne, pompy ciepła, małe i wielkie elektrownie wiatrowe. Chcemy, by w ciągu czterech najbliższych lat co najmniej 55 proc. największych korporacyjnych klientów ubezpieczeniowych PZU zostało poddanych analizie pod kątem czynników ESG.

Czy gospodarcze skutki pandemii szybko przeminą, czy też pozostawi ona trwały ślad?

Walka z trzecią falą pandemii zapewne opóźni odbicie gospodarcze, ale w drugiej połowie tego roku powinniśmy zacząć wychodzić na prostą i w ciągu najbliższych lat powrócić na dawną ścieżkę wzrostu. Postępy procesu szczepień dają nadzieję, jakiej nie było od roku. Myślę, że wśród trwałych – i dla odmiany pozytywnych – skutków pandemii można wskazać potwierdzenie ważnej funkcji, jaką silne i dobrze zarządzane spółki skarbu państwa pełnią w gospodarce. Narodowi czempioni, tacy jak Grupa PZU, w normalnych okolicznościach i tym bardziej w czasie kryzysu są stabilizatorami polskiej gospodarki. Jak wskazano w raporcie Banku Pekao na ten temat z sierpnia 2020 r., jesteśmy ważnym źródłem dochodów podatkowych państwa, wspieramy je i gospodarkę poprzez lokowanie aktywów w obligacjach oraz akcjach różnych spółek, zapewniamy ciągłość finansowania dla krajowych przedsiębiorców, utrzymujemy ogromną liczbę miejsc pracy, ponosimy miliardowe nakłady inwestycyjne, a przy tym angażujemy znaczne siły i środki w działalność społeczną i charytatywną. To istotny wkład w tworzenie ogólnonarodowego dobrobytu, a w obecnej sytuacji również duże wsparcie w wydobyciu polskiej gospodarki z pandemicznej recesji.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Hit tygodnia

Oppo Reno5

Firma Oppo wprowadza na polski rynek najnowszą serię smartfonów Reno5, w ramach której dostępne będą trzy modele – Reno5 5G, Reno5 Lite i Reno5 Z. Urządzenia zostały wyposażone w zaawansowane funkcje wideo, takie jak nagrywanie z dwóch aparatów w tym samym czasie (dual-view video) czy opcje filmowania oparte na algorytmach sztucznej inteligencji (aI highlight video).

Model flagowy Oppo Reno5 5G został wyposażony w tylny poczwórny aparat 64 MP i przedni aparat 32 MP. Ich działanie wspiera Oppo Full Dimension Fusion (FDF), czyli system obrazowania stworzony z myślą o kadrach portretowych. Telefon dysponuje 8 GB RAM i pozwala na przechowanie 128 GB plików i aplikacji. Procesor Qualcomm Snapdragon 765G, stworzony w 7-nanometrowym procesie technologicznym, obsługuje łączność z siecią 5G i gwarantuje szybkość działania oraz oszczędność energii. Model Reno5 5G będzie można kupić w sugerowanej cenie detalicznej 1999 zł. Oppo Reno5 Z będzie dostępny w sklepach w cenie 1799 zł. Natomiast Oppo Reno5 Lite w cenie 1599 zł. **Premiera**

Plusy i minusy

+ wybór modeli oraz ich cena
– większych nie stwierdzono

Sony HT-S40R

Firma Sony zapowiedziała wprowadzenie zestawu audio HT-S40R, zapewniającego w domu autentyczny 5,1-kanałowy dźwięk przestrzenny jak w prawdziwym kinie. Duża moc 600 watów i bezprzewodowe tylne głośniki ożywią ścieżkę dźwiękową do każdego filmu. Nowy zestaw HT-S40R pomaga zmniejszyć liczbę kabli w kinie domowym. Bezprzewodowy wzmacniacz dźwięku docierającego do tylnych głośników eliminuje przewody ciągnące się przez cały salon, dzięki czemu uzyskanie kinowego brzmienia nie wiąże się z bałaganem ani skomplikowanymi połączeniami. Zestaw HT-S40R wspaniale odtwarza nie tylko ścieżki dźwiękowe do filmów, lecz także muzykę. Nagrania ze smartfona można przesyłać bezprzewodowym łączem Bluetooth. Urządzenie jest również wyposażone w port USB do odtwarzania muzyki z urządzeń USB. Zestaw HT-S40R będzie dostępny od maja br. **Zapowiedź**

Hulajnoga Fiat F500-F10 Cross

Hulajnoga elektryczna marki Fiat 500 w wersji Cross to nowa wersja sprawdzonego i obecnie popularnego modelu F500 F10. W odróżnieniu od podstawowej wersji posiada 10-calowe koła z 2,5-calowym ogumieniem, które są wykonane technologią honeycomb, oraz tylny błotnik wzmocniony o dodatkowe boczne mocowania. Hulajnoga została wyposażona w silnik o mocy 350 W, który pozwala poruszać się jej z prędkością do 25 km/h. Akumulator o pojemności 10 Ah gwarantuje z kolei przejechanie na jednym naładowaniu baterii aż do 25 km trasy, a sama bateria, aby osiągnąć pełną moc, ładuje się od 6 do maksymalnie 8 godzin. Wbudowany cyfrowy wyświetlacz pokazuje trzy tryby szybkości jazdy: do 10 km/h, 15 km/h i 25 km/h. Nowy model elektrycznej hulajnogi Fiat 500 docenią wszyscy, którzy od urządzeń tego typu wymagają bezpiecznej i komfortowej jazdy w niestandardowych warunkach. Tak jak poprzednie wersje model ten nawiązuje swoim wyglądem do znanego i lubianego samochodu – fiata 500. Minimalistyczny design i przemyślana kolorystyka hulajnogi są kwintesencją włoskiego stylu. **Cena: 1999 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 0e9cecca1b

ŁUKASZ NOWICKI AKTOR, PREZENTER TV

Wiejski chleb, ogórki i kabanosy

W Polsce uwielbia rosół, kabanosy i kiszone ogórki. W Indiach bez problemu rezygnuje z mięsa. Ceni smaki Japonii, ale „szaleje też z rozkoszy", gdy na planie pojawia się wiejski chleb. I zdarza mu się zaniemówić... z powodu łososia.

W „Albumie kulinarnym »Pytania na śniadanie«" – gdzie przepisy zaprzyjaźnionych z programem kucharzy przeplatają się smakowicie z przeprowadzanymi na planie rozmowami i ciekawymi sytuacjami uchwyconymi na zdjęciach – występuje nie jako aktor, lecz prezenter. Ktoś, kto świetnie odnajduje się w klimacie telewizji śniadaniowej.

Przepytywany przez Katarzynę Gubałę zdradza, że na poranne spotkania z widzami biegnie zawsze z pustym żołądkiem. O tak wczesnej porze liczy się dla niego każda minuta snu, a z telewizyjnego dyżuru nigdy nie wychodzi głodny.

I chociaż piątkowe wydanie łączy się (kulinarnie) najczęściej z daniami wege – co nie zawsze mu odpowiada, bo jego ulubionym zestawem smakowym są kabanosy i ogórki kiszone – to jednak niezmiennie jest pod wrażeniem działań kucharzy »PnŚ«. I efektów ich pracy, widocznych zarówno w wyrafinowanych, jak i najprostszych potrawach.

Kiedy w programie pojawia się wiejski chleb, który przywozi Jolanta Kleser, szaleje z rozkoszy. Uwielbia też dania braci Budników, zwłaszcza te „przygotowywane z niczego". Przyznaje, że nie bardzo wychodzą mu w domu próby odtworzenia tego, co powstaje w kuchni »PnŚ«. Zresztą należy do osób, którym to, co ugotowane i podane przez innych, smakuje o niebo lepiej niż upichcone samodzielnie.

Jest wielkim fanem rosołu. Ale potrafi docenić też inne zupy, choćby chłodnik na młodych buraczkach.

Na co dzień wybiera dania wyraziste. Ponieważ dużo z żoną podróżowali, miał możliwość skosztowania potraw z różnych stron świata. W kuchni indyjskiej zachwyciło go bogactwo smaków. Ku swojemu zaskoczeniu w czasie pobytu w Indiach nie tęsknił za mięsem (którego nie ma zbyt wiele w tamtejszym menu, ale za to, gdy się już pojawi, jest idealnie doprawione). Uczucie sytości zapewniało mu wspaniałe pieczywo i niesamowite warzywa.

Bardzo smakuje mu jedzenie w Japonii, ale kulinarnych olśnień doświadczał też na planie „Pytania na śniadanie", kiedyś bracia Budnikowie tak przyrządzili łososia, że zaniemówił z wrażenia. Wśród wielu wspaniałych dań rewelacyjna okazała się również przygotowana przez Kubę Steuermarka kiełbasa chorizo z jajkami (przepis podajemy obok).

Jolanta Gajda-Zadworna

HUEVOS À LA FLAMENCA,

czyli sadzone jajka po andaluzyjsku z chorizo, ziemniakami, cebulą i pomidorami

(Kuba Steuermark, przepis ze strony „Pytania na śniadanie")

Składniki: 150 g surowej kiełbaski chorizo, 2 duże ugotowane i ostudzone ziemniaki, 1 biała cebula, 1 mała puszka pomidorów pelati, 1 papryczka chili, sól, 1 pęczek natki, 4 jajka

Przygotowanie: Kiełbasę pokrój w plasterki i smaż na małym ogniu, wytapiając z niej czerwony tłuszcz, dodaj pociętą drobno cebulę i chili. Całość przesmaż krótko. Ułóż ziemniaki, posól, a na wierzch wylej pomidory. Duś na małym ogniu jakieś 5 minut. Wbij jajka, przykryj pokrywką i zaparz je przez kolejne 5 minut. Odkryj pokrywkę, wrzuć pociętą natkę pietruszki. Podawaj gorące, starając się wyjąć jajka w całości.

Fot. Waldemar Kompała/TVP, Shutterstock

eprasa.pl 0e9cecca1b

SŁODKO-SŁONY

Na zimną wiosnę

ANNA MONICKA

Kiedy patrzę za okno, czuję się, jakbym miała potężnego kaca. Skoki ciśnienia sprawiają, że łupie mi pod sufitem jak po ciężkim winie. Mam tak od świąt. Pogodowa huśtawka mnie dobija. Już witałam się z gąską (dosłownie, bo nad moją głową przeleciał w tym roku z głośnym gęganiem największy klucz, jaki kiedykolwiek widziałam), by za chwilę dostać chłostę lodowatym wiatrem i kulkami zmrożonego deszczu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności akurat w czasie tego wyjątkowo obrzydliwego i długiego przesilenia wpadła mi w ręce książka mojej ulubionej autorki, nieżyjącej już niestety, Hanny Szymanderskiej „Przepisy na kaca". To nie brednie w stylu „natrzyj się pod pachami cytryną" czy „wypij na surowo dwa sowie jajka", ale kilkadziesiąt rewelacyjnych pomysłów na wzmacniające sałatki, zupy i napoje.

Nie bez powodu mocnym punktem w książce są kwasy i syty, czyli rosyjskie napitki, które dają tak potężnego witaminowego kopa, że potrafią postawić na nogi nieboszczyka. Do picia buraczanego czy chlebowego zachęcałam już wiele razy, ale kminkowy? Żeby go nastawić, potrzeba trzech litrów wody, pół szklanki nasion kminku, 20 g drożdży, szklanki cukru i garści ekologicznych rodzynek. Kminek zalewamy wodą, gotujemy kilkanaście minut, studzimy i przecedzamy. Drożdże ucieramy z łyżką cukru i odrobiną tego wywaru, w reszcie rozpuszczamy cukier. Gdy drożdże zaczną pracować, dodajemy je do napoju, nakrywamy gazą i ustawiamy w ciepłym miejscu. Gdy zacznie się pienić, zlewamy do butelek, do każdej wrzucamy kilka rodzynek i trzymamy w chłodzie. Sytę dla odmiany robi się szybko – litr wody, szklanka miodu, po 5 g goździków, imbiru, cynamonu i liści laurowych. Wszystko gotujemy z przyprawami pod przykryciem i pijemy na gorąco.

Jako danie główne – ognisty buraczany krem. Kilogram buraków trzeba zetrzeć na tarce, na oliwie podsmażyć na złoto cebulę i czosnek, dodać po łyżeczce kminku, oregano i kurkumy, podsmażyć, żeby przyprawy uwolniły smak, a następnie zalać litrem wody lub lekkiego bulionu, dodać buraki, zagotować, zmiksować na gładko i przetrzeć przez sito. Krem doprawiamy solą i pieprzem, a podajemy z kleksem śmietany. Jeśli wpadnie wam w ręce ta książka – bierzcie i gotujcie.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Miętus

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W tym roku zima ociąga się z odejściem. Wprawdzie niskie temperatury w kwietniu nie są niczym niezwykłym, jednak powtarzające się przymrozki i uparcie powracający śnieg doskwierają ptakom, mogą uszkodzić rozwijające się pąki roślin albo zamrozić zbyt wcześnie wybudzoną żabę. Przyroda wyczekuje nadejścia ciepłej wiosny. Są jednak wyjątki.

W głębszych partiach jezior, zwłaszcza tam, gdzie z dna biją zimne źródła, a także w ciemnych rzecznych dołach o kamienistym dnie kryje się mało znana, zagadkowa ryba, jedyny słodkowodny przedstawiciel dorszowatych. To miętus *Lota lota*.

Już z wyglądu miętus jest osobliwy i – przy pewnej żabowatości – na swój sposób piękny. Ciało miętusa jest wydłużone i walcowate. Wzór na pokrytej drobną łuską skórze jest marmurkowy, zielonkawo-brunatny, w stylu maskującego moro. Głowa szeroka, paszcza duża, na brodzie pojedynczy, dość długi wąs. Płetwy zaokrąglone, uwagę zwraca długa płetwa grzbietowa, ciągnąca się przez ponad połowę ciała. Największy polski miętus ważył około czterech kilogramów, takie okazy są jednak u nas bardzo rzadkie. W rzekach Syberii i na wyższych szerokościach geograficznych w chłodnych wodach północnoamerykańskich łowi się miętusy dorastające dwudziestu paru kilogramów.

Natura miętusa jest odwrotna do natury większości występujących u nas stworzeń, które pobudzają się wraz z rosnącą temperaturą, a w zimne pory roku szukają kryjówek, zapadają w sen, hibernują i na różne sposoby ograniczają aktywność.

Miętusa zimno pobudza. Jego sezonem jest późna jesień, zima i granicząca z nią wczesna wiosna, kiedy temperatura wody i powietrza jest skrajnie niska; najlepiej, jeżeli do tego nad brzegami wody pada śnieg. Wówczas drapieżne miętusy wyruszają na łowy i sunąc przez ciemną, cichą głębinę, chwytają wszystko, co zmieści się w ich szerokich paszczach. Zimą, kiedy lód skuje powierzchnie zbiorników i cieków, miętusy odbywają również tarło i składają ikrę, z której wykluwają się kolejne pokolenia tych intrygujących ryb.

Kiedy nadchodzi wiosna, słońce wznosi się wyżej i temperatury rosną, miętusy stają się coraz bardziej ospałe, schodzą głębiej i zapadając w sobie tylko znanych kryjówkach czekają, aż ponownie na świecie zacznie robić się zimno.

eprasa.pl 0e9cecca1b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wybory Zjednoczonej Prawicy

Najsłynniejsze z praw Murphy'ego głosi, że „jeżeli coś może się nie udać, to nie uda się na pewno". Inżynier Edward Murphy, przez lata pilot wojskowy, wymyślając swoje „prawa", najpewniej pozazdrościł Kasandrze, która jest symbolem złych przepowiedni i katastrofalnych zapowiedzi na przyszłość.

Prawo Murphy'ego zdaje się szybko przemieniać w kasandryczną treść, jeśli chodzi o przyszłość naszej Zjednoczonej Prawicy. Bo jeśli jest kilka sposobów utrzymania koalicji, ale jest też choćby jeden skuteczny sposób jej rozbicia, to zakładając słuszność teorii Murphy'ego, czekamy tylko na ten jeden ruch koalicjantów Prawa i Sprawiedliwości, czyli Solidarnej Polski i Porozumienia.

Jeśli chodzi o Solidarną Polskę Zbigniewa Ziobry, to ten potencjalny „ruch" opisał już prezes PiS Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Gazety Polskiej". Polegać ma na tym, że jeśli Solidarna Polska nie poprze lub wstrzyma się od głosowania w sprawie zwiększenia zasobów własnych w budżecie UE, co ma pozwolić na uruchomienie tzw. funduszu odbudowy, to koalicja przestanie istnieć. Argumenty Solidarnej Polski są znane i najprawdopodobniej słuszne, gdyż Unia Europejska, a w zasadzie ci, którzy rządzą Komisją Europejską, chcą, aby Unia wychodziła z kryzysu kosztem niektórych tylko państw członkowskich, zadłużając je kredytami trudnymi do spłacenia. Najpewniej trzeba będzie płacić za siebie i solidarnie za te państwa, które już zostały zadłużone i nie potrafią sobie poradzić z kryzysem.

Jeśli chodzi o Porozumienie Jarosława Gowina, to od samego początku formacja ta sprawiała wrażenie tymczasowo czy warunkowo zakotwiczonej przy PiS. Przykładów nielojalności tego koalicjanta nazbierało się sporo. Przewodniczący ugrupowania Jarosław Gowin układa pod siebie krajową politykę wewnętrzną, a i potrafi działać na arenie międzynarodowej bez koalicyjnego umocowania. Najbardziej krytyczną rysą na tej koalicji jest przekonanie jej przewodniczącego, że PiS chciało dokonać w ugrupowaniu puczu czy innego rozbicia przy pomocy Adama Bielana. Porozumienie tak się podzieliło, że trzech oddelegowanych do rządu jego członków nie wspiera dziś Jarosława Gowina, a PiS nie bierze pod uwagę utraty przez nich partyjnego poparcia i nie odwołuje ich z rządu.

Być może są jeszcze jakieś inne ważne powody, których wystąpienie może zakończyć istnienie obecnej koalicji rządowej, powody, które mają prawo, także nieuchronnie wystąpić zgodnie z zasadą opisaną przez Edwarda Murphy'ego. Ponieważ zbyt mało znana nam jest polityczna kuchnia, a tym bardziej stopień natężenia politycznego ego przywódców koalicji, lepiej będzie się skoncentrować na skutkach utraty większości sejmowej przez Zjednoczoną Prawicę. Może ona doprowadzić do przedterminowych wyborów, mimo zapewnienia prezesa Jarosława Kaczyńskiego, że „Zjednoczona Prawica jest zdeterminowana, aby dokończyć obecną kadencję 2019–2023".

Przyczyny, dla których możliwe jest zakończenie koalicji trzech partii – PiS, SP, Porozumienia – mogą się okazać wręcz banalne, nieistotne, w porównaniu ze skalą skutków, jakie może wywołać zmiana rządu po przegranych przez prawicę wyborach. Gdyż najprawdopodobniej do władzy dojdzie formacja zdrady narodowej, nasza rodzima targowica, która zapoczątkuje upadek państwa polskiego. Zostanie zatrzymana „ta dobra zmiana", jak odgrażał się Leszek Balcerowicz. Powrócą czasy bezrobocia, emigracji za pracą i płacą, prywatyzacji, czyli złodziejskiej wyprzedaży wszystkiego, co jeszcze jest cenne na czele z PKN Orlen.

Zbigniew Ziobro przez następne lata odwiedzi jako przesłuchiwany wszystkie prokuratury w Polsce, a Jarosław Gowin – ciekawe, jak się ustawi – zawodowo być może skończy tak jak Kazimierz Marcinkiewicz, bo „murzyn zrobił swoje".

Nawet najtrudniejsze sprawy na styku Polska–Unia Europejska są możliwe do przezwyciężenia pod warunkiem utrzymania obecnego suwerennego, niepodległościowego kursu państwa polskiego, kursu reprezentowanego przez Zjednoczoną Prawicę. Nawet najtrudniejsze perturbacje wewnątrz koalicji rządowej są niczym, gdy wyobrazimy sobie degradację, a być może nawet likwidację państwa polskiego przez lewicowo-liberalny rząd wspierany z jednej strony przez podobne siły na Zachodzie i w Unii Europejskiej oraz politykę Rosji, która nie zrezygnowała z planów podporządkowania sobie Polski, zresztą zgodnie z oczekiwaniami wielu tzw. Polaków. Właśnie tych, którzy oskarżają dziś Zjednoczoną Prawicę o proputinowskie wsparcie i sympatie.

Ani Zachód, ani Rosja nie są zainteresowane Polską przewodzącą krajom Europy Środkowej w realizacji Trójmorza, koncepcji polityczno-gospodarczej wspieranej przez Stany Zjednoczone. O tym wszystkim winni pamiętać politycy Zjednoczonej Prawicy, w przeciwnym razie – aż strach się bać.

www.wojciechreszczynski.pl

Patriotyczne serce Kingi Rusin

Jerzy Jachowicz

Wypatrujący najciekawszych wydarzeń „Peryskop Parlamentarny” („PP”) zawędrował w egzotyczny rejon świata, nad Ocean Indyjski, by tropić sprawę jednego z najważniejszych parlamentarzystów polskich – trzeciej osoby w państwie. Oto przedruk owoców tej wyprawy specjalnego wysłannika „PP”.

Ciągle piękna i nieprzeciętnie mądra Kinga Rusin, najpotężniejsza przez lata gwiazda TVN, oprócz głębokiego patriotyzmu, czemu niejednokrotnie, mimo różnych przeszkód, odważnie i z determinacją dawała wyraz, okazuje się także osobą niezmiernie wrażliwą na niesprawiedliwość społeczną. I indywidualną. Po prostu na krzywdę. Jeśli ją tylko dostrzeże wokół siebie, bez znaczenia blisko czy daleko.

Zresztą zobaczmy, jak sama o tym pięknie potrafi mówić:

– Mieszkam na niemal bezludnej wyspie na Malediwach, ale śledzę pilnie sytuację w kraju. Martwię się nią. Widzę, co się w Polsce wyprawia... to złodziejstwo władzy... te jej patologie...

– Stąd ten szlachetny odruch? – próbuję przejść do interesującego mnie wątku.

– Od dnia, kiedy tylko w kłamliwej rządowej telewizji podano wiadomość o oficjalnym oskarżeniu marszałka prof. Tomasza Grodzkiego o wstrętne łapówki i chęci pozbawienia go immunitetu parlamentarzysty, zrodziła się we mnie nieodparta potrzeba przeciwstawienia się tej podłości. Idea obrony marszałka wybuchła w moim wnętrzu niczym lawa z ożywionego nagle wulkanu. Zrozumiałam, że nie mogę dopuścić do zrealizowania politycznej intrygi uknutej na Nowogrodzkiej. Eliminacja z życia politycznego tak wspaniałego, uczciwego przywódcy Senatu byłaby pogrzebaniem nadziei na demokratyczną, wolną od dyktatorskich rządów Polskę.

– Czy mogę wiedzieć, ile osób podpisało się pod pani poręczeniem zapewniającym o niewinności prof. Grodzkiego, połączonym z apelem wycofania wniosku o uchylenie immunitetu? Czy są wśród nich osoby powszechnie znane?

– Nie chcę tego zdradzać. Minęło ledwie kilka dni od mojego apelu...

Z ostatniej chwili: poręczenie Kingi Rusin poparło ponad tysiąc organizacji, które popierały kandydaturę Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz na RPO.

Świat z perspektywy osób z chorobą Parkinsona

Co roku 11 kwietnia obchodzimy Światowy Dzień Choroby Parkinsona. Z czym w naszym kraju mierzą się chorzy oraz ich opiekunowie?

Choroba Parkinsona należy do chorób neurodegeneracyjnych. W trakcie jej rozwoju dochodzi do powolnego uszkadzania pewnych struktur mózgu. Choroby nie można wyleczyć ani nawet spowolnić jej przebiegu. Obecnie można leczyć ją jedynie objawowo. Wczesna terapia to leczenie farmakologiczne. Trudności pojawiają się wraz z zaawansowaniem choroby.

– Niewiele osób w naszym kraju otrzymuje zaawansowane metody leczenia. Na DBS ma szansę ok. 300 osób rocznie. Natomiast z terapii infuzyjnych korzysta obecnie jedynie nieco ponad 150 osób, uściślając – z lewodopy z karbidopą podawanej dojelitowo nieco ponad 100 osób, a z lewodopy podawanej podskórnie ok. 50. Ponadto terapie infuzyjne otrzymują dwuletnie refundacje, więc pacjentom dokucza niepewność, co dalej, czy program lekowy zostanie przedłużony, a leczenie kontynuowane – opisuje Wojciech Machajek, wiceprezes Fundacji Chorób Mózgu.

Terapie infuzyjne w ramach programu lekowego prowadzi w Polsce dziewięć ośrodków (Szczecin, Gdańsk, Poznań, Wrocław, Łodź, Lublin, Kraków, Katowice, Warszawa). Trzy kolejne niebawem wydłużą tę listę.

Na całym świecie choruje ponad 6 mln ludzi. W Polsce ok. 100 tys. Rocznie diagnozuje się ok. 8 tys. nowych zachorowań. Średni wiek zachorowania to ok. 60 lat, a diagnozy stawiane są coraz młodszym osobom

FUNDACJA CHORÓB MÓZGU

Dodatkowym wyzwaniem, z jakim mierzą się chorzy, jest dostęp do rehabilitacji oraz mocno ograniczona liczba neurologów specjalizujących się w chorobie Parkinsona. W Polsce jest ich około stu, co oznacza, że na każdego z lekarzy przypada około 1 tys. chorych.

– Z okazji obchodów Światowego Dnia Choroby Parkinsona oraz w oczekiwaniu na podpisanie nowej listy refundacyjnej, co nastąpi pod koniec kwietnia, chciałbym życzyć wszystkim pacjentom cierpliwości, ale także pamiętania o regularnych ćwiczeniach!

Opiekunom z kolei życzę wytrwałości w codziennym towarzyszeniu swoim bliskim w chorobie – dodaje Wojciech Machajek.

Tekst powstał we współpracy z Fundacją Chorób Mózgu | 6/0421/F

eprasa.pl 0e9cecca1b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Środowisko

Aleksander Nalaskowski

Okres świąteczny i tuż przedświąteczny był znakomitym polem obserwacyjnym. Wbrew pozorom działo się tu sporo, a niektóre fakty wydają się nadzwyczaj interesujące.

Zacznę od meczu Polska–Anglia, w którym kilka chwil przed końcem gry straciliśmy remis. Nie umiem się przyłączyć do chóru krytykującego polskich zawodników. Nie zrealizowali marzeń Brytyjczyków o pogromie, o zepchnięciu polskiej drużyny na pozycję zarezerwowaną dla San Marino czy Liechtensteinu. Anglicy wymęczyli zwycięstwo i proszę już bez komentarzy w stylu „tak, ale...". Polscy piłkarze nie narazili na szwank swojej i naszej dumy. Nie było zwycięstwa, ale wstydu też nie. To tylko sport.

A tak przy okazji piłki, to rozsierdziły mnie głupawe wpisy po odznaczeniu przez prezydenta RP Roberta Lewandowskiego. Dało tu o sobie znać środowisko o twarzy Magdaleny Środy. Przy czym środowisko należy tu rozumieć tak jak mrowisko czy grzęzawisko, od nazwiska habilitowanej etyk z UW. Z akademickich trzewików wyszła jej bowiem zupełnie nieakademicka słoma. Tak jak u innych obecnych w środowisku – od Saramonowicza przez Hołdysa po Sipowicza i innych. Środowisko rzadko przemawia, bo częściej puszcza werbalne bąki, które mainstream uwielbia wąchać. Prawie ćwierć wieku temu odbierałem tytuł profesora z rąk Aleksandra Kwaśniewskiego. Pamiętam, że wraz ze mną odbierali nominację m.in. Anna Seniuk i Zdzisław Najder. I nawet przez myśl mi nie przeszło, aby Kwaśniewskiego, z którym mnie dzieli absolutnie wszystko, zbojkotować. Nie jechałem do jakiegoś „pana Olka", ale do prezydenta RP wybranego w demokratycznych wyborach. Jechałem do urzędu i urzędnika, a nie do partyjnego działacza. No tak, ale środowisko tego nie rozumie, bo pewne sposoby myślenia są dlań intelektualnie niedostępne.

Wedle liczby zachorowań pandemia trwa i ma się dobrze. I tutaj widzę dwie narracje. Pierwsza to interpretacja rządowo-ekspercka, która do znudzenia powtarza o koniecznych środkach ostrożności, dezynfekcji i dystansie. Rzadko kto bowiem zdaje sobie sprawę z tego, że gdybyśmy wszyscy radykalnie przestrzegali tych zasad, to liczba zachorowań dobowych spadłaby do nieznaczącego minimum. Ale warunek „wszyscy" nie jest w żadnym zakątku świata możliwy. Wszędzie są jakieś bulwary nad Wisłą, Krupówki, bezmaseczkowi durnie czy udawacze z maseczką pod brodą. Druga narracja to środowisko i okolice. Wedle nich rząd sobie nie radzi, bo w Żabczynie jest już „tylko" dziesięć wolnych łóżek, a w jakimś DPS pielęgniarce niemiło pachniało z ust. Czyli jest totalna katastrofa, chaos, państwo z tektury, premier kłamie, Budka szczeka, a Joński ze Szczerbą to polska wersja Flipa i Flapa. Lotny teatr komediowy. Aparycja może inna, ale umysły nader podobne.

W tym samym czasie Adam Michnik razem z Dominiką Wielowieyską prowadzą w „GW" rekolekcje, zbawiając polski Kościół. Ubrał się diabeł w ornat i na mszę ogonem dzwoni! Ale środowisko upaja się każdym ich słowem i troszczy o polskich katolików, licząc wiernych w kościołach. Cóż, tak naprawdę mamy w Polsce wybór ciasny: albo lewica, albo logika.

Wszyscy mówią o powrocie bądź nie do „normalności". Coraz częściej się słyszy, że wszystko będzie inne, że nic już nie będzie takie samo. Otóż tylko Bóg raczy wiedzieć, jak będzie. Bo zapewne coś się zmieni, a coś innego nie. Już raz napisałem, że nie czekają nas rewolucja ani kataklizm, bo naszym horyzontem jest powolne gnicie. Gnicie, które na wierzch wydobywa gnidy. Niektóre sławne, inne utytułowane, obojga płci i bez względu na obecny marsz na orientację seksualną. Z jednej strony słychać o depresjach pandemicznych, uciemiężonych rodakach pragnących wybujałego życia rodzinnego, kochających na zabój kino, teatr, a zwłaszcza filharmonię, operę i wystawy obrazów. Ale to wszystko blaga! Nie ma i nie grozi nam żadna ogólnonarodowa depresja. Na depresję trzeba mocno zapracować, bo to straszliwa choroba i nie wystarczy ją tylko przywołać, aby zaistniała. Ale też nie wolno jej nikomu wmawiać! A mam wrażenie, że media ustami swoich narratorów (iluż tam nieuków!) właśnie „dedykują" depresję nam wszystkim. Z kulturą jest podobnie. Nie jesteśmy maniakami teatru czy opery. Gdyby tak było, żyłyby one z biletów, a nie z ogromnych dotacji państwowych czy samorządowych. Nie jesteśmy też aż tacy prospołeczni. Jeśli tylko rodzinnego świętowania nie utożsami się wyłącznie z wspólnym piciem wódy, to nasza rodzinność (rozumiana szerzej niż spotkania w gronie naprawdę najbliższych) jest dość wątła. Wesela i przyjęcia do Pierwszej Komunii Świętej robią się coraz bardziej kameralne. Tak jak jesteśmy pracowici, a nawet mamy skłonność do pracoholizmu, tak rodzinnie mamy lenia.

Nasze rodzinne lenistwo ujawnia się również w wychowywaniu dzieci. W pracy robota nam się w rękach pali, ale w domu to najczęściej tapczan i telewizja. Jeśli coś się pod tym względem zmienia, to za sprawą młodego pokolenia, które urządziło sobie świątynie w siłowniach, klubach fitness lub modląc się bieganiem. I pandemia ma z tym niewiele wspólnego. Zatem z długoterminowymi prognozami i diagnozami warto jeszcze poczekać.

Reklama | 13/0121/F

eprasa.pl 0e9cecca1b

PRZEZ ŚWIETLIK

Bitwa o Anglię 2

Wiktor Świetlik

Krótka kwerenda tego, co piszą niemieckie i brytyjskie media na temat szczepionek, pokazuje, że tezy o tym, iż kapitał w mediach tych krajów nie ma narodowości, są cokolwiek nieprawdziwe. No, chyba że to efekt najszczerszej kwerendy i dziennikarskiego obiektywizmu.

„Obiektywizm" ten nakazuje niemieckim mediom konsekwentnie jechać po brytyjskiej szczepionce. Ostatnio np. serwis Deutsche Welle informował o tym, że w drugiej fazie szczepień lepiej stosować inną niż angielska szczepionkę, bo jej skuteczność po 12 tygodniach wygasa. Nie było to zapewne ani trochę związane z tym, że na rynek właśnie wchodzi niemiecka szczepionka produkowana przez jedną z podpór tamtego przemysłu i biznesu. Wcześniej równie ochoczo informowano o zakrzepach, które ma powodować brytyjska szczepionka.

By oksfordzkiemu produktowi nie było smutno, z pociechą przychodzi brytyjska prasa. W zeszłym tygodniu dwie największe bulwarówki – „Daily Mail" i „The Sun" – poświęciły jej okładki. Jedna krzyczała „Zachować spokój i kłuć!", nawiązując do słynnego hasła z II wojny światowej „Keep calm and carry on!" („Zachować spokój i robić swoje!"). Drugi w ogromnym tytule wskazuje, że prawdopodobieństwo morderczego zakrzepu po szczepieniu wynosi 0,000095 proc., także zachęcając do szczepienia.

Mamy więc szczepionkową „bitwę o Anglię". Niemcy w walce o dominację jak zawsze muszą się ciut krygować, używać więcej softpower, bo jednak co nieco im Europa wciąż pamięta, Anglicy mogą sobie pozwolić na walenie na odlew. Tak właśnie wyglądają media w krajach, które kiedyś studentom dziennikarstwa, w tym niżej podpisanemu, przedstawiano jako wzorce z Sèvres dziennikarskiego warsztatu. I może trochę słusznie. Warsztatem jest w końcu także to, że się wie, gdzie się mieszka, jakie się ma obywatelstwo, gdzie się płaci podatki i w jakim języku mówi.

Chyba o tym wszystkim warto pamiętać, gdy po raz kolejny dowiemy się z tego czy innego portalu, jakie beznadziejne są produkty krajowego przemysłu zbrojeniowego, że przekop Mierzei Wiślanej jest nikomu niepotrzebny, a nowych lotnisk nie potrzebujemy, bo przecież mamy blisko do Berlina.

Masz **PIT?**

Wnioskuj o Pożyczkę Gotówkową
bez dodatkowych dokumentów!

- Środki na **dowolny cel**
- **Minimum** formalności
- **Możliwość odroczenia spłaty** pierwszej raty nawet o 60 dni

RRSO: 17,18%

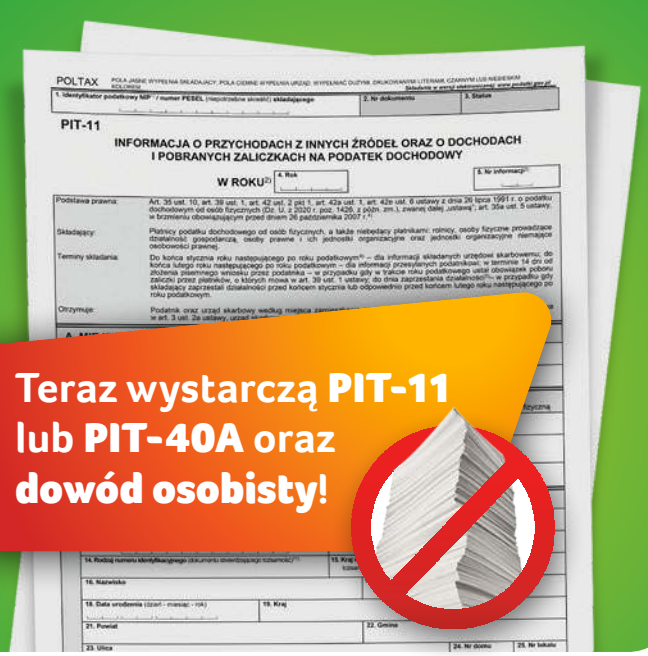

Teraz wystarczą PIT-11 lub PIT-40A oraz dowód osobisty!

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

RRSO oznacza rzeczywistą roczną stopę oprocentowania. Przedstawiona procedura dokumentowania przychodu dostępna jest tylko dla Członków uzyskujących akceptowalny przez Kasę dochód. Propozycja dostępna do końca czerwca 2021 roku. Szczegóły w placówkach Kasy. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Gwiazdki opozycji

Nasze tzw. elity same postanowiły zdegradować się do plebsu

Dzięki wysiłkowi werbalnemu opozycji i sterujących nią specjalistów od „śpiewu i mas" nasza przestrzeń publiczna została naszpikowana wulgaryzmami. Często są one w formie pisemnej przedstawiane na zasadzie kodów jaskiniowych jako gwiazdki. Bojownicy antypisu układają na przykład kluski śląskie na talerzu w formule „pięć, trzy" i idzie dumny sygnał na całą globalną wiochę, jakim przebiegłym mózgiem jest autor instalacji.

Ryszard Makowski

Hasło strajku podszywającego się pod płeć piękną też nie pozostawiało złudzeń, że raczej kobiety za tym nie stoją, a jak stoją, to z pewnością nie są to damy z wyższych sfer. O! No właśnie, ci, którzy nam teraz aplikują hurtowo bluzgi, przez lata odgrywali elitę. Gdzieś tam pleni się jakiś ciemnogród, ale my... salon michnikowszczyzny, to się samo przez się rozumie, Olimp dla maluczkich. I teraz ci znamienici redaktorzy, profesorowie, artyści jedno, co są w stanie wybełkotać, to ***** ***. Co więcej uważają, że to ich nobilituje.

Ten kompletny upadek w zasadzie cieszy i dobrze wróży. Chociaż u nas o mało wykwintny elektorat nie jest trudno, ale szczęśliwie nie ma on chwilowo przewagi. Ciekawym przypadkiem jest raper Mata. Ten zanim naubliżał w swoim „buntowniczym" utworze osobom związanym z obecną władzą, zasięgnął opinii taty prawnika. Niestety, prymityzowanie naszej codzienności odbywa się z aprobatą kasty i ma prawną ochronę. Na szczęście jeszcze każdy może sobie wybrać, czy chce być człowiekiem kulturalnym, czy zwykłym żulem.

eprasa.pl 0e9cecca1b

Michał Korsun prezentuje:
W Hiszpanii obostrzenia coraz surowsze

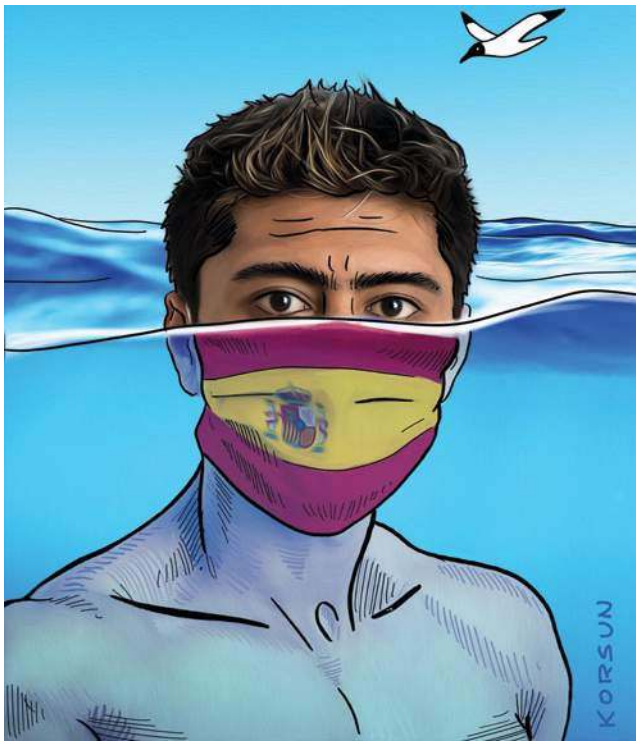

Wycinki z przeszłości

Pismo „Przyjaciel Młodzieży" zakpiło wiosną 1927 r. z ludzi źle pracujących, opisując dziesięć zasad, które zdają się stosować.

I Nie będziesz nigdy zadowolony ze swej pracy, lecz pragnąć będziesz innej, rzekomo dla ciebie stosowniejszej.
II Będziesz przeto robił wszystko z łaski, z miną obrażoną, aby wiedział lud, iż do wyższych przeznaczeń urodzon jesteś.
III Nie będziesz starał się ulepszać swej pracy, lecz zbywać ją będziesz byle jak.
IV Będziesz tak postępował, aby klient twój wiedział, że ci nie o niego chodzi, jak również, że wystrzegasz się zarobku.
V Nie będziesz pracował szybko i dużo, lecz powolutku i maleńko, abyś się nie przepracował i nie odebrał chleba tym, którzy robią powolutku.
VI Pracując wspólnie, stosować się będziesz do tego, który pracuje najgorzej, aby go nie pokrzywdzić.
VII Będziesz zazdrościć temu, który przez pracę doszedł do majątku i będziesz mówił, że ma szczęście. Nie będziesz go jednak brał za wzór.
VIII Będziesz porzucał każdą pracę w połowie lub też kończył ją po partacku. Nie będziesz dotrzymywał terminów ani przyrzeczeń.
IX Będziesz się kłócił długo i wytrwale, jak pracę masz przeprowadzić, nie będziesz natomiast zabierał się do niej – chyba pod batem.
X Będziesz za to długo i szeroko opowiadać, jak to ty umiesz pracować.

Mamy wrażenie, że powyższe zasady wciąż w wielu kręgach są w użyciu.

(mk)

Z pracowni analitycznej

Pomyślałem, dlaczego by nie poddać paru myśli w kwestii „tej przypadkowości"... Na wiosnę? W tej branży trudno o lepszą firmę i o lepszego specjalistę. – Państwu się to zgadza?

Leszek Długosz

Wisława Szymborska (1923–2012)
„Miłość od pierwszego wejrzenia"

Oboje są przekonani,
że połączyło ich uczucie nagłe.
Piękna jest taka pewność,
ale niepewność piękniejsza.

Sądzą, że skoro nie znali się
wcześniej,
nic między nimi nigdy się
nie działo,
A co na to ulice, schody,
korytarze,
na których mogli się
od dawna mijać
Chciałabym ich zapytać,
czy nie pamiętają
– może w drzwiach
obrotowych
kiedyś twarzą w twarz?
jakieś „przepraszam"
w ścisku?
głos „pomyłka" w słuchawce?
– ale znam ich odpowiedź.
Nie, nie pamiętają.
Bardzo by ich zdziwiło,
że od dłuższego już czasu
bawił się nimi przypadek.

Jeszcze nie całkiem gotów
zamienić się dla nich w los,
zbliżał ich i oddalał,
zabiegał im drogę
i tłumiąc chichot
odskakiwał w bok.

Były znaki, sygnały,
cóż z tego, że nieczytelne.
Może trzy lata temu
albo w zeszły wtorek
pewien listek przefrunął
z ramienia na ramię?
Było coś zgubionego
i podniesionego.
Kto wie, czy już nie piłka
w zaroślach dzieciństwa?

Były klamki i dzwonki,
na których zawczasu
dotyk kładł się na dotyk.
Walizki obok siebie
w przechowalni.
Był może pewnej nocy
jednakowy sen,
natychmiast po zbudzeniu
zamazany.

Każdy przecież początek
to tylko ciąg dalszy,
a księga zdarzeń
zawsze otwarta
w połowie.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 0e9cecca1b

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Być kim się chce...

Pamiętamy swoje zaskoczenie, gdy w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku przeczytaliśmy, iż z badań wynika, że duża część, bodaj czy nie większość, rosyjskich nastolatek chciałaby zostać... prostytutkami. Zaskoczenie długo nie trwało. Namysł socjologiczny nad ówczesnymi warunkami życia w Rosji prowadził do wniosku, że była to racjonalna reakcja na ograniczone szanse awansu społecznego dostępne wtedy w tym kraju. Młodszym czytelniczkom przypomnimy, że u naszego wschodniego sąsiada był to okres wielkiej smuty...

MARZENIE NASTOLATEK

To pragnienie nastolatek, by szybko zarabiać dużo, imprezować (przyjęcia dla biznesmenów i gangsterów, drogie restauracje, luksusowe hotele), pokazywało chęć wyrwania się z niedostatku, ciągłych upokorzeń, braku perspektyw.

Nie pamiętamy wyników żadnych badań nastoletnich chłopców, ale niezbyt byśmy się zdziwili, gdyby okazało się, że chcieli zostać gangsterami, ochroniarzami, reketierami. Jak tu nie chcieć podążać taką drogą, gdy jak mówił dowcip z owego czasu: nowobogacki przyjeżdża do salonu Mercedesa w Moskwie kupionym miesiąc wcześniej modelem S 600, domaga się sprzedania mu natychmiast drugiego egzemplarza i tłumaczy zdziwionemu szefowi salonu: w obecnym aucie nazbierało się za dużo petów.

A dziś, w ilu krajach jest mnóstwo nastolatków obojga płci, dla których ścieżki życia, które uznajemy za niegodne, są jednak pożądane?

WYPADŁA ULOTKA

Takie oto refleksje naszły nas, gdy w Wielkim Tygodniu z jednego z prawicowych tygodników wypadła ulotka. I gryzła nas przez święta.

Najpierw uwagę przyciąga zdjęcie zapłakanej ciemnoskórej małej dziewczynki. Poniżej twarzy znajduje się deklaracja: „Pomagamy każdemu dziecku być tym, kim chce". Obok logo z tekstem: „Mamy misję do spełnienia!". Czyje logo? Palotyńskiej fundacji misyjnej. Z opisu wynika, że trzyletnia dziewczynka bardzo potrzebuje pomocy, podobnie jak wiele innych dzieci w wielu krajach świata.

Człowiekowi nie wolno być kim tylko chce, np. płatnym zabójcą, youtuberem manipulatorem, rasistą, zdrajcą swojej ojczyzny

SŁOWA WAŻĄ

Najwyraźniej zabrakło zrozumienia kontekstu kulturowego, z jakim mamy do czynienia. Gdy w świecie przedcyfrowym mówiliśmy dziecku: „Możesz być, kimkolwiek chcesz!", chodziło o szeroką paletę wyboru dróg życia w ramach świata kulturowo uregulowanego. O czym marzyły dzieci, nawet z rodzin, które wcale nie żyły w biedzie? O tym, by dostać pieska, rower, łyżwy, rolki, kupić książkę, by wyjechać na wakacje nad morze. Myśląc o wyborze drogi życiowej dla siebie, wybierały z dostępnej puli akceptowanych moralnie wzorców kulturowych.

Bycie bandytą, włóczęgą, alfonsem, płatnym zabójcą, złodziejaszkiem, obrazoburcą, destruktorem wszelkich tabu, darmozjadem, cheaterem (nastolatki wiedzą, o co chodzi), skandalistą, to nie są wzorce, które kultura przedcyfrowa by pochwalała.

Tymczasem w ostatnich dekadach i tak już bardzo poluzowane ramy kulturowe, przez wieki wyznaczające granice między dobrem a złem, między społecznie pożytecznym a szkodliwym, między normalnością a patologią etc., zostały niemal doszczętnie rozbite. Tak bardzo, że już nie wiemy, czy przekaz ulotki to oznaka „jedynie" tego, że jej autor po prostu bezrefleksyjnie uległ znakom czasu, czy raczej jest to przejaw świadomej promocji ideologii LGBT+. Bez kłopotu znajdujemy w internecie zdjęcie starzejącego się mężczyzny w czarnym podkoszulku i białej spódniczce z hasłem: „Bądź, kimkolwiek zechcesz" i promocją: „Netflix Original. Opowieści San Francisco".

Pomińmy już to, że obietnica z ulotki jest nierealizowalna choćby z powodów czysto technicznych: „Pomagamy każdemu dziecku...". I już przez samo to jest nieodpowiedzialna.

Ważniejsze jest to, że człowiek po prostu nie może być, kim chce. Nie może być Bogiem. Ani nawet tylko demiurgiem. I nie wolno mu być, kim tylko chce. Na przykład płatnym zabójcą, youtuberem manipulatorem zwodzącym małolatów, specjalistą od wyłudzeń na wnuczka, rasistą, gwałcicielem, zdrajcą swej ojczyzny.

Słowa mają swoje konsekwencje. Czyżby palotyni o tym zapomnieli? Pomagać trzeba. Ale nie należy podążać z nurtem chorego czasu.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 0e9cecca1b

ZAMÓW E-PRENUMERATĘ

SIECI

I OSZCZĘDŹ -50%

Najpopularniejszy

Dostęp na
1 miesiąc
~~19,99 zł~~
9,99 zł
Oszczędzasz 10 zł
KUP TERAZ

Dostęp na
12 miesięcy
~~159,99 zł~~
89,99 zł
Oszczędzasz aż 70 zł
KUP TERAZ

Dostęp na
6 miesięcy
89,99 zł
KUP TERAZ

BĄDŹ BLISKO POLSKI
gdziekolwiek jesteś

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl 0e9cecca1b

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII

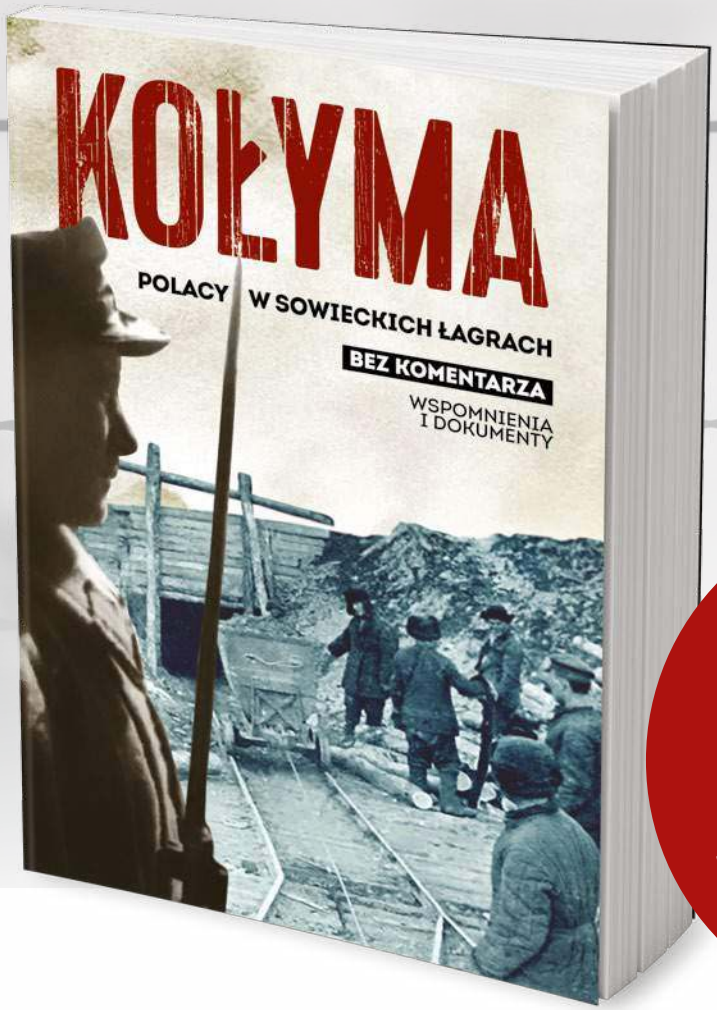

Książka zawiera relacje tych, którzy przeżyli piekło sowieckich łagrów na Dalekiej Północy. Ocaleni opowiadają o dramatach więźniów, którzy ginęli na skutek surowego klimatu i katorżniczej pracy na mrozie sięgającym -50 stopni. Śmiertelność w łagrach wynosiła nawet 80 proc.

150 książek w prezencie

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Fot. Shutterstock

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **„Kołyma. Polacy w sowieckich łagrach”**
otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 0e9cecca1b